www.tygodnikprzeglad.pl

Przegląd

Nr 50 (1092)
7-13.12.2020
Cena 7,50 zł
(w tym 8% VAT)

Prof. Lech Mażewski Państwo, Kościół i Solidarność 1980-1981

Prof. Rafał Zimny Bunt językowy kobiet

Maryja i wojownicy z mieczami

Horror w szpitalach powiatowych

CO Z TĄ POLICJĄ

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
50
9 771509 311003

eprasa.pl 874ec55186

JESTEŚMY W TYM RAZEM

POMAGAM, GDY TYLKO MOGĘ.

WPŁACAM

WWW.PAH.ORG.PL/RAZEM

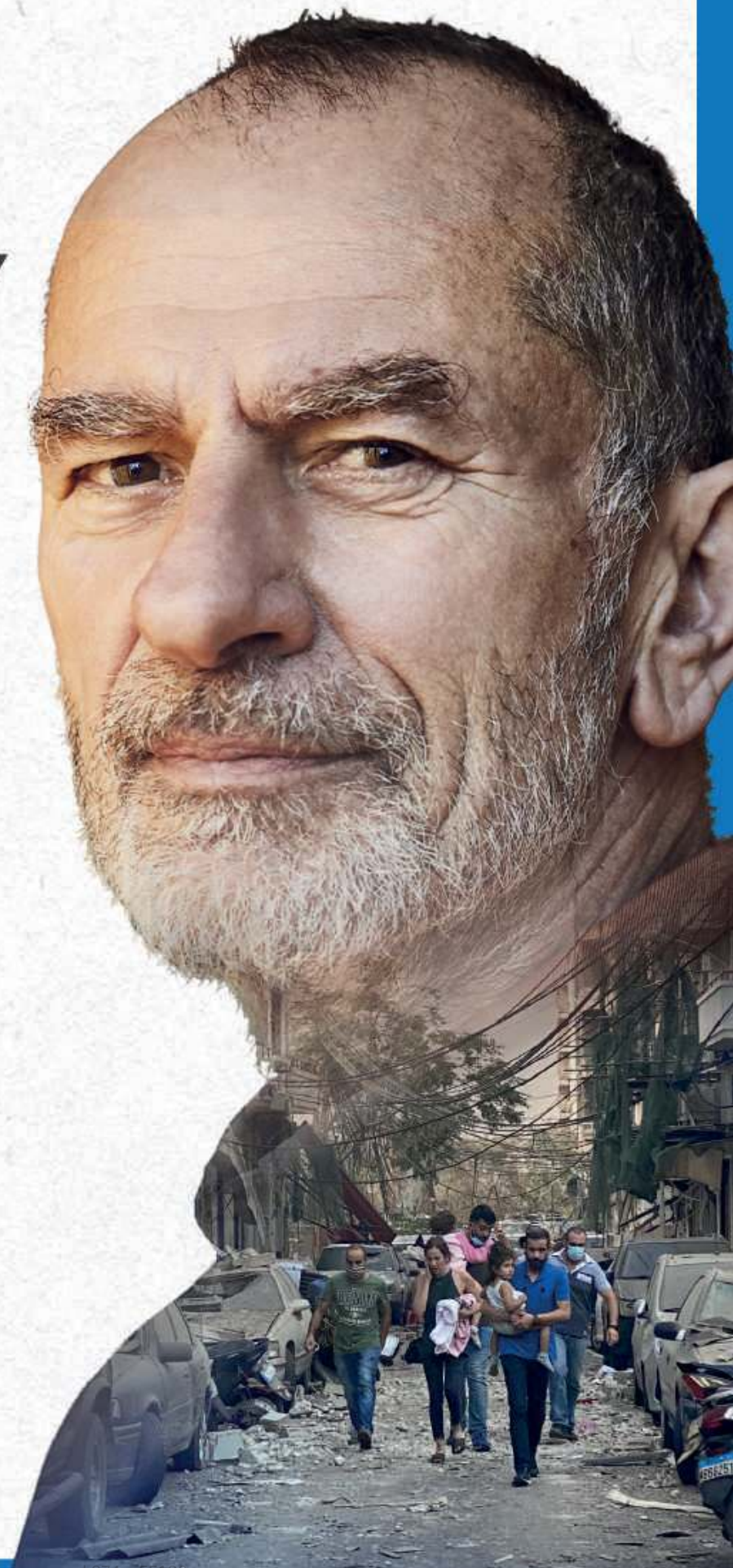

pah

Polska Akcja Humanitarna

eprasa.pl 874ec55186

CYTATY

RAFAŁ TRZASKOWSKI,
prezydent Warszawy
Pseudokompromis aborcyjny, bo on nigdy nie był kompromisem, został pogrzebany przez PiS.
Konferencja prasowa

PROF. MONIKA PŁATEK,
prawniczka, UW
Kto kontroluje płodność człowieka, kontroluje jego życie.
„Wysokie Obcasy"

WOJCIECH WAGLEWSKI,
muzyk
Twarze naszych mężów stanu nie wróżą natłoku myśli.
„Dziennik Gazeta Prawna"

SARAH FRIER,
analityczka nowych technologii
Instagram odniósł sukces, bo połączył kapitalizm z ludzkim ego.
„Forum"

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański

Opozycja czeka na Godota

Co dalej? Załóżmy, że po jakichś niezwykłych wydarzeniach spełnią się marzenia anty-PiS, Ogólnopolskiego Strajku Kobiet i innych zwolenników sprawnego państwa, mających dość rządów skorumpowanych ignorantów. Że Jarosław Kaczyński z tą całą zbieraniną, która sama siebie nazywa Zjednoczoną Prawicą, przejdzie do opozycji. No i co wtedy? Alternatywą jest nowy rząd. Koalicyjny z Borysem Budką, liderem największej partii opozycyjnej jako premierem, z wicepremierami z SLD i PSL.

Jest jeszcze Szymon Hołownia, którego ruch, jako niezużyty politycznie, jest atrakcyjny dla nowych zwolenników. I jeśli KO i SLD dalej będą tkwiły w głębokich okopach, to Hołownia jest skazany na sukces. Ma sprawne zaplecze kadrowe oraz doświadczonych i nieskompromitowanych doradców. I tym wyraźnie odróżnia się od sejmowej opozycji. Nieporadnej, ciągle spóźnionej i impotentnej w sprawach programowych.

Jaki więc miałby być powód, by tej mizernej, powtarzającej komunały grupie polityków ludzie powierzyli rządzenie państwem? Na dodatek tym samym politykom, którzy już przez wiele lat pełnili najważniejsze funkcje w państwie. To, że oni chcą wrócić do władzy, po ludzku rozumiem. Ale przecież generalnie, choć oczywiście można wskazać wyjątki, nie są to postacie, o które by się upominała sławna niewidzialna ręka rynku.

Jeśli alternatywą dla PiS ma być powrót do PO i tego, co było wcześniej przez osiem lat, to mamy czarny obraz.

Na szczęście aż tak źle nie jest. Polacy nie są tak zdesperowani, by postawić na śpiącą ekipę Budki i jego kolegów, którzy przez pięć lat nie pokazali, że są prawdziwą opozycją. Chociaż warunki ku temu mieli optymalne. Trudno sobie bowiem wyobrazić gorszą władzę od obecnej. I tak wielu marnych polityków. Można było ich punktować i tym samym pokazywać alternatywę. Można było, ale jest, jak jest.

Coraz wyraźniej widać, że cały obóz postsolidarnościowy dochodzi do kresu swoich możliwości. Wyczerpane baterie mają zarówno rządzący z PiS, jak i niedobitki po PO-PiS, a także Koalicja Obywatelska. Historia ich oceni. Choć nie sądzę, żeby była to pozytywna nota. I to niezależnie od tego, że również w tych partiach i wokół nich są sensowni, kompetentni i uczciwi ludzie. Zasługujący na sprawiedliwą ocenę. Ale też na bardziej kompetentnych liderów.

Może więc zamiast czekać na Godota, spróbują odmienić los swoich formacji? Potrzeba takiej odnowy wewnątrz KO i SLD jest oczywista dla ich wyborców. Bo poza kierownictwami tych partii wszyscy już wiedzą, że z takimi kierowcami te autobusy dalej nie pojadą.

Szukasz prezentu na święta?
Znajdziesz go w naszym sklepie internetowym
Przegląd
książki i pakiety książkowe
e-booki
subskrypcja i e-prenumerata tygodnika
www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

BĄKOWSKI

eprasa.pl 874ec55186

W NUMERZE

KRAJ

8 **Co z tą policją**
– rozmowa z dr. Krzysztofem Liedlem

12 **Dramat w szpitalach powiatowych**
Konie robocze polskiej służby zdrowia

16 **Maryja i wojownicy z mieczami**
Radykałowie zawłaszczają Kościół

20 **Grzeczne już byłyśmy**
– rozmowa z dr. hab. Rafałem Zimnym

24 **Bez kurierów świat by się zatrzymał**
Coraz więcej przesyłek

28 **Drony na ratunek**
Minuty zamiast godzin

ZAGRANICA

30 **Zieloni to nie socjalizm**
Niemieckie ugrupowanie mniej lewicowe

33 **W Norwegii migranci zarobkowi nie są pozostawiani sami sobie**

34 **Prezydent największej większości**
Nowi wyborcy pomogli Bidenowi

36 **Mafijny lockdown**
Gangi zarządzają pandemią

46 **Szczepionkowe oszustwo**
Manipulacje doktora Wakefielda

HISTORIA

38 **Polski trójkąt**
Państwo, Kościół i Solidarność 1980-1981

42 **Ustawiony kryzys**
ZSRR wsparł Finlandię

OPINIE

44 **Edward Karolczuk**
Aborcja i polityka

NAUKA

48 **Wyciąć wadliwe chromosomy**
– rozmowa z dr. Krzysztofem Chylińskim

KULTURA

50 **Tylko flirt, a nie miłość**
Intymny portret Agnieszki Osieckiej

54 **Qulturalia**

66 **Teresa Jakubowska. Z życia wycięte**

OBSERWACJE

56 **Siła prostoty w kuchni**
Co smakuje Portugalczykom

EKOLOGIA

58 **Kolejność dziobania**
Wojny karmnikowe

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Jerzy Domański**
Opozycja czeka na Godota

19 **Jan Widacki**
Edukacja czasu wojny

23 **Roman Kurkiewicz**
Orgie i narko – tak, homofobia – nie

27 **Tomasz Jastrun**
Król, mój dobrodziej

53 **Wojciech Kuczok**
Nie na miejscu

55 **Agnieszka Wolny-Hamkało**
Spacer z filozofem

48
NAUKA

WYCIĄĆ WADLIWE CHROMOSOMY
– rozmowa z dr. Krzysztofem Chylińskim

56
OBSERWACJE

SIŁA PROSTOTY W KUCHNI
Co smakuje Portugalczykom

58
EKOLOGIA

KOLEJNOŚĆ DZIOBANIA
Wojny karmnikowe

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. JAKUB PORZYCKI/AGENCJA GAZETA

eprasa.pl 874ec55186

Wiesław Kot
Humor w czasach pandemii

Święta w domu dziecka

Azjatyckie biedronki atakują Polskę

Kto kogo?

Polska służba zdrowia się rozpadła, lekarze i pielęgniarki zapowiadają masowy *exodus*. Wielu z nich, w dodatku tych najlepszych, zrealizuje te zapowiedzi, co oznacza, że polskie standardy opieki zdrowotnej zmierzają w stronę krajów Trzeciego Świata. Kuba, będąca w polskich umysłach symbolem komunistycznej nędzy, wysyła swoje ekipy medyczne do innych krajów (np. Włoch), natomiast „wolna i bogata" Polska nie jest w stanie zapewnić ratunku własnym obywatelom.

A co robi prawicowa władza? Toczy spory z prawicową „opozycją" o to, kto ma większe „zasługi" w zrobieniu z Polski peryferyjnego, skolonizowanego państewka. I pogarsza i tak już marną pozycję Polski na arenie międzynarodowej. Ale czego się nie robi dla Wielkiego Brata zza Wielkiej Wody? A poza tym – skąd w Polsce przekonanie, że UE cokolwiek obchodzi polska praworządność? Choćby w kraju zapanowała brutalna, krwawa dyktatura, UE i tak będzie to tolerować – byle tylko interesy zachodnioeuropejskich firm były w Polsce zabezpieczone.

Radosław

Zaszczepieni przez obcych

Polscy naukowcy nie mają warunków do nowoczesnych badań i ich wdrażania, tym bardziej więc nie jesteśmy atrakcyjnym krajem dla ambitnych imigrantów. Problem tkwi zatem nie tylko w polityce imigracyjnej, ale i w nieatrakcyjności Polski dla lepiej wykształconych cudzoziemców.

Barbara Krzemińska-Sobczyk

•

W Polsce nie ma inteligentnej polityki imigracyjnej. PiS popsuło rynek pracy, który powoli, bo powoli, ale się cywilizował, przez wpuszczenie milionów tanich pracowników spoza UE, głównie z Ukrainy. Pracodawcy mogą dzięki temu nadal wyzyskiwać pracobiorców, wynagrodzenia nie rosną w odpowiednim tempie, nie stawia się na innowacyjność. *Exodus* z innych państw powoduje zwiększenie problemów gospodarczych i brak rąk do pracy w tych krajach.

Sebastian Wieliczko

Bunt potęgą jest i basta

Swego czasu na lekcji historii w liceum nauczycielka wyświetliła nam film o ziemiach pod zaborami. Utkwiła mi w pamięci refleksja prof. Tazbira, jak to świadczy o polskiej kulturze politycznej, że pańszczyznę znieśli nam zaborcy, i to przy braku zgody szlachty. Choć chyba jeszcze głupsza była szlachta rosyjska, która za całokształt gnębienia chłopa doczekała się krwawej rewolucji październikowej i wojny domowej. Co prawda, połowicznie problem rozwiązał już car Aleksander II, ale to było za mało i za późno.

Tomasz ER

Liberum veto

Prof. Jan Widacki pisze, że ku uciesze Rosji osłabiamy Unię. Zaraz, a przypadkiem nie ku uciesze USA i np. Chin? Słaba Unia to mocniejsze Stany, Chiny, Indie i kto tam jeszcze, a nie tylko Rosja (jak wytarty slogan powtarzamy to w swojej rusofobii). Natomiast Unia od Madrytu po Władywostok (przypomnę unijne hasło sprzed lat) to byłby autentyczny ból dla tych krajów. Tyle że wtedy Polska znowu by swoją polityką mieszała. I wtedy komu ku uciesze?

Teresa Komorowska

ZDJĘCIE TYGODNIA

Barbórka w tym roku smutna. Z pensjami krucho, kopalniom grożą zamknięcia, a w wyniku pandemii zakazane są górnicze biesiady. Nz. orkiestra kopalni Wieczorek budzi mieszkańców Nikiszowca w barbórkowy poranek.

FOT. TOMASZ KAWKA/EAST NEWS

eprasa.pl 874ec55186

Od 2004 r. **Polska otrzymała z Unii Europejskiej prawie 190 mld euro,** przy składce ponad 60 mld euro w bilansie mamy 130 mld euro.

Osoby, które po wyzdrowieniu z covidu oddają honorowo osocze, mają prawo do ulgi podatkowej – 130 zł za każdy litr krwi lub osocza.

Wojciech Czuchnowski, dziennikarz „Gazety Wyborczej", został wyróżniony przez Towarzystwo Dziennikarskie **nagrodą Obywatel Dziennikarz 2020** za cykl artykułów śledczych demaskujących nadużycia rządzących.

Wojciech Czerwiec, przewodniczący Rady Miasta Sandomierz, podjął starania, by rada przyjęła **„Apel w sprawie poszanowania praw kobiet".** Nie doszło do tego z powodu interwencji miejscowego księdza Waldemara Gałązki. Będą kolejne próby uchwalenia apelu.

Za 7,3 mln zł sprzedano obraz Wojciecha Fangora „M22". Kwota uzyskana przez dom aukcyjny DESA Unicum jest rekordem sprzedaży w Polsce.

Sieć supermarketów Carrefour wstrzymała swoją kampanię reklamową w TVP z powodu „emitowania tam treści, które nie odpowiadają wartościom wyznawanym przez firmę".

Program KULTOUR utworzony przez TR Warszawa wraz z Teatrem Powszechnym, Zachętą i Muzeum Sztuki Nowoczesnej został wyróżniony **Warszawską Nagrodą Edukacji Kulturalnej.**

Według raportu Polskiego Alarmu Smogowego **Nowy Targ, Rybnik, Sucha Beskidzka, Nowy Sącz, Zdzieszowice, Nowa Ruda, Olkusz, Tuchów, Zabierzów, Godów, Myszków, Nowa Sól i Oświęcim** to miejscowości z **najwyższym rocznym stężeniem benzo(a)pirenu** w 2019 r.

2 mld zł (bez 50 tys.) **dostanie w 2020 r. telewizja Kurskiego.** Kolejny raz. Będzie więc kasa na gigantyczne płace dla propagandystów władzy.

Andrzej Gut-Mostowy to kolejny polityk PiS (wcześniej PO), który **gubi się w oświadczeniach majątkowych.** Trudno już stwierdzić, co jest jego, a co żony, z którą i tak nie ma rozdzielności majątkowej. Jedna z jego spółek ma nazwę Sabała. Zakopiański milioner pisze ciąg dalszy góralskich bajek.

Wrocławscy sygnatariusze listu w obronie kard. Gulbinowicza podważają decyzje Watykanu i odpowiedzialność hierarchy za cierpienie ofiar.

Ks. Kazimierz Białk, proboszcz parafii św. Marcina w Łebczu koło Władysławowa, powiesił w świątyni kamienną **tablicę upamiętniającą wizytę premiera Morawieckiego** w miejscowym kościele.

PRZEBŁYSKI

Pawlak internetowy

Idą święta, więc dzieci czekają na Mikołaja. Z prezentami. Od dojnej zmiany mają szczególny prezent. Rzecznika praw dziecka. Też Mikołaja, ale Pawlaka. Taki ponury żarcik PiS z dzieci. Najnowszy „sukces" tego ultrakościelnego polityka to serwis internetowy opisujący modele edukacji i wychowania w państwach Unii. Do tego wiekopomnego dzieła zaangażowano MSZ, ambasady, konsulaty i armię urzędników. Ile wydano kasy? I po co? Przecież wszystko od dawna jest w internecie. Takiego modela jak Pawlak dzieci nie dostały w prezencie nigdzie.

Żabka prawoskrętna

Zamiast szydła z worka wyszła Żabka. Podobno są to sklepy dla wszystkich – może i tak, ale nie w reklamach. Kasa na promocję idzie do mediów dojnej zmiany. Taka polityka Żabki za mądra nie jest. Większość Polaków ma już taką alergię na władzę, że może powędrować po zakupy do konkurencji. Po co mają się dokładać do takich reklam? A że na tym świecie mało co jest za darmo, to za te reklamy tak czy owak płacą klienci sklepów.

Doping we mgle

Cudowne dziecko PiS obsadzone na funkcji ministra sportu nie jest taką gapą, jak wynikałoby to z efektów pracy. Witold Bańka wychodził sobie posadę szefa Światowej Agencji Antydopingowej (WADA). Ojczyzna wywianowała Bańkę kongresem w Katowicach. Działacze z całego świata przyjechali na Śląsk i… wybrali Bańkę. Mija właśnie rok od tego wyboru. I co? Z cudownego dziecka zostało dziecko… we mgle. Problemy przerastają jednak skromne umiejętności Bańki. Miejsce w szeregu pokazali mu Amerykanie. Robią, co chcą. I kiedy chcą. A dopingowicze mają się nie gorzej niż przed Bańką.

Taki sobie żarcik Ordo Iuris

Norki nie mają dobrej prasy. A ich hodowcy mają jeszcze gorszą. Podobnie jak damy obnoszące się z futrami z tych miłych zwierzątek. Nie wiedzieć dlaczego w czasie lektury tygodnika ultrakatolika Lisickiego uśmialiśmy się jednak jak norka. Może dlatego, że Karolina Pawłowska, dyrektor Centrum Prawa Międzynarodowego Instytutu Ordo Iuris, powołała się w „Do Rzeczy" „na zasadę neutralności światopoglądowej państwa". I to jadąc po konwencji stambulskiej jak po łysej kobyle. Może myślała, że nikt tego nie przeczyta? I tak sobie zażartowała.

FOT. YOUTUBE (3), ARCHIWUM

eprasa.pl 874ec55186

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

www.mleczko.pl

www.sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Czy Polska wzorem Francji powinna wprowadzić podatek cyfrowy?

JAN J. ZYGMUNTOWSKI,
ekonomista, Akademia Leona Koźmińskiego, Fundacja Instrat

Podatek cyfrowy nie rozwiąże wszystkich bolączek nowej gospodarki, ale to dobry początek do odzyskania suwerenności cyfrowej kraju. Spójrzmy tylko na rynek reklamy cyfrowej – Google i Facebook generują w Polsce razem ponad 2,3 mld zł przychodów, ale deklarują zysk na poziomie ok. 60 mln zł. Agresywne planowanie podatkowe szkodzi Polsce, bo chociaż krajowa luka CIT zanika dzięki uszczelnianiu podatków, to oszustwa cyfrowych korporacji wzrastają o 200-300 mln zł rocznie. Wprowadzenie podatku cyfrowego to nie wymysł, ale podążanie drogą innych krajów UE. Dobra konstrukcja podatku jako bezpośredniego podatku przychodowego, proponowana np. przez Fundację Instrat, uniemożliwia przerzucanie go na konsumentów czy unikanie. To dlatego sprzeciw cyfrowych gigantów i ambasady USA jest tak duży.

ŁUKASZ KEMPA,
doradca podatkowy

Najlepszym pomysłem na wyjście z kryzysu byłoby obniżanie i upraszczanie podatków, ale rząd ewidentnie nie zamierza iść w tym kierunku. W tej sytuacji warto rozważyć próbę opodatkowania gigantów technologicznych, gdyż będzie to mniej szkodliwe dla naszej gospodarki niż inne nowe podatki, które uderzałyby w firmy rodzinne czy konsumentów. Jest jednak wątpliwe, by Polska, podobnie zresztą jak Francja, była w stanie efektywnie opodatkować tę kategorię korporacji. W świetle międzynarodowych umów o unikaniu podwójnego opodatkowania, w tym umowy ze Stanami Zjednoczonymi, gdzie siedziby ma zdecydowana większość wspomnianych podmiotów, ich zyski z tzw. usług niematerialnych, np. reklamowych, są w naszym kraju całkowicie zwolnione z podatków. Narzucenie podatku cyfrowego powinno być poprzedzone stosownymi rozstrzygnięciami na szczeblu OECD, jednak prace w tej sprawie się nie posuwają. Oficjalnie tłumaczone jest to sytuacją związaną z epidemią koronawirusa, ale zapewne wynika z tego, że USA nie poddają się zbyt łatwo w takich kwestiach. Osobnym pytaniem jest to, czy polski rząd byłby w stanie otwarcie sprzeciwić się USA poprzez opodatkowanie pereł w koronie ich gospodarki.

MARCELINA ZAWISZA,
posłanka Lewicy Razem

Oczywiście, że Polska powinna wprowadzić podatek cyfrowy. Nie może być bowiem tak, że fryzjerka, kwiaciarka i taksówkarz płacą podatki, a wielkie międzynarodowe korporacje od nich uciekają. Te niezapłacone podatki to pieniądze, których nam brakuje na szkoły czy ochronę zdrowia. Są one odbierane Polkom i Polakom, gdyż wspomniane firmy zarabiają na tym, że korzystamy z ich platform, na dostępie do naszych danych osobowych itd., a jednocześnie nie dorzucają się do tego, co dla nas wszystkich jest istotne, czyli do dobrego funkcjonowania usług publicznych.

Not. Michał Sobczyk

eprasa.pl 874ec55186

CO Z TĄ POLICJĄ

Komendantami, dowódcami zostają ludzie, którzy nie mają doświadczenia, umiejętności ani wiedzy, jedyne, co mają, to znajomego polityka

Rozmawia Robert Walenciak

Zaufanie do policji spadło o 20%. Czy to ważne dla policjanta?

– Dla pojedynczego policjanta same kwestie statystyczne, typu poziom zaufania, nie są czymś istotnym. Aczkolwiek wydaje mi się, że jesteśmy w dość specyficznej sytuacji.

To znaczy?

– Policja bardzo często działa według pewnych schematów i zgodnie ze swoim doświadczeniem. Nasza policja ma doświadczenie w radzeniu sobie z kibolami, z narodowcami i w zabezpieczaniu różnych imprez. A obecne demonstracje wyglądają inaczej i mogą być – i dla szeregowych policjantów, i dla ich dowódców – trochę innym wyzwaniem. Z jednej strony, demonstracja jest pokojowa, a z drugiej – coś trzeba z nią zrobić. Bo – jak mówią przełożeni – jest nielegalna. I to jest dla nich problem. Z kolei, ponieważ to głośna sprawa, społeczeństwo tym żyje, na pewno odbija się to na policjantach. Mieszkają przecież na osiedlach, wśród innych ludzi, mają rodziny, znajomych. I to jest dla nich największy problem – odbiór środowiska lokalnego, przyjaciół, najbliższych… Dużo większy niż badania opinii.

Syn wychodzi na podwórko, a tam koledzy hejtują, bo jest synem policjanta…

– Na przykład. Albo sąsiedzi przestają mówić dzień dobry, bo pałujecie niewinnych ludzi.

I to boli?

– O wiele bardziej niż słupki w sondażach.

DR KRZYSZTOF LIEDEL

– prawnik, emerytowany oficer policji, wykładowca Centrum Szkolenia Policji. Były naczelnik Wydziału ds. Przeciwdziałania Zagrożeniom Terrorystycznym Departamentu Bezpieczeństwa Publicznego MSWiA. Były dyrektor Departamentu Bezpieczeństwa Pozamilitarnego BBN. Wykładowca Collegium Civitas.

Policjanci są zadowoleni, gdy patrzą na filmiki pokazujące, jak rozpędzali demonstracje kobiet?

– Dziewięćdziesiąt parę procent tych młodych policjantów, których widzimy na ulicy, na pewno nie szło do policji po to, żeby po ulicach ganiać się z demonstrantami. Oni szli naładowani, pewnie opartą trochę na filmach, trochę na książkach, wizją policji, która walczy z przestępcami. Ich marzenia to być detektywem, ścigać bandytów, a nie przepychać się z ludźmi, z tarczą i pałką.

Przecież nie muszą się przepychać! Nie mogą zareagować adekwatnie do wyzwania?

– Mam wrażenie, że ci, którzy decydują o użyciu policji, nie bardzo potrafią znaleźć odpowiedź na pytanie, jak powinna wyglądać adekwatna reakcja. Bardzo dobrze było to widać, kiedy były pierwsze protesty kobiet, kiedy policjanci je zabezpieczali. I raczej je zabezpieczali, aby nic się nie wydarzyło, niż konfrontowali się z samym Strajkiem Kobiet, z samą demonstracją. Wszystko zmieniło się, kiedy politycy zaczęli mówić: „Marsze są nielegalne, protest jest nielegalny, będziemy stanowczo reagować". Z tym wystąpił Kaczyński i od tego momentu zmieniła się taktyka. Już nie było zabezpieczania protestu, żeby nic złego się nie wydarzyło, tylko reakcja typu: traktujemy to zgromadzenie jako nielegalne, w związku z powyższym trzeba je rozpędzić. Albo coś z tym zrobić.

Czyli komendant główny dostaje polecenie. I je wykonuje.

– Tak.

Nie może powiedzieć, że to polecenie jest bez sensu?

– Policja działa na rozkaz. To po pierwsze. A po drugie, trzeba pamiętać, że sytuacja jest dość skomplikowana pod względem prawnym. Z jednej strony, są przepisy tzw. covidowe, które zakazują zgromadzeń. Z drugiej strony, prawnicy Strajku Kobiet mówią, że konstytucja gwarantuje prawo do demonstrowania, a ona jest przecież ważniejsza. I jedna strona upiera się przy swoim, a druga przy swoim.

eprasa.pl 874ec55186

A policja?

– Jeżeli policja podejmuje interwencję, bo mamy do czynienia z zagrożeniem życia w związku z pandemią, to musi zrobić wszystko, żeby ludzie się nie gromadzili, nie zakażali itd. A jeżeli policja z tymi ludźmi się konfrontuje, tworzy dziwne sytuacje, typu: tu przepuszczę, tam nie przepuszczę, zamyka ludzi w kotłach, to nie wiem, czy do końca chodzi tu o zdrowie. Raczej przypomina to chęć rozpędzenia zgromadzenia.

Ci młodzi policjanci, których widzimy na ulicy, na pewno nie szli do policji po to, żeby po ulicach ganiać się z demonstrantami.

Z czego to wynika? Ze słabości dowódców? Czy z tego, że dowódcy zostali przyciśnięci przez zwierzchników, przez polityków, że ma być twardo?

– W środku nie jestem! Choć znając się na tej robocie, znając te mechanizmy, mogę przypuszczać, że to tak wygląda. Taktyka policji zmieniła się przecież, kiedy głos zabrali politycy. Myślę więc, że polecenia dotyczące bardziej kategorycznych działań wyszły z resortu spraw wewnętrznych. To tam komendant główny dostaje polecenia. Minister spraw wewnętrznych nie musi mu dokładnie mówić, co ma robić. Wystarczy, że powie: „Bądź bardziej stanowczy. Te protesty mają charakter nielegalny. Oczekuję wyników".

I to idzie w dół?

– Tak, ponieważ policja jest strukturą hierarchiczną, podporządkowaną. Wyjścia nie ma. Tam się wykonuje rozkazy.

A jak ktoś powie, że to jest niezgodne z prawem?

– Oczywiście teoretycznie każdy policjant ma prawo odmówić wykonania polecenia. Ale to potem wymaga wyjaśnienia, ustalenia, czy rzeczywiście jest to niezgodne z prawem. W praktyce bardzo rzadko zdarzają się takie sytuacje.

Policjant jest w kiepskiej sytuacji… Czy mu się podoba, czy nie, musi stać naprzeciw kobiet.

– Pododdziały zwarte działają na innej zasadzie niż pojedynczy policjant. Pojedynczy policjant samodzielnie podejmuje działania, natomiast pododdział zwarty działa jako całość, każdy z policjantów jest tam tylko elementem. Tyraliera to tyraliera, możliwość użycia środków przymusu – o tym decyduje dowódca. Oczywiście, w ostateczności, policjant może użyć miotacza gazu i bierze za to odpowiedzialność. Ale gdyby dowódca wydał polecenie: „Nie używamy miotaczy gazowych", to ten policjant nie mógłby go użyć.

Czyli on czuje się cegiełką, jest ubezwłasnowolniony.

– O tym, jak się używa pododdziałów zwartych, decydują dowódcy. Blokujemy, cofamy się, otaczamy, używamy środków przymusu bezpośredniego… A szeregowy policjant jest tylko elementem większej konstrukcji.

I nagle psika gazem posłance w oczy…

– Dla mnie nie do obrony jest użycie miotacza gazowego. To jeden ze środków przymusu bezpośredniego. A środków przymusu bezpośredniego używa się zgodnie z przepisami prawa i proporcjonalnie do zagrożenia. Barbara Nowacka w żaden sposób nie stanowiła takiego zagrożenia dla tego policjanta, żeby to uzasadniało użycie miotacza gazowego. Jak widać z filmów, ani nie zachowywała się agresywnie, ani to nie był środek ostateczny. Policjant był od niej większy, stał wśród kolegów, w pododdziale zwartym, miał tarczę przed sobą. I czy ona machała mu ręką, czy nie machała, to nie ma najmniejszego znaczenia. Mógł spokojnie odsunąć ją tarczą.

A pamięta pan, jak 11 listopada policjant rzucił w grupę dziennikarzy granatem hukowym?

– Tych incydentów, nad którymi się zastanawiamy, czy były zgodne ze sztuką, czy nie, i czy nie było ze strony policji złamania reguł, przepisów, jest coraz więcej. Mówimy tu o pododdziale BOA, który nagle ujawnił się na demonstracji, użyciu pałek teleskopowych, użyciu gazu wobec posłanki, wbiegnięciu na teren politechniki.

BOA to jednostka do walki z groźnymi przestępcami i z terrorystami. Jej funkcjonariusze powinni służyć pod przykryciem. To skandal, że rzucono ich na demonstrację kobiet. Przecież to nie terrorystki. Poza tym jak łatwo ich zdekonspirować.

– Sama możliwość formalnoprawna użycia oddziałów antyterrorystycznych w tego typu zabezpieczeniach jest, bo one mają to w zakresie swoich zadań. Od wielu lat używa się policjantów z oddziałów antyterrorystycznych przy różnego rodzaju zabezpieczeniach. Do tej pory były to albo starcia z kibolami, albo zabezpieczenie meczów wysokiego ryzyka. Teraz użyto ich do zabezpieczenia protestu organizowanego przez kobiety.

Dlaczego?

– Owszem, tutaj też znajdzie się uzasadnienie. Jeżeli ktoś obawiał się, że uczestniczki protestu staną się celem ataku, np. jakichś bojówek, to dobrze by było, żeby oni tam byli, żeby podejmowali interwencje. Ogólnie, żeby zatrzymywali w tym tłumie osoby indywidualne, które stwarzają zagrożenie, łamią prawo.

Taktyka policji zmieniła się, kiedy głos zabrali politycy. Polecenia dotyczące bardziej kategorycznych działań wyszły z MSW.

Policjant popełnił błąd, więc trzeba się do tego przyznać, ponieść konsekwencje. A oni jak dzieci w podstawówce: „Proszę pani, to nie ja!".

– Skoro popełniono błąd, to popełniono błąd. To nie są skomplikowane sprawy, trzeba je szybko wyjaśnić, szybko komunikować. Naruszono przepisy, jest odpowiedzialność dyscyplinarna i próby jakiegoś tłumaczenia, wykrętów niczemu nie służą. Tylko nakręcają awanturę. Ale w momencie kiedy oni wchodzą w rolę pododdziału zwartego, stają w tyralierze, trzymają się za łokcie razem z policjantami umundurowanymi, latają z tymi pałkami, gdzieś na oślep walą… To jest kicha.

Patrzę na te wszystkie „dziwne" działania policjantów i odnoszę wrażenie, że stracili panowanie nad swoimi emocjami.

– Nie wiem, jak to wygląda w kontekście pojedynczych policjantów. Czy np. to, że używają środków

eprasa.pl 874ec55186

przymusu bezpośredniego, nie wynika z tego, że nie są do tego przygotowani, ani pod względem wyszkolenia, ani pewnych predyspozycji psychomentalnych. A gdy słyszę argumenty typu: policjant ma kilka sekund na podjęcie decyzji, to skóra mi cierpnie. Bo ja bym nie chciał, żeby policjant, któremu ktoś dał broń palną, nie był w stanie podjąć decyzji i strzelił mi w łeb, bo mu się pomyliłem z jakimś bandytą. Policjant ma być tak wyszkolony i tak przygotowany do wykonywania zawodu, że jeśli ktoś mu daje środki przymusu – a to nie jest tylko pałka i gaz, to jest broń palna – ma wiedzieć, jak ich użyć.

A może policjanci dali się podpuścić? Przez polityków.

– To nie jest kwestia podpuszczania. To jest tak, że politycy wymagają, jak sami to określają, zdecydowanych i stanowczych reakcji. Komendant główny idzie z takim przekazem do siebie, do komendy, i tam zapadają decyzje co do taktyki. Bo np. dzielenie tłumu, kanalizowanie ludzi, potem wypuszczanie ich pojedynczo, po wylegitymowaniu, to jest taktyka. Ktoś ją wybrał, że ma ona być taka, a nie inna. Wcześniej tego nie robiono, tylko zabezpieczano pochód, przypatrywano się, czy ktoś kogoś nie zaatakuje itd. To była inna taktyka.

Kurs podstawowy w policji trwa dwa miesiące. Brakuje policjantów, jest mnóstwo wakatów, więc go skrócono.

Ta nowa z czegoś wynikła.

– Z tego, że ktoś powiedział: „Macie być zdecydowani w egzekwowaniu prawa, w związku z tym trzeba wszystkich uczestników karać". Wymyślili więc taktykę, żeby móc jak najwięcej ludzi wylegitymować i przesłać jak najwięcej wniosków do kolegium. Moim zdaniem ta taktyka wynikała z tego, czego żądali politycy. Patrz: minister spraw wewnętrznych od komendanta głównego.

Młodzi chłopcy idą do policji. Z marzeniami. A rzeczywistość, z którą się zderzają, jest dołująca.

– Jestem pewien, że szeregowi policjanci na pewno nie o takiej służbie marzyli. Niespecjalnie chcieliby się konfrontować w tych sytuacjach. Większość przeżywa też bardzo dużo stresów. To są sytuacje niebezpieczne. Tłum jest bardzo często nieprzewidywalny, sytuacja – dynamiczna. A ci młodzi policjanci czy młode policjantki nie są tak odporni psychicznie, żeby to na nich nie zostawiało śladów.

Trzeba mieć odporność psychiczną, kiedy tłum krzyczy do ucha.

– Policjant, żeby mógł dobrze się odnajdywać w tego typu trudnych przecież sytuacjach, musi mieć określone predyspozycje. To kwestia naboru. Nie wiem, jak wygląda teraz nabór do pododdziałów zwartych, które

---

Fanpage Polska Policja

Komentarze do petycji w obronie policjantów oraz informacji o śledztwie wszczętym w sprawie ujawnienia danych policjantów

Petycję o bezstronność policji w konfliktach politycznych też wrzuciliście? Nie potrafię jej znaleźć na waszej stronie.

•

Policjant jest dla obywatela! A nie dla polityków. Przypomnijcie sobie słowa przysięgi. „Chronić ustanowiony Konstytucją Rzeczypospolitej Polskiej porządek prawny, strzec bezpieczeństwa państwa i jego obywateli".

•

Działania na rzecz obywateli, a nie gościa z kotem mogą pomóc w poprawie wizerunku. Nie dziękujcie.

•

To działajcie zgodnie z prawem, damscy bokserzy.

•

Czy nie właściwsza byłaby petycja o podanie się do dymisji dowódców wydających rozkazy, przez które wszyscy szeregowi policjanci wykonujący je stali się obiektem szykan i ataków medialnych?

•

Jesteście żałośni. Dzień rozliczenia funkcjonariuszy, którzy przekraczają swoje uprawnienia w służbie partii, nadejdzie.

•

Czy funkcjonariusze publiczni z mocy prawa nie powinni działać jawnie i pod nazwiskiem? O ochronę wizerunków po biciu ludzi dbają przestępcy. Policja udaje, że wszystko jest w porządku.

•

Jeżeli interwencja policjantów byłaby zgodna z prawem, to nie byłoby im wstyd, że takie nagrania wyciekły. Proponuję na przyszłość pracować zgodnie z etyką zawodową i z ludzką przyzwoitością.

•

Gdyby ktoś czerpał wiedzę wyłącznie z telewizji, myślałby, że najbardziej prześladowaną grupą społeczną w Polsce są policjanci. Agresorkami są kobiety, które ujawniają dane antyterrorystów, którzy je gazują i biją metalowymi pałkami, co po prostu należy do ich służbowych obowiązków.

•

Gdyby mnie ktoś zamaskowany walił pałką po plecach, to też bym umieszczał jego wizerunek, po to żeby go zidentyfikować i zgłosić pobicie do prokuratury. To normalne, że każdy, kto zostanie pobity, ma prawo dochodzić sprawiedliwości. Jeśli tacy „policjanci" dalej są w policji, to mogą przecież znowu kogoś skrzywdzić.

•

Przecież to nie policja, tylko przestępcy, którzy biją ludzi pałkami. A Komeda Główna Policji udaje, że wszystko jest w porządku.

Fanpage Psy dają głos

Ty w ciepłym domku przeglądasz media i na podstawie pokazanej ci poszatkowanej papki kreujesz w swojej głowie obraz CAŁEJ policji. (…) Dla Ciebie cała policja to pokazany w telewizji policjant z pałką albo gazem. (…) Ja staję w obronie ogółu, tych dobrych Policjantów, o których nikt nie mówi. Bo to oni są normą. Cisi, niemedialni bohaterowie naszych ulic.

Brawo dla funkcjonariuszy Polskiej Policji. Jako obywatel dziękuję za ofiarną służbę. Dużo zdrowia dla was!

eprasa.pl 874ec55186

W Gdańsku policja od początku ostro traktowała demonstrujących. 24 października, trzeci dzień protestów.

mają swoją specyfikę. Natomiast to, jak ci policjanci reagują, zależy w dużym stopniu od wyszkolenia i od doświadczenia. Policjant dobrze wyszkolony, z doświadczeniem, nie będzie popełniał błędów. I czy ktoś będzie na niego krzyczał, czy nie, bo to jest specyfika tego typu wydarzeń, będzie wiedział, jak reagować.

A teraz wielu sprawia wrażenie zagubionych.

– Od kilku miesięcy kurs podstawowy w policji trwa dwa miesiące. Brakuje policjantów, jest mnóstwo wakatów, więc go skrócono, potem policjant sam się kształci. Cóż… Nie wiem, czy po dwóch miesiącach to on potrafi dobrze mundur założyć. Bo ustawę o policji może sobie przeczyta, ale czy ją zrozumie? Za moich czasów szkolenie kursu podstawowego trwało dziewięć miesięcy. Przychodzili ludzie i myśmy przez

•

Ja służyłam 25 lat, i to na pierwszej linii: komisariat, dochodzeniówka, mąż 10 lat więcej, moi rodzice po 35 lat służby i nie oceniam działań policji na podstawie informacji z telewizji, ale na podstawie doświadczeń własnych i innych osób. Rozumiem celowość wypowiadanych słów obu rzeczników KGP i KSP i znam ją z autopsji: zaciemnić i jeszcze raz zaciemnić, aby tylko obronić naszych. Tak zawsze było. Kto służył i służy, to zna. Ale obiektywnie patrząc na to, co się wyrabia na ulicach, to po prostu wstyd za niektórych policjantów, wstyd. Ja po tylu latach służby patrzę odważnie w lustro. Ciekawe, co zrobią inni.

•

Mam wrażenie, że pomimo tego, że większość policjantów jest OK, to brakuje jednak głosu potępienia postępowania ich kolegów i koleżanek w niektórych przypadkach. Zamiast na siłę bronić wizerunku, wystarczy potępić takie postępowanie idiotów, których naprawdę nie brakuje wśród policjantów. Ludzie docenią głos rozsądku. Akrobacje umysłowe waszych przedstawicieli, którzy wypowiadają się w waszej sprawie, są żenujące.

Sieci

„Widzieliśmy przemoc policyjną. Ludzie byli gonieni z pałami i gazem", powiedziała Marta Lempart na antenie TVN 24.

Chciały wojny, to ją mają. A policja jest od pilnowania porządku.

•

Jak się łamie prawo, trzeba się liczyć z konsekwencjami. A obrońcy Nowackiej – ciekawe, czy byście jej tak bronili, jakby przyszło wam postać przez tych oszołomów blokujących trasę ze cztery godziny w korku. (Marcin Wolski)

•

Miejsce posła jest w Sejmie, a nie na ulicy! Powinno się zlikwidować immunitety. To jest niespotykane zachowanie i chamstwo. To nie policja jest problemem, tylko takie indywidua.

•

Policja mówi: odsunąć się, to się odsuwamy, a nie gwiazdorzymy. I nie ma dyskusji. I tutaj nie ma znaczenia, czy to kobieta, mężczyzna, dziecko.

•

Policjanta odznaczyć awansować, żeby wszyscy wiedzieli na drugi raz, że to nie na żarty.

DoRzeczy

Policja sumiennie wykonuje swoje zadania, a tę patologię z ulic powinni zmyć wodą, bo łamią prawo i są opłacani przez PO i lewaków oraz namawiani, chronieni i instruowani do tych występów.

•

Policja i tak zachowuje się wyjątkowo powściągliwie wobec tej bandy d*bili, biegającej po ulicach w czasie pandemii. Przecież jest zakaz zgromadzeń. Prawo obowiązuje wszystkich, a ich nie.

•

Pałować i gazem poprawiać, ile się da, te czerwone szmaty polityczne, tych folksdojczów i pierd... targowiczan!

•

Zarzuty wobec policji są pokraczne, zmyślone i fałszywe. Wystarczy obejrzeć reportaż z ulic Paryża czy Berlina, aby stwierdzić bezpodstawność oskarżeń gorliwych oskarżycieli przeczulonych na punkcie społecznej wrażliwości (…). Nikt się nie zapyta, czy aby czasem nie należało jakoś pomóc tej policji w tej niewdzięcznej i jakże trudnej roli.

Not. Kornel Wawrzyniak

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, PIOTR HUKAŁO/EAST NEWS

eprasa.pl 874ec55186

ten czas ich obserwowali. I podczas nauki, i po nauce, bo wszyscy mieszkali w szkole. W tym czasie mogliśmy stwierdzić, czy kandydat ma predyspozycje do pracy w policji, wyłapać to wszystko, czego nie udało się dostrzec na pierwszym etapie selekcji. I wtedy z takich ludzi rezygnowaliśmy.

Dwumiesięczne szkolenie jest za krótkie?

– Pewnych rzeczy nie da się nauczyć poprzez samokształcenie. Policjanci, żeby minimalizować ryzyko błędu, muszą mieć odpowiednie predyspozycje, muszą być dobrze wyszkoleni i mieć doświadczenie. I trzeba sobie jasno powiedzieć: zawód policjanta potrzebuje mistrza. Jak nie pochodzisz za starszym kolegą, to się nie nauczysz. Obojętnie, czy to prewencja, czy kryminalny, musisz mieć mistrza, który cię nauczy, który ci pokaże, przy którym będziesz praktykował, który będzie stał koło ciebie i zadba, żebyś nie psikał gazem, kiedy nie należy psikać.

Przecież za „dobrej zmiany" wyrzucano z policji hurtowo.

– Tak mamy… Ścieżki karier zawodowych policjantów w ogóle są nie do wytłumaczenia. To znaczy ja je bardzo dobrze rozumiem, bo spędziłem za pierwszego PiS dwa lata w MSW.

Policjanci z jednej strony pozują na twardzieli, a z drugiej, jak przychodzi szef i coś każe, to są malutcy, bez jaj. Wykonują posłusznie, co im się każe.

– Musi pan pamiętać, że w Polsce tzw. apolityczność w instytucji takiej jak policja to wyłącznie slogan. Prawda wygląda tak, że u nas politycy chcieliby ręcznie sterować policją. Przecież jest tajemnicą poliszynela, że jak chcesz dziś być komendantem komisariatu w Pcimiu Dolnym, to musisz znać lokalnego polityka.

Z PiS.

– Z opcji rządzącej. Bo bez niego nie pójdziesz do góry. Politycy mówią o apolityczności policji, a potem decydują, jak wygląda ścieżka kariery, kto awansuje, kto nie, kogo zwolnimy. Policjanci z kolei szukają kontaktów z lokalnymi politykami, fraternizują się z nimi, tworzą się jakiejś niezrozumiałe zależności. To sprawia, że komendantami, dowódcami zostają ludzie, którzy nie są do tego przygotowani, nie mają doświadczenia, odpowiednich umiejętności ani wiedzy, jedyne, co mają, to znajomego polityka, który spowodował, że się znaleźli w tym miejscu. Nie mówię, że tak jest wszędzie – ale tak jest w wielu miejscach. A od takich ludzi nie możemy wymagać, żeby mieli te jaja, o których pan redaktor mówi. Bo to są ludzie, którzy awansowali dzięki politycznym, a nie zawodowym umiejętnościom.

Policjanci z jednej strony pozują na twardzieli, a z drugiej wykonują posłusznie, co im się każe.

Czyli agresja policji wynika nie z jej siły, tylko ze słabości?

– Tak. I to nie ze słabości rozumianej przez pryzmat braku wyszkolenia, tylko słabości jako instytucji. To, że policja jest uzależniona od polityków i że politycy bardzo często policją sterują ręcznie, powoduje, że mamy nie najlepsze kadry dowódcze i komendantów.

Nie znajdziemy tam gościa, który powie: „Takich rzeczy robić nie będę, odchodzę"?

– Obawiam się, że przez najbliższe lata, kiedy u władzy będzie Zjednoczona Prawica – nie znajdziemy. Bo politycy już dbają, żeby takich ludzi tam nie było. Oni potrzebują takich, którzy posłusznie będą wykonywali ich polecenia.

A ludzie w policji nie boją się, że jak przyjdzie nowa władza, to ich powyrzuca, może skieruje jakieś sprawy do sądu, a może i zabierze emeryturę?

– Nikt o tym nie myśli. Jest tu i teraz. Można awansować, to się awansuje, można dostać podwyżkę, to się ją bierze. I tyle.

Chyba rozumiem tę logikę. Jest taki wybór: albo wysługujesz się władzy, a wtedy awansujesz i dostajesz pieniądze, i być może wywalą cię za trzy lata, albo mówisz „nie" i wtedy od razu cię wywalą.

– Taki jest wybór.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Marek Czarkowski

Kiedy u przebywającego w swoim domu w Budzie Ruskiej Bronisława Komorowskiego stwierdzono zarażenie koronawirusem, były prezydent najpierw trafił do szpitala powiatowego w Sejnach. Jednak wkrótce Ministerstwo Zdrowia w porozumieniu z sejneńskimi lekarzami podjęło decyzję o przewiezieniu go do Wojewódzkiego Szpitala Zakaźnego w Warszawie, gdzie ordynatorem jest prof. Andrzej Horban, główny doradca premiera Mateusza Morawieckiego ds. pandemii COVID-19. Według ostatnich wiadomości stan zdrowia Bronisława Komorowskiego jest stabilny.

Nie ma nic dziwnego w tym, że były prezydent ze szpitala powiatowego szybko trafił do specjalistycznej placówki. Choć przeciętny Polak nie miałby na to szans. Jego przykład powinien nam uświadomić, że te szpitale, których w Polsce działa ok. 260, to podstawa naszej obrony przed pandemią. Zapomniana, niedoinwestowana, wyeksploatowana, z przemęczonym personelem, lecz – w co głęboko wierzę – ze wszystkich sił walcząca o życie każdego pacjenta.

Szpitale błagają o pomoc

Szpitale powiatowe to konie robocze polskiej służby zdrowia. Od lat wdzięczny temat reportaży opisujących prowincjonalne patologie. Covid spadł na nie niczym grom z jasnego nieba. Dotychczas walczono o posady i wiecznie brakujące pieniądze. Walczono też o lekarzy i pielęgniarki, których brakowało od zawsze.

W skrajnych przypadkach, jak w szpitalu w Tarnowskich Górach, walczono z pleśnią na kromkach chleba, które podawano na śniadanie i kolację pacjentom. Ale tylko do chwili, gdy mało apetyczne zdjęcia trafiły na facebookową grupę „Posiłki w szpitalach". Musimy także wiedzieć, że grubo ponad połowa tych szpitali jest zadłużona, bez najmniejszych widoków na samodzielne wyjście z kłopotów.

W marcu i kwietniu br., wbrew huraoptymistycznym zapewnieniom ministra zdrowia Łukasza Szumowskiego i głównego inspektora sanitarnego Jarosława Pinkasa, że jesteśmy gotowi do starcia z pandemią,

eprasa.pl 874ec55186

DRAMAT
w szpitalach powiatowych

To, co o nich wiemy, budzi przerażenie. To, czego nie wiemy, jest jeszcze gorsze

Szpital powiatowy w Radziejowie jest placówką jednoimienną. Jego dyrektor Sebastian Jankiewicz po godzinach jeździ jako ratownik medyczny.

okazało się, że w tych placówkach brakuje dosłownie wszystkiego.

30 marca dr Lech Dziedzic, p.o. zastępca dyrektora szpitala powiatowego w Sokołowie Podlaskim, apelował o „pomoc finansową, rzeczową z przeznaczeniem na środki ochrony osobistej, m.in. zakup maseczek ochronnych, fartuchów ochronnych, przyłbic, kombinezonów dla pracowników".

Pikanterii sprawie dodawał fakt, że zastępcą ordynatora oddziału chirurgicznego w tej placówce był senator PiS, sekretarz stanu w Ministerstwie Zdrowia, Waldemar Kraska.

6 listopada br. wiceminister Kraska, zapytany przez dziennikarza Programu I Polskiego Radia o możliwość skorzystania z deklarowanej niemieckiej pomocy w walce z koronawirusem, odparł z godnością: „W tej chwili mamy wystarczającą ilość łóżek i wystarczającą ilość respiratorów. Myślę, że do takiej sytuacji nie dojdzie. Budujemy szpitale tymczasowe. W tej chwili naprawdę jesteśmy samowystarczalni", i dodał, że za każdą pomoc trzeba dziękować, ale dzisiaj takiej pomocy Polska nie potrzebuje.

Tego samego dnia dyrekcja sokołowskiego szpitala wystosowała kolejny apel do mieszkańców powiatu i wszystkich ludzi dobrej woli o pomoc finansową. Pieniądze były potrzebne na wymianę windy (180 tys. zł), nową rozdzielnię napięcia elektrycznego (90 tys. zł), zakup lampy przepływowej eliminującej wirusy, m.in. SARS-CoV-2, w pomieszczeniach (ponad 75 tys. zł), pięciu kamer i rejestratorów do pomieszczeń izby przyjęć (3,3 tys. zł) oraz jak wcześniej: maseczek, kombinezonów, fartuchów, rękawic, przyłbic itp.

Z identycznymi apelami o wsparcie zwracały się do społeczeństwa dyrekcje szpitali powiatowych w Gostyniu, Wolsztynie, Stalowej Woli, Ostrołęce, Brzesku, Wolicy, Sierpcu, Wodzisławiu Śląskim, Grajewie, Siedlcach, Nisku, Łukowie, Działdowie, Kozienicach, Łańcucie, Koninie, Brodnicy, Gryficach, Żywcu, Wadowicach, Jarocinie, Rypinie, Nowej Dębie, Przeworsku, Tarnobrzegu, Dębicy itd. Prawdopodobnie uczyniły to niemal wszystkie.

Apele te nie zawsze spotykały się z pozytywną reakcją administracji rządowej. Na przykład wojewoda wielkopolski Łukasz Mikołajczyk nie krył zaskoczenia po zapoznaniu się z wołaniem o pomoc dyrekcji szpitala w Ostrowie Wielkopolskim. Napisał: „Poczułem nawet nie irytację, co smutek", bo przecież – zdaniem wojewody – placówka dostała duży zastrzyk gotówki, a „dodatkowo z Agencji Rezerw Materiałowych szpital otrzymał kilkanaście respiratorów, kardiomonitorów i pulsometrów".

Gdy w marcu br. Grażyna Welter, dyrektor Wojewódzkiego Szpitala Obserwacyjno-Zakaźnego w Bydgoszczy, zaapelowała o nieodpłatne przekazywanie placówce środków ochrony bezpośredniej, wojewoda kujawsko-pomorski Mikołaj Bogdanowicz na Facebooku odpowiedział: „Na bieżąco przekazujemy środki ochrony bezpośredniej do Wojewódzkiego Szpitala Obserwacyjno-Zakaźnego w Bydgoszczy, dzięki którym zachowywana jest ciągłość przyjmowania pacjentów". Także resort zdrowia, na czele którego stał Łukasz Szumowski, przekonywał, że sytuacja jest pod kontrolą, a wszystko, co niezbędne, dostarczy Agencja Rezerw Materiałowych. Dziś wiemy, jak było.

Szpitale powiatowe to konie robocze polskiej służby zdrowia. Pandemia je wykańcza.

Umieralnia z noclegownią

O tym, że szpitale powiatowe to nie Mayo Clinic w Rochester ani Charité w Berlinie, wiemy od dawna. Lecz wstrząs, jaki wywołał reportaż wyemitowany przez TVN 12 listopada br. o tym, co działo się z chorymi na covid w Szpitalu Powiatowym w Iławie, był potężny. Wystąpili w nim bliscy pacjentów, którzy mieli nieszczęście trafić na tamtejszy

FOT. PAP/TYTUS ŻMIJEWSKI

eprasa.pl 874ec55186

oddział covidowy. Jednym z nich był 62-letni, pochodzący z Ostródy, a na stałe mieszkający w Niemczech, Jan Szwezig, który zmarł w iławskiej placówce. Wdowa po nim mówiła, że lekarz, który z nią rozmawiał przez telefon, nakrzyczał na nią, gdy chciała się dowiedzieć, jaki jest stan męża, i się rozłączył. Jeden z pacjentów, do którego dotarli dziennikarze, opowiedział, że Szwezig leżał martwy na łóżku osiem godzin, zanim ktoś z personelu się nim zainteresował. Inni chorzy opowiadali, że pozostawiono ich bez opieki lekarskiej i pielęgniarskiej i że w miarę możliwości starali się pomagać sobie nawzajem.

Po emisji reportażu kontrole do Iławy wysłali wojewoda warmińsko-mazurski Artur Chojecki i Narodowy Fundusz Zdrowia. Rzecznik praw pacjenta pytał wojewodę, jakie ten podjął działania, by zapewnić pacjentom szpitala właściwą opiekę medyczną. Starosta powiatu iławskiego Bartosz Bielawski – z zawodu lekarz weterynarii – w specjalnym oświadczeniu stwierdził, że proces tworzenia oddziału covidowego odbywał się poza starostwem, a on nie uczestniczył w żaden sposób w organizacji pracy na tym oddziale. Wyraził też słowa ubolewania z powodu sytuacji, w jakiej znaleźli się pacjenci i ich rodziny.

Temat stał się gorący, więc nie trzeba było długo czekać na kolejne rewelacje o tym, w jakich warunkach umierają pacjenci w szpitalach, jak są traktowani przez personel. Jak brakuje podstawowego sprzętu...

W Szpitalu Powiatowym w Kolbuszowej lekarz na izbie przyjęć odmówił udzielenia pomocy 76-letniemu pacjentowi z hospicjum w bardzo ciężkim stanie. Zbadał chorego, dopiero gdy zjawili się policja i prokurator. Następnego dnia nad ranem pacjent zmarł. Cierpiał na raka wątroby, więc zapewne niewiele dałoby się zrobić. Podobno dyrektor szpitala mocno skomentował to zdarzenie: „Przyjechał do szpitala umrzeć, tak to można krótko, wulgarnie podsumować".

Przypomniano historię 21-letniej dziewczyny, która z podejrzeniem udaru trafiła na SOR w Szpitalu Powiatowym w Zawierciu i nie otrzymała natychmiastowej pomocy, w związku z czym jej stan bardzo się pogorszył. Sprawą zajęła się prokuratura.

Wędrujące karetki

Do sieci trafiły też zdjęcia leżącej na podłodze półnagiej, ubrudzonej fekaliami pacjentki w Wojewódzkim Szpitalu Specjalistycznym w Zgierzu. Ich autor twierdzi, że leżała tak bez pomocy kilka godzin. Dyrekcja placówki przekonywała, że zdjęcie wykonano na styku zmian personelu pielęgniarskiego, który trwa maksymalnie 15 minut. W internecie można znaleźć film, na którym z jednego z płockich szpitali pacjent wychodzi

eprasa.pl 874ec55186

na czworakach. Tamtejsza dyrekcja zapowiedziała wyjaśnienie sprawy.

Gdy w sieci pojawiły się zdjęcia lekarzy jednego ze szpitali w Gorzowie Wielkopolskim będących w pracy bez masek chirurgicznych, także zapowiedziano wyjaśnienie. I zasugerowano, że może pochodzą one z czasów, gdy maseczki nie były obowiązkowe.

Sytuacji, w których pacjent umiera w karetce, bo w szpitalu nie chcą go przyjąć, było już tyle, że kolejne nikogo nie bulwersują. W Siemiatyczach załoga karetki zastała drzwi szpitala zamknięte na łańcuch! Szpital w Kraśniku miał zbyt mało tlenu, więc nie przyjął nowego pacjenta, który zmarł w karetce. Załoga nie zdążyła dowieźć go do innej placówki. Przed SOR w Nysie zmarł w karetce pacjent zarażony koronawirusem. Prokuratura wszczęła śledztwo.

Na początku listopada br. dwaj mężczyźni, ofiary wypadku drogowego pod Włodawą, byli wożeni karetkami od szpitala do szpitala, lecz nie zostali przyjęci, także z powodu koronawirusa. W efekcie jeden zmarł w karetce, a drugi – gdy dowieziono go do szpitala – w Lublinie.

Najnowszy szpitalny problem to brak butli z tlenem, niezbędnym osobom z ciężkim przebiegiem covidu. Jeśli w najbliższych tygodniach zwiększyłaby się liczba chorych wymagających hospitalizacji, doszłoby do dramatycznych sytuacji, w których personel medyczny musiałby decydować, komu podać tlen, a komu nie, skazując taką osobę na śmierć. Zanim minie pandemia, z pewnością poznamy wiele innych szokujących historii.

Lekarze i personel medyczny walczący z covidem są przemęczeni. Dodajmy do tego chaos organizacyjny i nawet najwięksi optymiści będą musieli przyznać, że polska służba zdrowia trzeszczy w szwach. Nie brakuje głosów, że właściwie już się rozpadła, tylko nie chcemy tego przyjąć do wiadomości.

Tak czy inaczej, przyjdzie nam zbudować od podstaw nowoczesną służbę zdrowia. Przyjazną pacjentom, zapewniającą godne warunki pracy i płacy lekarzom, pielęgniarkom i całemu personelowi medycznemu. Będzie to ważniejsze zadanie niż budowa Centralnego Portu Komunikacyjnego im. Solidarności Baranów, przekopanie Mierzei Wiślanej czy wyprodukowanie miliona samochodów elektrycznych.

Marek Czarkowski

m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl

Gdy wiceminister Kraska odmawiał przyjęcia pomocy z Niemiec, jego szpital apelował o pieniądze do mieszkańców.

www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Wpłat prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7. W cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Pocztą Polską. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +10,00 zł, paczka w RUCH-u +6,99 zł lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł. Promocja ważna do 18.12.2020 r. lub do wyczerpania zapasów.

eprasa.pl 874ec55186

Maryja i wojownicy z mieczami

Ludzie sobie do gardeł skaczą, a w Kościele rosną w siłę męskie wspólnoty o militarnych nazwach

Helena Leman

29 listopada, w niedzielne popołudnie, przy kościele św. Wojciecha na kartuskim osiedlu Wybickiego gwarno, choć na dworze ziąb przenikliwy. Uwagę zwraca zwłaszcza spora grupa młodych mężczyzn. Skierowane do nich zaproszenie na pierwsze w regionie spotkanie wspólnoty Wojownicy Maryi umieściły na swoich stronach dwie kartuskie parafie. Ta wspólnota męska, której opiekunem jest znany rekolekcjonista, salezjanin ks. Dominik Chmielewski, jak czytam w zaproszeniu, „wspiera się w przezwyciężaniu swoich słabości i grzechów poprzez wspólną modlitwę, rozwój wiedzy i duchowości oraz wzajemną pomoc".

Niewielki kościół wydaje się zbyt wypełniony jak na warunki epidemii, wszystkie miejsca w ławkach zajęte. Wśród zgromadzonych także starsi, rodziny z dziećmi, większość w maskach, choć są i osoby bez nich. Wierni stoją też wzdłuż ścian, gdzie najłatwiej o dystans, niektórzy czekają w kolejkach do konfesjonałów, bo to początek adwentu.

Przed mszą, która ma poprzedzić konferencję wojowników, zapada ciężka, pełna dziwnego napięcia cisza, jakby za chwilę miało się coś wydarzyć, coś się stać. Kilku 30-latków ustawionych w szeregu, po prawej stronie od wejścia, uważnie lustruje wchodzących. Choć starają się być dyskretni, trudno nie zauważyć ich czujnych spojrzeń. Nabożeństwo bez kazania, w skróconej formie, szybko mija, na koniec zgromadzeni śpiewają suplikacje: „Święty Boże, święty mocny, święty a nieśmiertelny, zmiłuj się nad nami. Od powietrza, głodu, ognia i wojny wybaw nas, Panie". Ten piękny, starodawny hymn błagalny wybrzmiewa tu dzisiaj szczególnie.

Pakiet wojownika Maryi

Po mszy zostają sami zainteresowani i kilka towarzyszących im kobiet. Spotkanie rozpoczyna się adoracją Najświętszego Sakramentu i wspólnym różańcem. Do tej modlitwy przed ołtarzem zostaje poproszonych pięciu przedstawicieli tworzącej się wspólnoty. Po różańcu głos zabiera Michał (nazwiska nie podaje), lider grupy Wojowników Maryi z Rumi i szef regionu kujawsko-pomorskiego. Dziękuje zebranym za tak liczne przybycie, dodając, że na Kaszubach zawsze można polegać. Łagodnym, ujmującym tonem podkreśla, że celem wspólnoty jest doskonalenie „męskich cnót", aby być „coraz lepszym mężem, ojcem i obywatelem".

FOT. ADAM CHEŁSTOWSKI/FORUM

eprasa.pl 874ec55186

Wojownicy Maryi wzięli udział w marszu dla życia i rodziny w Warszawie, 20 września 2020 r.

– Celem Wojowników Maryi jest też to, aby jak najwięcej mężczyzn było w kościołach, by ich rodziny wzrastały w wierze – podkreśla. Mówi, że formacja przyszłych członków wspólnoty trwa dwa lata i przebiega w dwóch wymiarach: duchowym i fizycznym. Wymiar duchowy stanowi modlitwa wspólnotowa i raz w miesiącu spotkania regionalne. Wymiar fizyczny to wspólne spędzanie czasu na różnego rodzaju aktywnościach, np. grze w piłkę, poznawanie się podczas nich, dzielenie radościami, ale i smutkami. Wzorem do naśladowania mają być biblijni bohaterowie, np. Józef Egipski, Jakub czy Mojżesz, którzy byli niedoskonali i popełniali wiele błędów, lecz zmienili to, gdyż pracowali nad sobą.

– Mojżesz, przybrany syn faraona, początkowo zachłysnął się władzą i dobrobytem, był trudny i porywczy. Gdy zabił Egipcjanina, który znęcał się nad jego rodakiem, świat, który go wychował, odrzucił go, wygonił na pustynię, gdzie przebywał 40 lat i zmagał się z różnymi przeciwnościami. Przełóżcie życie Mojżesza na swoje własne – kończy Michał, a opowieść o biblijnym bohaterze kontynuuje jeden z księży. Na koniec zaczyna się dyskusja, dwóch mężczyzn próbuje się podzielić swoimi dylematami, dzieciństwem bez ojca, problemami wychowania dzieci w rozbitym związku, lecz wypada to dość blado i sztucznie. Może czas i miejsce nie sprzyjają takim rozmowom.

Zaglądam na facebookową stronę Wojowników Maryi. Między laurkowymi postami dziwne, intrygujące hasła różnych spotkań rekolekcyjnych: „Bądź diamentem Boga w czasach ciemności", „Rozpoczyna się czas oczyszczenia", „Uzbrojenie mocą z wysoka". W tym wszystkim jedynie zbiórka na chorego Filipka wydaje się zwyczajna. Na stronie można też kupić „Pakiet wojownika Maryi", osiem książek za 129 zł, niektóre autorstwa samego Dominika Chmielewskiego. Wystarczy kliknąć i otwiera się internetowy sklep. Inne jego książki również w wyjątkowych cenach do końca listopada. Niektórzy chwalą się w postach, że dokonali już takiego zakupu. Można poza tym odsłuchać pieśń wojowników, odśpiewano ją także podczas spotkania w Kartuzach.

Do czego służy miecz

By stać się wojownikiem, trzeba przejść formację, zdać egzamin i przystąpić do uroczystego zawierzenia, tzw. Pasowania Mieczy, które odbywa się raz w roku. Pasowani sprawiają sobie prawdziwy miecz, który zgodnie z zasadami trzymają w reprezentacyjnym miejscu w swoim domu. O tym pasowaniu na spotkaniu w Kartuzach mówi się półgębkiem, między wierszami.

Gdy dziennikarz Expressu Kaszubskiego pyta wikariusza parafii św. Wojciecha, ks. Krzysztofa Krzemińskiego, czy w Kościele, który głosi miłość bliźniego, jest miejsce na posługiwanie się mieczem, na wojowników, ksiądz wyjaśnia: – Sam Chrystus zapytany przez swoich uczniów, czy przynosi ziemi pokój, odpowiada – nie. „Nie przyszedłem przynieść pokoju, ale miecz" (Mt, 10,34). Przychodzi, by przynieść oczyszczający ogień i oddzielenie. Nie chodzi o to, by tworzyć rozłam między ludźmi, ale o to, by ogień oczyszczenia zadziałał w każdym człowieku, by każdy człowiek potrafił się skonfrontować z tym, co jest w nim złego i grzesznego. Miecz od starożytności łączony jest nie tylko z militariami – to płytkie i dosłowne odniesienie – ale także ze słowem bożym, które osądza i oddziela.

Gdy dziennikarz dalej docieka, czy ksiądz ma pewność, że wśród wojowników Maryi nie ma osób, które szukają sposobności, by pod pozorem modlitwy, różańca radykalizować się, a później podejmować działania pod adresem innych środowisk, jego rozmówca trochę kluczy, by uciąć następująco: – Naszym zadaniem jest odpowiedzieć na potrzeby wierzących, którzy dostrzegają w sobie konieczność walki z własnym grzechem.

Dodaje, że krzywdę można wyrządzić każdym narzędziem, nie tylko mieczem, ale i słowem, a wspólnota jeszcze formalnie nie została przyjęta w struktury parafii.

„Wojownicy twierdzą, że miecz jest symbolem walki z grzechem i złem w sobie. Niestety, miecz nie kojarzy się jedynie tak. To narzędzie wojny, śmierci i przemocy. Nie tylko w świecie. W Kościele też używano miecza, by zabijać innowierców i heretyków. Takie wyobrażenie siedzi w zbiorowej świadomości. W ten sposób wskrzesza się upiory. Kiedy patrzę na mężczyzn, którzy nazywają się wojownikami Maryi i trzymają miecze w ręku, to pytam się znowu, w jakim Kościele ja żyję?", pisze w internecie jezuita Dariusz Piórkowski.

Modlitwa czy pokaz siły

Z artykułu Anny Mierzyńskiej zamieszczonego 11 października 2020 r. na portalu OKO.press można się dowiedzieć, jak radykalne grupy zawłaszczają Kościół. Męskich wspólnot katolickich jest w Polsce ze 20. Są to np. międzynarodowy Zakon Rycerzy Kolumba, Nazaret – Męska Grupa Różańcowa, Męskie Plutony Różańca, Rycerze Jana Pawła II, Przymierze Wojowników, Wojownicy Maryi czy ruch Żołnierze Chrystusa, który już w przysiędze odrzuca ideę Kościoła otwartego, propagowaną przez papieża Franciszka. Militarne atrybuty, stroje, rytuały, nazewnictwo, hierarchiczna struktura tych grup staje w opozycji do Kościoła miękkiego, żeńsko-katolickiego, uważanego przez ich członków za zniewieściały.

„Dla nas Wojowników Maryi miecz jest symbolem. Miecz jest męski tak jak nasza wspólnota", odpowiada jezuicie Dariuszowi Piórkowskiemu jeden z wojowników, a drugi dodaje bez ogródek: „Kościół wyprodukował już falę męskich kastratów. To, że ksiądz jest jednym z nich, nie znaczy, że wszyscy mają tacy być!". O męskości ruchu przypomina nawet nazwa jego strony internetowej – WojownicyMaryiOnly4Men.

Męskich wspólnot katolickich jest w Polsce ze 20. Są żołnierze, wojownicy, rycerze i plutony.

eprasa.pl 874ec55186

Ks. Dominik Chmielewski, ich założyciel i opiekun, jest jak wykuty z kamienia, bardziej przypomina żołnierza niż duchownego. Ma trzeci dan w karate, przez wiele lat praktykował zen, był też dyrektorem ds. szkolenia w Polskim Związku Sztuk Walki w Bydgoszczy. Rapuje do Matki Bożej, znany jest z kontrowersyjnych wypowiedzi. W sierpniu br. podczas rekolekcji stwierdził, że pandemia to „narzędzie szatana, które ma zniszczyć Eucharystię". A podczas kazania w lutym 2015 r. oświadczył, że choroba psychiczna i depresja to skutek przekleństwa w rodzinie i działania szatana.

„4 września tego roku w Kaplicy Matki Bożej na Jasnej Górze wojownicy Maryi rozpoczęli nowy rok formacyjny i dokonali aktu zawierzenia Maryi – opisuje Anna Mierzyńska. – Zdjęcia robią wrażenie: cała kaplica jest szczelnie wypełniona mężczyznami w czarnych koszulkach, na których wydrukowano twarz Maryi w obramowaniu dwóch mieczy". 1,5 tys. mężczyzn, liderów i odpowiedzialnych za ruch, powierzyło się Maryi – pisze potem w internecie założyciel wspólnoty.

Z ostatnich danych umieszczonych na stronie wojowników wynika, że w prawie 60 miastach w Polsce odbywają się oficjalne spotkania regionalnych wspólnot, wojownicy działają też za granicą. W województwie pomorskim są w Słupsku, Rumi i Starogardzie Gdańskim. „To jest armia na nasze czasy – modlitwa różańcem, a jak trzeba, w obronie wiary i rodziny, mieczem", komentował w czerwcu 2019 r. złożenie przysięgi przez 120 wojowników w klasztorze w Niepokalanowie Bartłomiej Pejo, zięć Janusza Korwin-Mikkego.

Radykalne grupy coraz śmielej wychodzą z cienia. Po Śląsku z inicjatywy wojowników jeździ ciężarówka z wizerunkiem Matki Bożej, organizuje się publiczne męskie różańce. – To nie jest zwykła modlitwa, raczej pokaz siły. W publicznym miejscu mężczyźni stają w równych szeregach i odmawiają modlitwę. Czasem elementem wydarzenia jest także przemarsz z obrazem Matki Boskiej. Oglądając materiały z tych różańców, można odnieść wrażenie, że modlitwa jest tu jedynie dodatkiem, celem głównym zaś demonstracja – podkreśla Jarosław Makowski, teolog i filozof.

Na stronie wojowników jedna z internautek opisuje, że w jej mieście każdego miesiąca z innej parafii wojownicy idą ulicami z obrazem Matki Boskiej Kecharitomene. „Mój mąż też bierze udział, jestem bardzo dumna z Niego", podsumowuje. „Wspaniale. Teraz jest czas na obronę kościołów, świętych obrzędów oraz miejsc przed bandytami", pisze kolejna kobieta. Zastanawiające, że *gros* pochwalnych postów na stronie „tylko dla mężczyzn" umieszczają kobiety.

Po Śląsku z inicjatywy wojowników jeździ ciężarówka z wizerunkiem Matki Bożej, organizuje się publiczne męskie różańce.

Komu przeszkadza młoda w berecie

Konferencja wspólnoty w Kartuzach wywołała burzę w internecie. Pod artykułami na portalach Express Kaszubski i Kartuzy.info, które pierwsze nagłośniły wydarzenie, dużo postów. „Takie rzeczy w Kartuzach?", dziwi się ktoś, a inni dodają, że Bóg, Jezus czy Maryja nie potrzebują obrony. Niektórych z kolei zastanawia legalność spotkania w dobie epidemii. „Czy kapłanom u nas już całkowicie odbiło? – pyta internauta. – Nie widzicie, co się dzieje? Ludzie sobie do gardeł skaczą, a wy szykujecie armię wojowników z symbolem miecza? I co? Potem w niedzielę z ambony będzie o miłości i pojednaniu?".

„Wielki szacunek dla proboszcza klasztoru w Kartuzach – pisze ktoś – że nie zgodził się na to pajacowanie. Jestem w szoku, że nasz ksiądz pozwolił na próbę tworzenia jakichś wojowników Maryi. Pytam, przeciwko komu będą wojować. Dla mnie to zwykli kibole, trzymają różańce i nie wiedzą, co dalej. Od dziś zmieniam parafię. Amen".

Druga strona tłumaczy, że miecz jest jedynie symbolem walki ze swoimi słabościami, że nikt z nikim walczyć nie zamierza. Zaprzeczają temu wpisy, w których padają obraźliwe słowa o „lewackich psach", „kacapach" itp. Obrywa się również lokalnym mediom, autorowi artykułu w Expressie zarzuca się, że „jego tekst jest tępy, bo lewackość odebrała mu przytomność". Ktoś nawet proponuje, by Express Kaszubski wyp… z powiatu.

„Powiedzcie mi, jakim prawem – oburza się uczestnik spotkania – w kościele, w strefie zamkniętej, na koniec mszy wpadli jak hieny wygłodniałe sensacji jacyś fotografowie. Przeszkadzali ludziom, nie zachowali powagi w obliczu największego *sacrum*, jakim jest adoracja Najświętszego Sakramentu. A ta młoda w berecie to wręcz się pogubiła w tej pogoni".

Mnie w spokoju udało się dotrwać do samego końca spotkania. Pewnie dlatego, że nie byłam w fantazyjnym berecie, no i nie jestem już taka młoda, więc nie kojarzę się ze Strajkiem Kobiet. Chciałabym wierzyć, że Wojownicy Maryi odbudują męski etos, etos odpowiedzialnego, otwartego, tolerancyjnego partnera, męża, ojca, że rzeczywiście zgodnie ze słowami przysięgi, którą składają, będą stawać w obronie najsłabszych. Ale na plecach wciąż czuję te ich przewiercające spojrzenia i coś im nie dowierzam…

Ks. Dominik Chmielewski, założyciel Wojowników Maryi: „Pandemia to narzędzie szatana, które ma zniszczyć Eucharystię".

Na koniec zaglądam jeszcze raz na stronę wojowników. Jest nowa wiadomość: wspólnota objęła patronat i została włączona w organizację rekolekcji w parafiach do końca tego roku kalendarzowego. Otrzymano specjalny list poparcia od abp. Stanisława Gądeckiego, metropolity poznańskiego.

Helena Leman
h.leman@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 874ec55186

Z Galicji

Jan Widacki

Edukacja czasu wojny

Antoni ma 10 lat i jest uczniem czwartej klasy. Jak wszystkie dzieci posiadające komputer pobiera nauki zdalne. Mama Antoniego po wyroku Trybunału Niekonstytucyjnego w sprawie aborcji biega na wszystkie manifestacje i protesty. Koleżanki i znajome mamy Antoniego też. W domu ciągle się o tym mówi, w dodatku Antoni, dziecko nad wiek dojrzałe i inteligentne, w chwilach wolnych od studiowania internetu i gry na komputerze, a czasem nawet równolegle do tych czynności, ogląda niesłuszną telewizję TVN 24.

Na skutek tej indoktrynacji mały Antoni, nawet bez wiedzy mamy, na swoim awatarze umieścił błyskawicę. Znak kobiecego strajku. Gdy z tym znakiem włączył się do lekcji, wywołał gniew Pani Nauczycielki. Pani Nauczycielka, jak się okazuje, nie chodzi na protesty, nie ogląda nieprawomyślnej TVN 24. Znak błyskawicy interpretuje tak jak Jarosław Kaczyński. Chciałoby się powiedzieć: wolno jej. Ale wolno też małemu Antoniemu.

Tymczasem Pani Nauczycielka nakrzyczała na małego Antoniego, że umieszcza na awatarze znak nienawiści, kazała mu go natychmiast usunąć i… obniżyła mu ocenę z zachowania. Nie wdając się w spory z Panią Nauczycielką, nie tłumacząc jej, że błyskawica jest symbolem gniewu (także bożego gniewu – proszę Pani Nauczycielki), trzeba chwilę się zastanowić nad sposobem wychowywania przez nią zastosowanym. Mogła, mimo że prezentuje poglądy inne niż otoczenie małego Antoniego, udawać, że znaku tego nie widzi. Mogła go zignorować. Jeśli znak błyskawicy na awatarze ucznia nie podobał się jej tak dalece, że w nerwach nie mogła prowadzić lekcji, mogła poprosić o jego usunięcie. Mogła to zrobić w formie delikatnej i wychowawczej. Powiedzieć: „Antosiu, nie wiem, czy rozumiesz, co oznacza ta błyskawica. Być może dla ciebie i twoich bliskich znaczy ona coś innego niż dla mnie i wielu ludzi o poglądach do moich podobnych. Może także dla niektórych twoich kolegów i ich bliskich. Ten znak, jak widzisz, jest kontrowersyjny, dzieli ludzi, lepiej nie używaj go w czasie lekcji”. Nie wyrzekając się własnych poglądów, uszanowałaby poglądy odmienne od swoich, a przy okazji dała wszystkim uczniom, nie tylko Antosiowi, lekcję tolerancji. Ale Pani Nauczycielka tego nie potrafi. Dla niej wychowanie to tresura, wymuszanie na uczniach, aby przyjęli jej pogląd, skądinąd jedynie słuszny. No bo jakże inaczej, skoro sam Jarosław Kaczyński tak interpretuje ten znak („esesmańska błyskawica”). Pomijając oceny moralne takiego sposobu „wychowywania”, trzeba powiedzieć, że jest ono po prostu nieskuteczne, a nawet przeciwskuteczne. Całe kilkudziesięcioletnie doświadczenie szkoły PRL-owskiej, która próbowała w różnych okresach z różnym natężeniem indoktrynować, pokazuje, jak ta indoktrynacja jest przeciwskuteczna.

Zmuszony przez Panią Nauczycielkę Antoś zmienił swojego awatara. W miejsce błyskawicy umieścił na nim tęczową flagę. Gdyby Pani Nauczycielka wiedziała coś niecoś z nauk społecznych, coś z pedagogiki lub psychologii, zrozumiałaby, że stygmatyzowała Antosia i utrwaliła w nim chęć buntu.

W sprawie tęczowej flagi na awatarze interweniował u matki Antosia, choć zdaje się bez większego przekonania, Pan Wychowawca. Najwyraźniej nie z własnej inicjatywy, tylko na prośbę (żądanie?) Pani Nauczycielki. Gdy usłyszał stanowczą odmowę matki, która oświadczyła, że nie każe dziecku zmieniać awatara, bo w tęczowej fladze nie widzi nic złego, przeprosił i wycofał się.

Ale zasoby dydaktyczne polskiej szkoły w czasach pandemii są niewyczerpane. Do akcji wkroczyła katechetka. Mniej obznajomionym z realiami współczesnej szkoły wyjaśniam, że katecheci (z wyjątkami oczywiście) niekoniecznie znają się na teologii i etyce chrześcijańskiej, za to w niektórych placówkach znakomicie wypełniają lukę po dawnych sekretarzach partii. Czuwają nad światopoglądem uczniów i poprawnością religijno-polityczną szkoły. To pierwsze udaje im się średnio, bo zwłaszcza w dużych miastach coraz więcej uczniów rezygnuje z edukacji religijnej w szkole z przyczyn zasługujących na odrębny felieton (ba! na całe socjologiczno-psychologiczne dzieło). Katechetka zwróciła się do Antosia z prośbą, by wytłumaczył, dlaczego umieścił tęczową flagę na awatarze. Antoś jest za mały i za grzeczny, by odpowiedzieć: „A g… cię to obchodzi”. Wyjaśnił więc rzeczowo, że umieścił tę flagę, bo jest ona symbolem równości. „Gdzie ty tam równość widzisz?”, zdziwiła się katechetka, która swoim prostym rozumem nie może pojąć, jak czerwony może być równy żółtemu, a niebieski fioletowemu. „Ja widzę”, odparł Antoś z dumą i wyłączył katechetkę.

Dla Pani Nauczycielki wychowanie to tresura, wymuszanie na uczniach, aby przyjęli jej pogląd, skądinąd jedynie słuszny.

Jak szkoła będzie dalej tak wychowywać dzieci, obawiam się, że Antoś kiedyś zacznie podkładać bomby.

j.widacki@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 874ec55186

Grzeczne już byłyśmy

Bunt także językowy, czyli jak protestują kobiety

Rozmawia Małgorzata Szczepańska-Piszcz

DR HAB. RAFAŁ ZIMNY
– profesor Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego w Bydgoszczy, członek Rady Języka Polskiego

Wiele osób zarzuca protestującym kobietom szczególną wulgarność. Czy język buntu, zwłaszcza ulicznego, nie jest z definicji mocny, dosadny, wulgarny? Przecież ludzie nie buntują się językiem literackim.

– Język wiecowy rządzi się swoimi prawami. Hasła wiecowe, po pierwsze, powinny dać się skandować. Po drugie, mają najczęściej formę wyrazistego skrótu akcentującego główny sens przekazu. Po trzecie, mogą zawierać słowa mocne, a nawet wulgarne, choć to jednak była dotychczas w Polsce rzadkość. Nowością jest więc głównie szeroka skala wulgarności tego protestu.

Skąd ta wulgarność?

– Przez ostatnich kilkanaście lat ważne społecznie demonstracje odbywały się albo w miastach wojewódzkich, albo w Warszawie, dokąd górnicy czy pielęgniarki przyjeżdżali protestować przed Sejmem czy Kancelarią Premiera. Ktoś organizował autobusy dowożące protestujących, przygotowywał hasła. A teraz mamy protest całkowicie spontaniczny, oddolny, punktowy, młodzi ludzie, wśród których przeważają kobiety, protestują i w dużych, i w małych miastach. A wszędzie potrzeba transparentów i haseł, które są tworzone *ad hoc*, nie przechodzą przez żadną organizacyjną cenzurę. I wyrażają na różne sposoby jedno: gniew i wściekłość młodych kobiet. Spontaniczność i emocjonalność dają napęd temu buntowi, co odblokowuje wulgarność jako uzasadniony okolicznościami sposób publicznej ekspresji poglądów, ale też pobudzają kreatywność językową. Złość najłatwiej wyrazić wulgaryzmami, ale w przypadku tego protestu przejawia się ona jeszcze poprzez hasła ironiczne, dowcipne, absurdalne.

Ale to nie powinno przerażać, skoro według badań CBOS ośmiu na dziesięciu Polaków używa wulgaryzmów. Naukowcy wydają „Słownik polszczyzny rzeczywistej", przekonując, że większość komunikuje się za pomocą czterech-pięciu podstawowych wulgaryzmów, a część używa niemal wyłącznie ich. Skąd więc to oburzenie?

– To, że ośmiu Polaków na dziesięciu klnie, wcale nie znaczy, że robią to na co dzień publicznie. Zakres używania wulgaryzmów wprawdzie się poszerza, ale zasadniczo są one wciąż domeną kontaktów prywatnych. Czyli tabu związane z wulgaryzmami ciągle działa. Gdyby nie działało, nie rozmawialibyśmy na ten temat.

Tabu?

– Wulgaryzmy to wyrazy skrajne, pozostające poza normą obyczajową. Psychologicznie patrząc, służą wyładowaniu napięcia, pozbyciu się dyskomfortu psychicznego. Z kolei w sensie antropologicznym są przekraczaniem tabu związanego z wydalaniem lub ze sferą seksualną – ważnym, szczególnie chronionym aspektem życia ludzkiego, bo związanym z prokreacją. Z tego bierze się poczucie wstydu, zasłanianie miejsc intymnych itp. To tabu i poczucie wstydu dziś zanika, m.in. pod wpływem współczesnej globalnej popkultury, w której wulgaryzmy rozpowszechniły się na dobre. Angielskie słowo *fuck* jeszcze w latach 80. wykropkowywano w mediach. A dzisiaj? Słownictwo wulgarne przechodzi do rejestru ekspresywnego – komunikuje silne emocje, ale nie charakteryzuje już użytkownika pod względem jego kompetencji kulturowych. Klną w sytuacjach zawodowych politycy, dziennikarze, artyści, biznesmeni, choć nie wtedy, gdy są obserwowani przez jakąś większą publiczność, co poświadcza z jednej strony trwałość tabu, z drugiej – wskazuje na rozluźnianie się związku między wysoką pozycją społeczną osoby a stosownością języka, którego na co dzień się używa.

Ale masowe używanie haseł skrajnych, wulgarnych podczas ostatnich demonstracji niesie pewne niebezpieczeństwo. Jeśli mają być one przejawem protestu, buntu, oburzenia, to co będzie, gdy nie przyniosą zmiany? A obawiam się, że nie przyniosą. Co wtedy? Co pozostanie do dalszej walki? Jakich słów, jeszcze mocniejszych, będzie można użyć przy kolejnym, może poważniejszym konflikcie, skoro wykorzystano już te o emocjonalnie najsilniejszym negatywnym potencjale?

Na transparentach niesionych przez kobiety oraz wspierających je mężczyzn dominują jednak frazy ironiczne, zabawne, nawet finezyjne, świadczące o inteligencji i kreatywności protestujących.

– Zebrałem tych haseł ponad 600, chociaż zdaję sobie sprawę, że gdybym dalej zbierał, pewnie miałbym ich już dwa-trzy razy więcej. I rzeczywiście, tych niewulgarnych jest o wiele więcej. Ale wrażenie może być inne, bo te wulgarne, czyli „Wypierdalać" i „Jebać PiS" to hasła

eprasa.pl 874ec55186

całego ruchu, podczas gdy hasła „finezyjne" są tworzone indywidualnie. Można bez większego błędu powiedzieć, że cały ruch protestów obsługuje kilkanaście haseł ogólnych, wspólnych i całe morze haseł indywidualnych, które można podzielić na kilka zasadniczych grup.

Proszę podzielić.

– Pierwsza grupa to hasła „polonistyczne", inteligenckie, aluzyjne – odwołują się do tradycji literackiej, bazują na cytatach, skrzydlatych słowach, na tekstach kultury wysokiej.

Na przykład „Annuszka już rozlała olej" czy „Podmiot nie zgadza się z orzeczeniem"?

– Tak, ale też „Wokulski lepiej radził sobie z Łęcką niż rząd z pandemią", nawiązujące do powieści Prusa. I „Niech was thunder świśnie", bo trzeba znać stare powiedzenie: „Niech cię dunder świśnie" i wiedzieć, że po angielsku *thunder* to grzmot, a jak grzmot, to i błyskawica, która jest symbolem tego protestu. To pokazuje, że na ulicę wyszły osoby wykształcone, znające kanon kulturowy i swobodnie się w nim poruszające.

A zauważył pan, jak wiele haseł nawiązuje do Harry'ego Pottera, np. „Jaki kraj, taki Voldemort"?

– Zauważyłem, np. „Avada kedavra PiS" – wykorzystujące zaklęcie uśmiercające czarodziejów wymyślone przez J.K. Rowling, ale te hasła zaliczyłbym do drugiej grupy, tj. haseł fundowanych na odniesieniach do komercyjnej kultury popularnej – znanych i lubianych powszechnie piosenek, filmów, komiksów, powieści, programów telewizyjnych. Można wskazać tu takie hasła, jak: „Mój dom murem podzielony" – przeniesiony w nowy kontekst cytat ze znanej piosenki Kultu, „No woman, no kraj" – inteligentna modyfikacja sensu frazy słynnej piosenki Boba Marleya, „Jarek, nie daruję ci tej ustawy", czyli żartobliwe odwołanie do niemal 40-letniej już piosenki Bajmu, albo feministyczna parafraza tytułu piosenki Cyndi Lauper, także z lat 80. – „Girls just wanna have fundamental rights".

No to również filmowe aluzje: „Ja cię kocham, a ty z PiS" czy „W wiosce smerfów największym zagrożeniem też był stary dziad z kotem".

– Dorzucę jeszcze jeden przykład: „Nikt nigdy nie powie, że Kaczyński była kobietą".

A te hasła o absurdalnej treści, np. „Kaczyński pije wodę po pierogach" czy „Kaja Godek kupuje Winiary zamiast Kieleckiego"?

– To kolejna wyróżniająca się wyrazistą cechą grupa haseł. Dostrzegam tu luźne pokrewieństwo ze znanym z czarnych dzielnic amerykańskich miast zwyczajem, zwanym *dozens*, opisanym językoznawczo już na początku lat 70. To taka rywalizacyjna gra językowa polegająca na mówieniu jak najgorszych rzeczy o matce rywala. Niekoniecznie wulgarnych, raczej jak najbardziej absurdalnych, przy czym nie chodzi w tym o rzeczywiste obrażenie matki przeciwnika, tylko o popis sprawności w wynajdywaniu pomysłowych i nonsensownych skojarzeń, co służy potwierdzaniu przynależności do wspólnoty, manifestowaniu szacunku dla wyznawanych przez nią wartości. Takie zmagania musiały mieć swoją widownię. Zwyczaj ten przelotnie trafił też do Polski. Około dziesięciu lat temu powstawały seryjnie żarty o „twojej starej", np. „Twoja stara jest tak stara, że klaszcze u Rubika".

Dziadersem można być w każdym wieku. To ktoś, kto udaje progresywnego, ale myśli utrwalonymi kulturowo kliszami.

Na ulicę wyszły osoby wykształcone, znające kanon kulturowy i swobodnie w nim się poruszające.

Podobne zjawisko obserwujemy od lat w Łodzi. Na murach miasta kibice ŁKS i Widzewa wypisują absurdalne hasła typu: „ŁKS studiuje w Pabianicach" czy „RTS nie stać na Lego". Notabene hasło „PiS/Duda/Godek myśli, że in vitro to pizzeria" przejęte zostało z łódzkich murów.

Protestujący nie zostawiają na przeciwnikach suchej nitki.

– W naszej strajkowej rzeczywistości podmiotem hasła najczęściej są Kaja Godek, Jarosław Kaczyński czy PiS, np. „PiS driftuje multiplą". Driftować to popisywać się, szpanować wirtuozerską jazdą samochodem (zwłaszcza przed dziewczynami). A multipla to ciężki, nieefektowny fiat, którym trudno zaimponować. Inne hasła tego typu to: „PiS nosi buty na rzepy", „Kaczyński je bułkę widelcem" albo „Kaja Godek dzieli przez zero". Takie hasła są prześmiewcze, mają pokazać absurdalność, niekompetencję, głupotę, nieprzystawalność do rzeczywistości poglądów, zachowań i działań osób, w które wymierzone są protesty. Czasem protestujący robią to w lekko wyrafinowanej formie, np. „Kaja Godek pije Carlo Rossi" – to popularne w Polsce kalifornijskie wino, sprzedawane w dyskontach i uchodzące wskutek tego za symbol pretensji do luksusowej konsumpcji. Pikanterii temu hasłu dodaje to, że takie wino kupowała w wielkich ilościach Platforma Obywatelska, gdy była u władzy. Jest to więc również poniekąd zakamuflowana krytyka „dziaderskiej" władzy.

Kim są dziadersi, co ich różni od dziadów?

– Dziady to ludzie w wieku zaawansowanym, ok. 60-70 lat i starsi, jak przywódcy PiS: Jarosław Kaczyński, Ryszard Terlecki. W oczach protestujących młodych są starzy, konserwatywni, niereformowalni. Natomiast dziadersem można być niemal w każdym wieku. To kategoria mentalna, nie metrykalna. Najczęściej to ktoś, kto udaje progresywnego, popiera prawa człowieka, demokrację, wolność słowa i wartości europejskie, ale *de facto* myśli utrwalonymi kulturowo kliszami i w polemice posługuje się opiniami typu: „Nie mam nic przeciwko, ale…", np. „Jestem liberalny/tolerancyjny, ale geje nie powinni się całować na ulicy". W tak skonstruowanych tezach nie jest istotne, co przed „ale" – to tylko usprawiedliwienie, bo rzeczywistym poglądem mówcy jest ten, który następuje po „ale". Taka „tolerancja" czy „wolność", ale na jego warunkach. To język zakamuflowanej przemocy – na zasadzie: „Róbcie, co chcecie, ale tak, żebym nie widział". Dziadersowi nie przyjdzie do głowy, że komuś może

eprasa.pl 874ec55186

się nie podobać także jego postawa. Dziaders uwewnętrznił wspólnotowe mity i przyjął je za obiektywny opis rzeczywistości – i bez znaczenia, czy ma lat 30, czy 70.

Skoro o mitach mowa…

– Warto podkreślić, że właśnie na polskich ulicach obserwujemy protest, który dezawuuje, odkłamuje tradycyjne polskie mity kulturowe, np. romantyczny mit cierpiętniczego, tyrtejskiego patriotyzmu, czyli wielbienia ofiar i lubowania się w poświęceniu szczęścia osobistego dla ojczyzny, albo mit o szczególnej roli Kościoła katolickiego w dziejach Polski. To bardzo ważne, bo te demaskatorskie słowa padają nie na debatach naukowców czy publicystów wychowanych na „lewicowych" uniwersytetach, tylko z setek ust młodych ludzi na ulicy. Jest to już głos pokolenia, które nie zna PRL, a nawet Polskę sprzed Unii Europejskiej pamięta słabo lub w ogóle nie. To są już Europejczycy, którymi od zawsze się czuli. I mówią głośno: „Mamy dość!". W kontekście bezpośredniej przyczyny protestów mają dość socjalizowania kobiety wyłącznie do roli matki i redukowania jej do służebnicy mężczyzny zamiast kształtowania jej na pełnoprawnego człowieka, na obywatelkę. Stąd hasło: „Moja pusia, nie Jarusia". Te protesty mają silny antypatriarchalny charakter.

Haseł feministycznych jest sporo.

– To kolejna, bardzo duża i wyrazista grupa, którą wyróżnia przede wszystkim żądanie respektowania praw kobiet przez władzę. Są tu hasła mało subtelne, ale jednoznaczne: „Moja cipka, moja sprawa" czy „Zajmij się swoim siurem". Podobne hasła niosą także mężczyźni: „Nie mam cipki, ale mam dość", „Plemniki wspierają jajniki". Moją uwagę przykuły też hasła: „Zło bobrem zwyciężaj" i „Bobra zmiana", nawiązujące z jednej strony do rubasznej nazwy kobiecych narządów płciowych, z drugiej – parodiujące skompromitowane zdaniem protestujących konserwatywne dewizy czy slogany, a jeszcze z trzeciej – akcentujące podmiotowość kobiecości i prawa kobiet do decydowania o własnej seksualności. Są również hasła, które podkreślają moc protestujących: „Siła jest wkurwioną kobietą", „Trzeba było nas nie wkurwiać", „Polska to kobieta". Ale są i hasła odezwy: „Prawa człowieka nie tylko dla białych, heteroseksualnych mężczyzn" czy „Wolność, równość, prawa kobiet" – odesłanie do sztandarowego hasła rewolucji francuskiej i europejskiej demokracji: „Wolność, równość, braterstwo". Znamienne, że braterstwo wymieniono tu na prawa kobiet.

A także feministyczne, zabarwione politycznie: „Polka nie Duda, sama chce decydować". Warto pochylić się jeszcze nad jakąś grupą transparentów?

– Wyróżniłbym hasła lokujące się na przecięciu tych wspomnianych grup, oparte na grach słownych. Warto je wyodrębnić, bo to kolejne *novum* kobiecych protestów. Są najbardziej pomysłowe. Zwykle są aluzją do czegoś znanego, np. skrótowiec PiS jest przedmiotem rozmaitych przekształceń. „No PiSaran" nawiązuje do słynnego lewicowego hasła, inne przykłady: „PiS of shit", „Peace not PiS", „PiS – Potwory i Spółka". Dowcipne dla filologa jest też hasło „Srom na was" – autor unika wulgarności, bo a zamienia na o, pozorując wymowę gwarową, a jednocześnie srom to archaiczne określenie żeńskich narządów płciowych. Podoba mi się także: „Nie Łódź się, że odpuścimy".

Do tej kategorii zaliczyłbym poza tym ironiczne odpowiedzi na zarzuty o wulgarność transparentów, np. „Uprzejmie prosimy uciekać prędziutko" lub „Proszę sobie iść".

Co można powiedzieć o haśle „Rodzice wychowali mnie dobrze, a przez PiS muszę przeklinać"?

– To takie hasło sygnał. Autorka informuje w ten sposób, że potrafi i chce mówić ładnie, ale sięga po przekleństwa, bo sytuacja ją do tego zmusza. Ten i inne przykłady haseł pokazują, że obecny protest ma jeszcze jedną cechę specyficzną – jest bowiem w większym stopniu zbiorem osób świadomych swoich praw, które dobrowolnie łączą się w grupę tylko w imię ich obrony, a nie odgórnie zaplanowanym protestem spójnej grupy, w której jednostka jest wyłącznie jej częścią.

Warto też się zastanowić, dlaczego kobiety intuicyjnie wybrały wulgarne hasła, to sztandarowe „Wypierdalać". Może żeby odstraszyć polityków? Przecież żadna partia, nawet najbardziej progresywna, nie zaryzykuje podłączania się do ruchu, który idzie pod transparentami: „Wypierdalać", „Jebać" itp. Może to zapora przed tymi politykami, którzy chętnie podpięliby się pod ten ruch, żeby ułatwić sobie karierę? A potem nic dla kobiet nie zrobić. Tak było z protestem czarnych parasolek sprzed czterech lat, pod który podłączyła się PO. A później para poszła w gwizdek. I stąd hasło: „Grzeczne już byłyśmy. Wypierdalać!"?

m.piszcz@tygodnikprzeglad.pl

To głos pokolenia, które nie zna PRL, nawet Polskę sprzed Unii Europejskiej pamięta słabo.

„PiS nosi buty na rzepy", „Kaczyński je bułkę widelcem", „Kaja Godek dzieli przez zero".

FOT. MAŁGORZATA SZCZEPAŃSKA-PISZCZ, KARINA KRYSTOSIAK

eprasa.pl 874ec55186

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Orgie i narko – tak, homofobia – nie

Przewala się przez Europę, Polskę, świat fala podśmiechujek po nieudanej, choć filmowo brawurowej próbie ucieczki przed belgijską policją węgierskiego konserwatywnego europosła, współtwórcy Orbánowskiego Fideszu. Jednak to nie niefortunne spuszczanie się po rynnie roznegliżowanego, ale wciąż zaopatrzonego w tabletkę *ecstasy* (narkotyk) Józsefa Szájera jest centralnym punktem tego rechotu. Były już eurodeputowany (trudno uwierzyć, ale prawicowy polityk zrzekł się mandatu i pokajał publicznie – w Polsce nie do pomyślenia, napisał o tym także poseł Gdula) pierzchał z orgii homoseksualnej, w której brało udział kilkudziesięciu mężczyzn, a policja zupełnym przypadkiem (no, prawie, przyjechała po donosie organizatora konkurencyjnych swawoli – tak działa wolny rynek, wysługując się służbami publicznymi, polecam lekturę Mariany Mazzucato) wparowała tam, bo naruszone zostały reguły antycovidowych obostrzeń. W Belgii seks dorosłych osób z innymi dorosłymi osobami, niezależnie od konfiguracji płci – zaskoczenie – nie jest przestępstwem, wykroczeniem ani czymkolwiek, czym zajmowałaby się policja albo i opinia publiczna.

Rejterada Szájera ma oczywiście drugie dno i jest nim jego biografia oraz aktywność polityczna. Oto bowiem jeden z najbliższych współpracowników partyjnych i na niwie prywatnej przyjaciół Orbána (jego żona jest chrzestną córki premiera) był piewcą katolickiej moralności, sztandarowym homofobem (ciekawe, co teraz), autorem zapisu w węgierskiej konstytucji, że małżeństwo to „związek kobiety i mężczyzny". Mamy więc klasyczną odsłonę hipokryzji w szczytowej formie, skrajnego zakłamania politycznego i cynizmu. Życie osobiste, do którego József Szájer ma pełne prawo, stojące w całkowitej sprzeczności z głoszonymi poglądami, tezami, z kampanią nienawiści przeciw środowiskom LGBT rozpętaną przez formację Orbána i jego – byłego już dzisiaj, ach tak – przyjaciela.

Nic nowego pod słońcem, można by za biblijnym Koheletem powtórzyć, wszak od dawna wiemy, że najbardziej zajadli homofobi bywają po prostu nieujawnionymi albo ukrywającymi się osobami o innej niż heteronormatywna tożsamości. Mówiąc po prostu, dlatego zapalają latarnię homofobicznej nienawiści, żeby w jej świetle ukryć własne preferencje, fascynacje, pragnienia. Bo dzięki temu mogą żyć dostatnio i mieć władzę. Stać ich na bycie europosłami i życie seksualne, jakie lubią, którego innym zakazują. Mogą innym życie zatruwać, a samych homoseksualistów (chcących żyć w tych nudnych, nieorgiastycznych małżeństwach, których im zawrzeć nie wolno przez takie kreatury jak Szájer) ścigają i piętnują.

Cała ta historyjka po raz kolejny tylko ilustruje zjawisko niewiarygodnie rozpowszechnionej politycznej manipulacji, którą w rządzeniu posługują się partyjne wygi. Środki są nieważne, kiedy celem jest władza. Jej zdobycie i utrzymanie. W tym sensie to piękna i pouczająca przygoda. Teoretycznie, bo w praktyce węgierskiej niewiele to zmieni, choć śmiech bywa okrutną i skuteczną bronią. No dobra, dobra – ulubione powiedzenie naszej rządzącej partii walczącej o odebranie Polsce kilkuset miliardów złotych z funduszy europejskich po zapowiadanym wraz z Węgrami wecie budżetu UE – to w końcu Polak, Węgier dwa bratanki, co nabiera nowej wymowy w świetle brukselskiej orgii. Bo niejasno, bo jeszcze niedoświetlone, ale pojawiają się polskie wątki serialu „Z orgii po rynnie". Bo podobno mieli tam być Polacy. I to nie byle jacy. Politycy. Z paszportami dyplomatycznymi. I z PiS. Organizator imprezy był oburzony, że policja zgarnęła ich na komisariat, bo uczestnicy nie okazali dokumentów, „a my – powiedział – przecież nawet majtek nie mieliśmy na sobie". Pozostawię państwa z dociekaniami, gdzie nadzy politycy PiS, uczestniczący w gejowskiej orgii, mają paszporty dyplomatyczne Rzeczypospolitej. Chociaż dobrze wiem, że w sercu. Albo nawet w sercu Maryi, której zawierzyli Polskę, nasz byt i pomyślność.

Wszystko to na razie domysły, przypuszczenia. Ale kiedy słucham, jak marszałek Terlecki tłumaczy, że próbują ustalić, co i jak, ale „słowa rzucić łatwo, a dowodów brak", to rozbłyskuje we mnie marzenie, żeby poznać szczegóły śledztwa marszałka (którego biografia erotyczna też nie pochodzi wszak z katechizmu). Do kogo dzwoni? Skąd wie, do kogo zadzwonić? Jak formułuje pytania („Kto tam z naszych ostatnio ciężko pracował w Brukseli, konkretnie w nocy z soboty na niedzielę?"), czego docieka („Listę mi dajcie wszystkich z paszportami dyplomatycznymi i od każdego oświadczenie na piśmie, gdzie był")? Czy dzwoni do służb, czy do biskupa jakiegoś z lawendowej mafii, a zaprzyjaźnionego? I najważniejsze – jak to referuje prezesowi? „No, był jeden. No, we dwóch byli. No, we dwóch w trzydziestu. Nie wypłynęło, ale raczej wypłynie. No, nazwisko wypłynie, a co ma wypłynąć? No, Jarek, co robimy? Abortujemy, czyli usuwamy? Potępiamy czy na chorobowe?". A prezes na to: „Zwalmy na prowokację brukselskiej policji podpuszczonej przez Sorosa. Jak zawsze, ani kroku w tył, nasi nie byli nasi, w ogóle nikogo nie było, paszporty kupione w sklepie z paszportami, nie znamy ich, nigdzie nie widzieliśmy, Suski ma przez trzy miesiące nic nie komentować, bo wypaple. Dzwoń do Mariusza, żeby tych aktywistów LGBT w Polsce pocisnął, bo to wszystko przez nich. Nie dają spokojnie zadbać o ojczyznę. A co to jest ta ekstaza? Ty podobno wiesz? Nie? W twoich czasach nie było? Dzięki Bogu".

Niejasno, jeszcze niedoświetlone, pojawiają się polskie wątki serialu „Z orgii po rynnie".

r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 874ec55186

Bez kurierów świat by się zatrzymał

W czasie pandemii firmy kurierskie funkcjonują jak w okresie przedświątecznym. A przed samymi świętami przesyłek będzie jeszcze więcej

Ewa Smolińska-Borecka

Sobota, dochodzi godz. 6. Warszawa śpi. Po co wstawać tak rano w tak chłodny, deszczowy dzień? Wielkie centrum biurowe na Imielinie jakby martwe. Ale ulicą Osmańską co chwilę przejeżdża żółta albo biała furgonetka z czerwonym napisem DHL. Na ślepym końcu ulicy mieści się jeden z terminali światowego giganta kurierskiego, obecnego w Polsce od początku lat 90. Tu przybywają przesyłki, które mają trafić do kilku dzielnic lewobrzeżnej Warszawy i części Pragi Południe. Właśnie o godz. 6 zjawiają się kurierzy. Rano każdy załaduje do swojej furgonetki dziesiątki paczek i dostarczy je do ludzi, którzy na nie czekają.

Zwykle w soboty dla kurierów nie było pracy. Ale teraz, w okresie pandemii, firmy kurierskie funkcjonują jak w okresie przedświątecznym. A przed świętami będzie zapewne jeszcze więcej przesyłek. Pracownicy sortowni już po robocie. Zmęczeni. Choć mówią, że właściwie praca nie jest ciężka, bo proces sortowania jest zautomatyzowany. Od czasu do czasu trzeba podnieść paczkę, która się zsunęła z taśmociągu. Ale kobiet w sortowni niewiele, co znaczy, że jednak siła fizyczna się przydaje. Gdy pytać, czy woleliby pracę jako kurierzy niż w sortowni, nie są pewni. No bo tak: pracują pod dachem, nie stresują się z powodu ruchu ulicznego, korków, nieprzyjemnych klientów. Nie mają też pojęcia, czy finansowo lepiej by wychodzili. Niektórzy przyznają się, że po prostu nie mają prawa jazdy. A to w zawodzie kuriera podstawa.

Dochodzi godz. 7. Podnosi się szlaban i Andrzej wyjeżdża furgonetką. Śpieszy się. Mówi, że on dziś nie pracuje, bo dla jego rejonu nie było przesyłek. Przyjechał tylko pozałatwiać jakieś sprawy, a teraz musi lecieć, bo oprócz pracy kuriera ma jeszcze inne zajęcia zarobkowe. Takie czasy, że trzeba kilku robót się chwytać. A furgonetki zaczną wyjeżdżać dopiero ok. 7.30 – twierdzi. Faktycznie. O 7.17 pojawia się pierwsza, potem już w kilku- albo kilkunastosekundowych odstępach jedna za drugą opuszczają teren DHL. Jedni pojadą na Ursynów, więc dojazd do rejonu zajmie im niewiele czasu, drudzy aż na Żoliborz – ci będą musieli przejechać znacznie więcej kilometrów.

Pod specjalnym nadzorem

Branża turystyczna, eventowa, hotelarska, fitness, szeroko pojęta kultura… Wiele z nich rozporządzenia covidowe rządzących dwukrotnie zamknęły lub bardzo ograniczyły ich działalność. W konsekwencji znaczna liczba firm zbankrutowała, tysiące pracowników poszło na bezrobocie bez prawa do choćby symbolicznego zasiłku. Mówi się, że wielu zwolnionych znalazło zatrudnienie w firmach kurierskich, bo akurat te mają się dobrze. I że ludzie chowają do szuflady dyplomy uczelni, żeby z dnia na dzień stać się kurierami. Nie wiadomo, czy z tymi dyplomami to prawda. Nikt nie sprawdził, ile osób musiało porzucić precyzyjnie zaprojektowaną ścieżkę kariery i podjąć się pracy kuriera. Wiadomo o jednym aktorze serialowym, który przyznał się, że gdy zamknięto teatry i zatrzymano prace na planach filmowych, zarabiał na chleb, rozwożąc przesyłki. I była to tak elektryzująca wiadomość, że wszystkie portale internetowe jednocześnie o tym donosiły.

> Ludzie chowają do szuflady dyplomy uczelni, żeby z dnia na dzień stać się kurierami.

Firmy kurierskie nie chcą się zgodzić, by dziennikarka towarzyszyła kurierowi w pracy. Tłumaczą, że w czasie pandemii muszą chronić zdrowie pracowników i nie mogą niepotrzebnie ich narażać na dodatkowe kontakty z postronnymi ludźmi. Nie mogą też wyrazić zgody na rozmowę telefoniczną z kurierem, choć to nie grozi zakażeniem. Argumentują: no bo jak by to miało być potraktowane – jako polecenie służbowe? Nie mogą kazać im rozmawiać w czasie pracy, bo są zawaleni robotą, a po pracy tym bardziej, bo to ich czas prywatny. Kurierzy mają przykazane, by na temat pracy nie wypowiadać się dla mediów. Podobno podpisują nawet jakieś zobowiązanie.

Muszę więc być przygotowana, że nikt ze mną nie umówi się na rozmowę. Ale nie daję za wygraną. W desperacji docieram do znajomych, którzy mają znajomych, którzy właśnie z powodu pandemii rozpoczęli pracę jako kurierzy. Wszyscy odmawiają. Czatuję na kurierów pod ich furgonetkami. Zwykle odmawiają. Wykręcają się brakiem czasu („Pracujemy do rana do wieczora") albo zakazem rozmów. Jedynie czterech się zgadza. Umawiamy się na konkretne godziny.

Dwóch na czterech nie odbiera telefonu o umówionej godzinie. W ogóle nie odbierają ani tego dnia, ani następnego. Nie odpowiadają na SMS-y. Strach?

Rejon nieawanturujący się

Paweł ma około trzydziestki. Od trzech lat pracuje jako kurier, od półtora roku w tym samym rejonie

eprasa.pl 874ec55186

Czas przedświąteczny to dobry okres dla kurierów, przesyłek jest bardzo dużo.

w Warszawie. To rejon z blokami, domami wielorodzinnymi. Dość zamożny. Ludzie tu kulturalni, raczej nieawanturujący się. – Właściwie jestem z tej pracy zadowolony – mówi. – Nie zdarzyło mi się, żeby ktoś zgłosił na mnie skargę. Teraz z powodu pandemii wiele osób jest w domu. Wiedzą, w jakich godzinach przyjeżdżamy na rejon, czekają na nas, nie robią problemów. Dzwonimy domofonem, otwierają drzwi, wwozimy przesyłki windą. Jeśli paczka jest nieopłacona, to płacą kartą albo Blikiem.

Wczoraj Paweł miał 130 przesyłek pod 90 adresów. Jak mu się wydaje, wiele paczek to prezenty świąteczne. Z powodu zimy dużo jest też przesyłek z ubraniami i butami. Wczoraj skończył pracę po ośmiu godzinach. Ale bywa różnie, czasem kilka, a czasem 12. To zależy od liczby przesyłek. O regułach wynagradzania kurierów nie chce rozmawiać. Twierdzi, że ma płatne za każdą dostarczoną przesyłkę i za adres. Za przesyłkę ok. 35 gr, czyli raczej niedużo. Nie chce powiedzieć, ile jest w stanie zarobić w ciągu miesiąca. Czy można zarobić 200 zł dziennie, jak napisano w jakimś artykule? Chyba można.

Paweł twierdzi, że teraz jest dobry okres dla kurierów, bo przesyłek jest dużo. Latem było gorzej, ich liczba znacznie spadła w stosunku do miesięcy wiosennych. On pracuje na takiej umowie, że wynagrodzenie zależy od liczby paczek, więc woli, jak jest ich więcej. Ale są osoby, które mają etaty ze stałą pensją, niezależnie od obciążenia pracą. Latem to dobrze, bo nawet jak przesyłek jest niewiele, pensja wpływa w tej samej wysokości. Ale kiedy liczba przesyłek wzrasta, jak teraz, to lepiej byłoby mieć płatne za każdą paczkę.

Gdybyśmy każdą przesyłkę musieli dostarczyć dwa razy, na pieprz byśmy nie zarobili.

Słyszał od znajomych, którzy pracują w tej samej branży, że mają problemy z klientami. Bywa, że przyjadą pod budynek, a okazuje się, że klient jest właśnie w sklepie i życzy sobie, żeby poczekać. A oni nie mają na to czasu. Albo klient się denerwuje, że zbliża się południe, a przesyłki nie ma, a przecież nie sposób wszystkich dostarczyć rano. Pewnie, że czekanie na kuriera może być denerwujące, uważa Paweł, ale nie ma na to rady. Jeśli ma się do rozwiezienia 130 przesyłek albo i 200, musi się to rozłożyć na wiele godzin. Jest tylko człowiekiem, musi zrobić przerwę, zjeść kanapkę zabraną z domu, napić się kawy. Kurier to też człowiek – podkreśla.

Na początku nie miał nic

Mariusz tak się nie nazywa, na wszelki wypadek woli podać inne imię. Nie jest ofiarą redukcji etatów w czasach pandemii. Kurierem został 10 lat temu. – Wcześniej byłem strażnikiem miejskim, ale nie podobała mi się ta praca, bo kojarzy się ludziom z karaniem, wystawianiem mandatów – wyjaśnia. – Już nie pamiętam, dlaczego pomyślałem o tym, by zostać kurierem. Zatrudniłem się w Siódemce, która już nie istnieje, bo kupiła ją firma DPD. Ta praca mi przypasowała. Lubię ją, bo jest kontakt z ludźmi, nie siedzi się za biurkiem. Potem kilka razy zmieniałem firmy kurierskie, nabierałem doświadczenia, aż w końcu, trzy lata temu, zostałem podwykonawcą. Pracuję na własny rachunek, mam umowę z dużą firmą kurierską, wziąłem w leasing kilka furgonetek, zatrudniam kilka osób, sam też pracuję jako kurier. Jak inni podwykonawcy rezygnowali z rejonów, to ja je przejmowałem. Teraz w jednej dzielnicy mam cztery rejony, pozostałe w innych. Rejonu nie można sobie wybrać. Jak ktoś odchodzi, jego rejon można przejąć.

Czy czuje, że w czasie pandemii zawód kuriera jest ważniejszy? Nie, nie ma takiego poczucia. – To prawda, że ludzie w czasie pandemii zamawiają więcej przesyłek niż wcześniej – przyznaje Mariusz. – Wiele osób siedzi w domach, pracuje zdalnie, nie wychodzi do sklepów i większość zakupów robi przez internet. Ja to rozumiem, bo w mojej rodzinie jest tak samo. Ponieważ u nas przez cały dzień nie ma nikogo w domu, bo akurat nikt zdalnie nie pracuje, wszyscy zamawiamy przesyłki z odbiorem w paczkomacie. Nie musimy się denerwować, paczka na nas czeka.

FOT. WŁODZIMIERZ WASYLUK/FORUM

eprasa.pl 874ec55186

W firmie, z którą ma umowę, praca kuriera trwa od godz. 6 do 18. Bo jak się rozwiezie przesyłki, to trzeba jeszcze zebrać te nowe, które nadali klienci, a na koniec odwieźć je do terminalu, gdzie zostaną posortowane i skąd wyruszą w dalszą drogę. Do domu człowiek wraca bardzo późno. Dlatego z chętnymi do tej pracy wcale nie jest tak różowo, bo ludzie chcieliby mieć czas na prywatne sprawy, a nie tylko z przesyłkami biegać. Zarobek jest niezły, ale nie świetny. Mariusz twierdzi, że dziennie na rękę kurier może dostać nawet 200 zł albo i więcej. U Mariusza kurierowi na rękę wychodzi więc prawie 17 zł za godzinę. Ale na forach internetowych znajdują się wypowiedzi, że takie stawki są nieprawdziwe, a kurierzy zarabiają grosze. Gdzie leży prawda?

Kiedy nie było pandemii, na osiedlach chronionych można było zostawiać przesyłki u ochroniarzy. Teraz nie. Administracje w trosce o bezpieczeństwo ochroniarzy nie chcą, by lokatorzy przychodzili do dyżurki. Każdą przesyłkę trzeba dostarczyć do odbiorcy. W rejonie Mariusza wszystkie budynki mają windy, na szczęście. Nie ma więc zatargów z lokatorami z tego powodu, że ktoś żąda wniesienia przesyłki pod drzwi, a kurier nie ma takiego obowiązku. Wiele się słyszy o kontuzjach kręgosłupa u kurierów z powodu dźwigania ciężkich przesyłek. A paczki mogą ważyć nawet 30 kg. Nie ma żartów.

W czasach pandemii kurier nie wchodzi do mieszkań. – Dostarczam przesyłkę pod drzwi – wyjaśnia Mariusz. – Każda paczka ma swój kod, odbiorca albo podaje ten kod, albo podpisuje się na specjalnym urządzeniu, które ma kurier. Jeśli odbiorca musi zapłacić za przesyłkę, używa karty płatniczej. Bywa, że ktoś jest na kwarantannie, ale to zdarza się rzadko. Niektórzy dzwonią wcześniej i informują o tym, inni nie. Jedynym pozytywnym efektem pandemii jest to, że poznałem ludzi, którzy mieszkają w moim rejonie. Wcześniej widziałem ich sporadycznie, oni mnie też. Teraz często ktoś zaczepia mnie na ulicy, uśmiecha się do mnie i pozdrawia. Pyta: „Dzień dobry, jak zdrowie?". To bardzo miłe. Są osoby, którym dostarczam przesyłki codziennie. Naprawdę! Bywa, że ktoś zaproponuje mi coś do picia, zimnego, gdy jest gorąco, ciepłego, gdy zimno. Albo któraś z pań chce mnie poczęstować obiadem. Odmawiam. Nie mam na to czasu, bo za każdą dostarczoną paczkę dostaję pieniądze.

Co wozi kurier? – Dużo ubrań w foliopakach i butów – zdradza Mariusz. – Są przecież przeceny, promocje. *Black Friday* też pewnie przełożył się na liczbę przesyłek. Poza tym jest sprzęt RTV, meble do złożenia zapakowane w paczkach, jedzenie długoterminowe. Przed laty pracowałem jako kurier w miastach i w podwarszawskich wsiach. Dla kuriera najwygodniej jest na wsi, bo zawsze ktoś jest w domu i nie ma problemu z dostarczaniem przesyłki. Na warszawskich osiedlach jest inaczej. A kurier powinien dwa razy dostarczyć paczkę do odbiorcy, by umożliwić mu odbiór. Gdybyśmy każdą przesyłkę musieli dostarczyć dwa razy, na pieprz byśmy nie zarobili.

Ewa Smolińska-Borecka
e.borecka@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 874ec55186

Oko w oko Tomasz Jastrun

Król, mój dobrodziej

Marcin Król nie żyje. Historyk idei, niezwykły człowiek. Byłem członkiem redakcji miesięcznika „Res Publica", którego Marcin był twórcą i szefem. Pismo oficjalnie zaczęło się ukazywać w 1987 r., a właściwie przekształciło się z pisma wydawanego kiedyś w podziemiu. Wypłynęło więc na powierzchnię. Trwała jeszcze Polska Ludowa, ale już rzęziła. Władza zgodziła się na pierwsze takie oficjalne pismo półwolne, gdzie interwencje cenzury miały być zaznaczane, jak to było przed wojną. Te zaznaczane interwencje cenzury pachniały wolnością (jest wybór wierszy z tego czasu, z takimi zaznaczeniami, i cenię sobie tę książeczkę). Ale Adam Michnik uznał powstanie takiego pisma za zdradę, bo jeszcze wtedy siedział. A jak siedział, to nie wolno było z nimi negocjować. Potępił Marcina i wszystkich, którzy weszli do redakcji. Jego niechęć z tego powodu, też do mnie, ciągnie się jak czarny welon niemal do dzisiaj. A przecież widać, że mieliśmy rację, system gnił.

Marcin był obdarzony inteligencją rzadką w Polsce, oryginalną, niezależną, przekorną, uśmiechniętą. Miał świetną pamięć i wielką wiedzę. Kolegia w redakcji to były uczty duchowe, burze mózgów. Byli wtedy z nami, „starymi", młodzi, których wielu teraz w intelektualnym oboziku PiS, niestety. Jak okrutnie rozeszły się nasze drogi. Do „Res Publiki" napisałem co najmniej kilkadziesiąt tekstów. Z Marcinem mam nawet trochę wspomnień tenisowych, była wyprawa na narty, ale to dawno, nie tak dawno robiłem z nim wywiad.

Król niechcący miał wielki wpływ na moje życie, też dzięki grypie, na którą zachorował w roku 1988. Miał jechać na małe stypendium do Sztokholmu, chory zaproponował, abym pojechał za niego. Poznałem w Sztokholmie niezwykłych ludzi, także Andersa Bodegårda, potem mojego kolegę, tłumacza polskiej literatury, dzięki niemu Szymborska dostała Nobla. Owocem tej wyprawy był szwedzki numer „Res Publiki". Już po czerwcowych wyborach, gdy komuniści stracili władzę, spotkałem przypadkiem Andersa – na Marszałkowskiej, obok Rotundy, szedłem na urodziny do znajomej, młodej reżyserki. Zabrałem go ze sobą. Już przy stole i winie pytam: po co właściwie przyjechałeś do Polski? Powiedział, że nastąpiła zmiana ustroju, a szefem Instytutu Polskiego jest major SB. Tak nie może być, idzie w tej sprawie do MSZ. Wtedy ministrem był już Krzysztof Skubiszewski. Anders reprezentował grupę ludzi ze Sztokholmu, też polskich emigrantów. Powiedział, że szuka dobrego kandydata. Ja na to żartem, naprawdę żartem: szukasz daleko, a ten człowiek siedzi naprzeciw ciebie. Nic nie powiedział. Kilka tygodni potem dzwoni do mnie minister Krzysztof Skubiszewski, czy zgodzę się być szefem Instytutu Polskiego w Sztokholmie.

I tak w maju poleciałem do Sztokholmu, jako pierwszy dyplomata wielkiej zmiany w Skandynawii. Komunistyczna ekipa potraktowała mnie jak rewizora i trzęsła się ze strachu. A ja przeżyłem szok cywilizacyjny. Polska była wtedy zapyziała, zabiedzona, puste sklepy, ludzie szarzy, zmaltretowani przez historię. Szwecja wysmukła, błękitno-żółta, ładna, nawet pachniała inaczej. I był maj, atomowy wybuch wiosny, jak to na północy.

Instytut mieścił się w przepięknym pałacyku w samym sercu Sztokholmu. W Warszawie do czerwcowego przełomu mieszkałem w małym mieszkanku, w jakimś sensie bez „drzwi", w stałym poczuciu zagrożenia, a teraz nagle dostałem immunitet dyplomatyczny, samochód miał błękitne tablice, więc ledwie żywego małego fiata 126 zamieniłem na luksusowe volvo z kierowcą – rzecz jasna nie używałem tego auta. Piorunująca zmiana. Niebezpieczna. Ciągłe imprezy, spotkania z najciekawszymi ludźmi, artystami z Polski i ze Szwecji. Górecki, Wajda, Lutosławski, Penderecki, Mrożek, Szymborska, Miłosz, Davies. Instytut odwiedzili król szwedzki i królowa. Iluż niezwykłych Szwedów i polskich emigrantów poznałem! Te cztery lata zmieniły mnie, najadłem się po uszy zachodniej Europy. A wszystko zasługa Króla i jego grypy.

Czasami wydaje się, że przypadek wie, co robi.

Rola przypadku w życiu fascynuje mnie. Czasami wydaje się, że przypadek wie, co robi. Wyjmuję teraz z półki książki Marcina, gęsto tam od moich podkreśleń, zakładek. Na początku naszej znajomości Król był wielkim optymistą, w drugiej części życia stał się równie wielkim pesymistą, czarnowidzem nawet. A prawda lubi być pośrodku, więc czasami się mylił. Nie szkodzi. Inspirował, masował mózg słuchacza i czytelnika. Polska na pewno będzie bez niego głupsza.

t.jastrun@tygodnikprzeglad.pl

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 874ec55186

Drony na ratunek

Bezzałogowce zrewolucjonizowały prowadzenie wojny i robienie zdjęć. Czas, by wprowadziły nową jakość w ratowaniu życia

Pokaz ratowniczego drona dla WOPR. Jastrzębia Góra, sierpień 2018 r.

Przemysław Ziemacki

W ratownictwie miejsce dla dronów jest przede wszystkim tam, gdzie wykorzystuje się śmigłowce, np. w ratownictwie morskim. Najpopularniejszy na polskim wybrzeżu statek ratowniczy klasy SAR 1500 płynie na wezwanie z prędkością ok. 55 km/godz. przy dobrej pogodzie, w sztormie o połowę wolniej, a zwykle ma do pokonania wiele kilometrów. To sprawia, że na morzu często jedyną szansą na szybką pomoc jest śmigłowiec. Do tego zapewnia on możliwość przeczesania dużego akwenu w relatywnie krótkim czasie.

Dla rozbitka, który wypadł za burtę, albo dla zniesionego na pełne morze kitesurfera najlepiej byłoby, aby do działań ruszyło kilka śmigłowców, dzieląc między siebie obszar poszukiwań. Realnie jednak na ratunek rusza zwykle jeden helikopter. Drony są zatem szansą na wprowadzenie nowej jakości w poszukiwaniach rozbitków.

– Aktualnie myślimy o dwóch rodzajach bezzałogowych aparatów latających: wyposażonym w kamerę termowizyjną dronie do poszukiwań oraz o dronie, który przenosiłby środki ratunkowe, np. bojkę na linie, i mógłby je zrzucić osobie potrzebującej pomocy, a następnie holować ją do brzegu albo w stronę statku ratowniczego – mówi Rafał Goeck, rzecznik prasowy Morskiej Służby Poszukiwania i Ratownictwa (SAR). Na rynku nie ma gotowego rozwiązania spełniającego wymagania SAR. Ze względu na realia budżetowe na początek musiałby to być względnie mały bezzałogowiec o napędzie elektrycznym, zdolny do lotów przy sile wiatru 5-6 st. w skali Beauforta na odległość co najmniej 5 km i pozostawania w powietrzu nie krócej niż trzy godziny.

– W pierwszej kolejności chcielibyśmy pozyskać drony z myślą o wsparciu działań poszukiwawczych i ratowniczych, prowadzonych przez stacje ratownictwa brzegowego, a związanych najczęściej z uprawianiem sportów wodnych – dodaje Goeck. W 2019 r. SAR ruszał na wezwanie pomocy 327 razy, z czego w 179 przypadkach były to działania przybrzeżne.

Poligonem doświadczalnym dla ratowniczych dronów są porty Trójmiasta. Prowadzone tam testy skupiają się na monitoringu portu z powietrza z opcją niesienia pomocy przy użyciu bojki ratowniczej lub dostarczeniu defibrylatora na oddalone nabrzeże czy statek. Dostawcą testowanego systemu jest krajowa firma Pelixar. Koszt jednej maszyny zaczyna się od 55 tys. zł, jest zatem nieporównywalny z kosztem śmigłowca. W stosunku do wymagań SAR testowany dron ma na razie zbyt krótki czas przebywania w powietrzu, poniżej godziny. Trzeba jednak pamiętać, że podobne rozwiązania na całym świecie są nowością i osiągi mogą szybko wzrosnąć.

Niestety, na kwestię pojawienia się dronów na wyposażeniu SAR wpływ mogą mieć planowane zmiany administracyjne. Ministerstwo Gospodarki Morskiej i Żeglugi Śródlądowej poinformowało, że na początku przyszłego roku rozwiąże Morską Służbę Poszukiwania i Ratownictwa, a jej zadania, wraz z ludźmi i sprzętem, powierzy Urzędowi Morskiemu w Gdyni. Mimo że nie powinno to się odbić na działalności ratowniczej, historia pokazuje, że zachowanie ciągłości w zakupach sprzętu będzie problematyczne, szczególnie w odniesieniu do całkowicie nowych urządzeń, jakimi byłyby bezzałogowce.

Z dronami eksperymentuje także Wodne Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe. Podczas przeprowadzonych w Międzyzdrojach pokazów dron ciągnął przez 100 m ważącą 60 kg kobietę. Symulująca tonącego dotknęła suchego piasku bez bezpośredniej pomocy ratownika, choć entuzjazm studzi fakt, że test odbył się przy bezwietrznej pogodzie i spokojnym morzu. Jak podkreślają woprowcy, dron nie zastąpi ratownika śpieszącego na pomoc w klasyczny sposób, ale w sprzyjających okolicznościach

Drony są szansą na to, aby wprowadzić nową jakość w poszukiwaniach rozbitków.

eprasa.pl 874ec55186

może być przy tonącym pięć razy szybciej.

Minuty zamiast godzin

Od paru lat bezzałogowce wykorzystuje Górskie Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe. Ich zakup był oddolną inicjatywą grup beskidzkiej, podhalańskiej i bieszczadzkiej, które użytkują łącznie sześć dronów o napędzie elektrycznym, w tym dwa z kamerami termowizyjnymi. Ich głównym zadaniem jest wsparcie poszukiwań, ale w grę wchodzi także szybki transport lekkiego sprzętu ratowniczego na miejsce zdarzenia. Zakres wykorzystania dronów nad lądem jest węższy z uwagi na specyfikę terenu. W lesie, szczególnie latem, za dnia niezwykle trudno odnaleźć zaginionego z powietrza, bez względu na to, czy obszar przeczesuje się w świetle widzialnym, czy w termowizji. Największy potencjał drony mają w operacjach nad terenami otwartymi albo w miejscach trudno dostępnych, np. w niszach na urwiskach, nad które łatwiej jest podlecieć, niż się do nich wspiąć. Dotąd goprowcy nie odnaleźli dronem żadnego zaginionego, choć brały one już udział w tego rodzaju działaniach. Natomiast Grupa Bieszczadzka GOPR wykorzystała drona do weryfikacji zgłoszenia.

– Normalnie dotarcie w miejsce, gdzie zgłaszający dostrzegł przez lornetkę coś, co mogło być nieprzytomną osobą, i powrót zajęłyby ratownikom około trzech godzin, bezzałogowiec uporał się z tym w kwadrans – mówi Marek Paterek, ratownik zawodowy GOPR. Urządzenia zakupione przez GOPR są stosunkowo proste, a ich głównym ograniczeniem jest czas przebywania w powietrzu – w warunkach górskich do pół godziny. Problemami we wprowadzeniu dronów do standardowego wyposażenia GOPR są przede wszystkim pieniądze i wypracowanie rozwiązań systemowych. Między prostymi urządzeniami dla amatorów a sprzętem, który rzeczywiście może wprowadzić nową jakość do ratownictwa górskiego, istnieje różnica co najmniej dziesiątków tysięcy złotych, a do tego trzeba jeszcze dodać wyszkolenie operatorów.

Automat do poszukiwań

Rewolucja, jaka kryje się w dronach, opiera się jednak nie tylko na maszynach, lecz także na oprogramowaniu, które pozwala im na autonomiczne działanie. Istnieją już technologie pozwalające wojskowym bezzałogowcom samodzielnie identyfikować cele i decydować o ich eliminacji. W krajach demokratycznych rozwój tego rodzaju zdolności powstrzymują na razie obawy natury etycznej, ale w dalszej perspektywie ewolucja pola walki wydaje się przesądzona. Opcja samodzielnej identyfikacji celu ma bowiem również jasną stronę. Oznacza, że wysłany do poszukiwań dron będzie w stanie odróżnić sylwetkę człowieka od otoczenia bez udziału operatora. Ostateczna efektywność zależy od jakości czujników i precyzji oprogramowania.

Podczas pokazów WOPR dron ciągnął przez 100 m ważącą 60 kg kobietę.

W czerwcu tego roku naukowcy z Uniwersytetu Wrocławskiego ukończyli prace nad projektem SARUAV. Pierwszym elementem ich systemu jest oprogramowanie kierujące autonomicznym lotem bezzałogowca i wykonywaniem przez niego zdjęć, drugim – algorytmy automatycznej analizy tych zdjęć, które – jak zapewnia zespół prof. Tomasza Niedzielskiego – mają wysoką skuteczność i trafnie odróżniają sylwetki ludzkie od pozostałych elementów środowiska.

Grupa Bieszczadzka GOPR wykorzystała drona do weryfikacji zgłoszenia.

Niewątpliwą zaletą tego systemu jest możliwość użycia go do operowania nawet tanimi dronami i do analizy zdjęć na zwykłym laptopie. Na razie SARUAV dowiódł swojej przydatności w ćwiczeniach przeprowadzonych przez strażaków ochotników z Wrocławia. Trzeba jednak pamiętać, że do analizy materiału zdjęciowego wymagane jest przekazanie fotografii na komputer zewnętrzny, SARUAV jest więc nie tyle rozwiązaniem docelowym, ile milowym krokiem polskiej myśli technicznej w kierunku wprowadzenia autonomicznych dronów do ratownictwa.

Najprawdopodobniej najbardziej zaawansowanym dronem o przeznaczeniu ratowniczym jest Cormorant, stworzony dla potrzeb armii przez izraelską firmę Tactical Robotics. Bezzałogowiec przypomina latający samochód. Jego głównym zadaniem ma być poszukiwanie i ewakuacja rannych z pola walki. Maszyna jest na razie w fazie prototypowej. Jeżeli się sprawdzi, przynajmniej na początku będzie narzędziem tylko dla dobrze dofinansowanych służb. Koszt jednego egzemplarza szacowany jest na 2,5 mln dol.

Najprościej być pierwszym

Drony to niewątpliwie szansa dla polskich służb ratowniczych. Jeżeli szybko wprowadzą specjalistyczne bezzałogowce do wyposażenia, dotrzymają kroku służbom z krajów wysoko rozwiniętych, a może nawet znajdą się w awangardzie. To również szansa dla rodzimej myśli technicznej, której rzadko trafia się możliwość zawalczenia o pozycję lidera na rynkach światowych. Szczególny potencjał dla krajowego przemysłu kryje się w segmencie dronów ratowniczych o atrakcyjnym stosunku ceny do jakości, bo prędzej czy później w topowych rozwiązaniach prym będą najpewniej wiedli Amerykanie, w tanich – Chińczycy. W obu przypadkach do odniesienia sukcesu bardzo by się przydał rządowy program rozwoju bezzałogowca dla służb ratowniczych, bo oddolne inicjatywy, choć cenne, zwykle nie przebijają się przez mur krótkich serii produkcyjnych i niskiego finansowania. Nie dziwi zatem, że próżno szukać w najbliższych planach SAR czy GOPR maszyn dalekiego zasięgu o napędzie spalinowym, a te właśnie byłyby dla nich najcenniejsze z operacyjnego punktu widzenia. Zegar tyka. Szybkość, z jaką rozwijają się technologie bezzałogowe, każe zakładać, że pod koniec dekady rynek ratowniczych dronów będzie już w pełni rozwinięty. ■

FOT. ŁUKASZ DEJNAROWICZ/FORUM

eprasa.pl 874ec55186

Zieloni to nie socjalizm

W Niemczech Zieloni rosną w siłę, ale już dawno nie są partią typowo lewicową

Jan Opielka

Gdy 21 listopada niemieccy Zieloni transmitowali kongres partyjny zorganizowany zdalnie, garstka czołowych polityków i polityczek partii występowała na tle przytulnego pokoju: ciepłe brązy, obrazy na ścianie sugerujące kameralność i rodzinną atmosferę. To nie przypadek – partia mierzy wysoko, więc każdym medialnym przekazem celuje także w liberalno-konserwatywny środek społeczeństwa. Widać to w treści „zasadniczego programu" ugrupowania, uchwalonego po dwóch latach konsultacji właśnie w trakcie zjazdu. Program, czwarty od założenia partii w 1980 r., nosi tytuł: „Poważać i chronić. Zmiany dają oparcie". I znów: cytat z konstytucji, przygarnięcie jak największej liczby grup i klas społecznych, żadnego radykalizmu. Treści programu są progresywne, ale na pewno nie są rewolucyjne czy „socjalistyczne", jak relacjonuje to korespondent „Rzeczpospolitej" Piotr Jendroszczyk, pisząc, że w programie i podczas zjazdu „zapachniało nieco marksizmem z domieszką populizmu".

Świadczenia bez barier

Jeśli wprowadzenie bezwarunkowego dochodu podstawowego (BDP), ustawowe zamrożenie galopujących cen najmu mieszkań w stolicy kraju (i na razie tylko tu) czy stanowcze dążenie do redukcji emisji gazów cieplarnianych ustalonej w 2015 r. w Paryżu to socjalizm – to jest to socjalizm w konserwatywnej polskiej perspektywie. W Niemczech tematy te i podobne omawiane są od dawna, w samym politycznym środku, który wskutek odmiennej rzeczywistości systemowej i społecznej w Niemczech usytuowany jest bardziej na lewo. Zieloni stawiają na silne państwo, ingerujące także w kwestie gospodarcze, ale nie kontestują prywatnej własności środków produkcji, również tej należącej do potężnych korporacji. Stawiają na ekologię, na docelowo 100% zielonej produkcji energii i samochody elektryczne, ale chcą wzmocnić, a nie osłabić niemieckie korporacje samochodowe, notabene uwikłane w ostatnich latach w ekologiczne skandale. I chcą wprowadzić BDP, ale w zamian za wszystkie dziś istniejące świadczenia. Nie chodzi o więcej socjalu, tylko o świadczenia bez zbędnych barier, bez uwłaczania godności.

Pomysł BDP jest odrzucany przez większość polityków Die Linke. W programie Zielonych określenie „podstawowy dochód" pada jeden jedyny raz. „Nowy zasadniczy program ma utrzymać połączenie Zielonych ze wszystkimi kierunkami – na lewo tak samo jak z chadecją", komentuje Peter Carstens w konserwatywnym dzienniku „Frankfurter Allgemeine Zeitung". A lewicowy publicysta Stephan Hebel określa zachowawczość programu Zielonych jako „superpragmatyzm bez wizji, który partia obrała przez swoją tęsknotę do »środka«".

Nie, Zieloni na pewno nie są partią socjalistyczną. Co więcej, istnieje dość duże prawdopodobieństwo, że będą współrządzić z chadecją. Już raz taką próbę podjęli, negocjując w 2017 r. koalicję Jamajki, tj. wspólnego rządu z chadecją (CDU i CSU) oraz liberałami (FDP). Negocjacje ostatecznie się nie powiodły, ale to nie Zieloni je zerwali, tylko liberałowie. Od tego czasu co prawda wiele się wydarzyło, Zieloni przesunęli się nieco na lewo, nie zrobiono jednak żadnego fundamentalnego kroku, nie padła żadna pośrednia lub bezpośrednia deklaracja, że partia dąży do utworzenia centrolewicowych rządów. I to mimo że w konstelacji Zieloni-SPD-Die Linke (na dziś bez większości sondażowej) właśnie ci pierwsi byliby partią wiodącą i mogliby wystawić kanclerza. Lub kanclerkę. Bo w ramach parytetu płci partia od kilkunastu lat prowadzona jest przez dwoje liderów. To wyraz przekonania o zaletach i konieczności podziału władzy, tak aby nie powstały ugrupowania wodzowskie, ale i pragmatyczne podkreślenie, że mężczyzna i kobieta w duecie władzy to po prostu zwiększona wartość dodana.

Efekt trzyletniego już działania Annaleny Baerbock i Roberta Habecka jest zdumiewający. „Polityka, która naprawdę chce coś zmienić, musi zabrać ze sobą całe społeczeństwo – wygranych i przegranych", mówi 39-letnia Baerbock. O ile Zieloni podczas ostatnich wyborów parlamentarnych w 2017 r. uzyskali niespełna 9% głosów, o tyle dziś w sondażach mają ponad 20% poparcia i są tym samym drugą po chadecji (CDU, 35%) partią, wyraźnie wyprzedzając socjaldemokratów (15%), Die Linke i liberałów FDP (po 7%), a także, co istotne, prawicowo-populistyczną Alternatywę dla Niemiec (AfD, 9%). Jednym z najważniejszych powodów, dla których Zieloni mają dziś takie poparcie, są Baerbock i Habeck. Ten drugi coraz częściej bywa wymieniany jako kandydat na kanclerza. I mimo że arytmetyka sondażowa nie daje lewicy większości, postacie przewodniczących faktycznie są ciekawe – szczególnie 51-letni Habeck, który wydaje się niekonwencjonalnym politykiem.

> Zieloni stawiają na ekologię, ale chcą wzmocnić, a nie osłabić niemieckie korporacje samochodowe.

eprasa.pl 874ec55186

Robert Habeck i Annalena Baerbock w trakcie wirtualnej konwencji Zielonych 21 listopada.

Ojciec czwórki dzieci jest typem sympatycznego intelektualisty, który doświadczenie życiowe zbierał najpierw poza sferą polityczną. Po uzyskaniu doktoratu z filozofii przez ponad dekadę pisał z żoną powieści dla dorosłych i dla dzieci (jedno z opowiadań zostało zaadaptowane jako film pełnometrażowy). Do polityki wszedł w wieku 33 lat, długo działał wyłącznie na szczeblu lokalnym, potem na regionalnym. Słuchając Habecka, trudno wyłapać typowe pustosłowie, charakterystyczne dla większości polityków, czy to z lewa, czy z prawa. Trudno też zakwalifikować jego wypowiedzi w schemacie prawica-lewica. „Musimy inwestować w szkoły, baseny, biblioteki, w komunikację miejską", mówi. Po pandemii należy „poluzować hamulec zadłużenia", który CDU i SPD chcą znów wprowadzić, ograniczając dług publiczny. W sondażach, w których wyborcy mają wskazać preferowanego kanclerza, Habeck zyskuje 21% i tym samym drugie miejsce. Ma zatem więcej poparcia niż Olaf Scholz, mało charyzmatyczny kandydat SPD (15%), i przegrywa tylko z potencjalnym kandydatem chadecji, Markusem Söderem. Zresztą ten ostatni już zdążył ogłosić, kto jest głównym rywalem partii chadeckich: „No oczywiście, to Zieloni".

Partia sprzeciwu

Aby zrozumieć, dlaczego ta dzisiejsza silna pozycja Zielonych jest znakiem czasu, warto przybliżyć historię ruchu i partii, która w styczniu br. świętowała 40-lecie. Zieloni powstali jako partia, która chciała być nie zwykłym ugrupowaniem, lecz „fundamentalną opozycją", jak na początku lat 80. ujęła to jedna z pierwszych liderek ruchu, charyzmatyczna Petra Kelly. Powstali ze sprzeciwu – wobec energetyki jądrowej, wobec spirali zbrojeń podczas zimnej wojny, wobec niszczącego planetę systemu kapitalistycznego. Byli formacją lewicową, aczkolwiek u zarania dominował wątek ochrony środowiska naturalnego. „Natura jako polityka" to motto partii skupiającej na początku komunistów, feministki, anarchistów, hippisów, radykalnych pacyfistów, ale i byłych chadeków, takich jak Herbert Gruhl. Jako poseł CDU Gruhl wskazywał pod koniec lat 70., że „już nie chodzi o to, aby dalej zmieniać świat, lecz o to, by świat uratować". Jego książka „Plądrowana planeta" stała się jednym z manifestów nowej partii, a Gruhl jej współzałożycielem. W dużej mierze Zieloni wierzyli w coś, co dla większości ewidentne stało się znacznie później: że istnieją „granice wzrostu" gospodarczego, o których na początku lat 70. ostrzegał Klub Rzymski. I że nie uwzględniając tego faktu, świat skazany będzie na katastrofę, w obliczu której dziś stoimy.

W 1983 r. Zieloni dostali się do Bundestagu, wypadli z niego w 1990 r. Wrócili w 1994 r., już odmienieni, mniej radykalni, a pod wodzą Joschki Fischera w 1998 r. stworzyli z SPD czerwono-zieloną koalicję (do 2005 r.).

Czym zasłynęli? Wsparciem dla rozwoju energetyki odnawialnej, kompromisowym i wydłużonym w czasie odejściem od energetyki jądrowej, reformami w dziedzinie praw mniejszości i imigrantów – ale też udziałem w wojnie w Kosowie w 1999 r. i w Afganistanie w 2001 r. Firmowali również reformy społeczne, nazwane ustawami Hartza, które zaostrzyły prawo oraz świadczenia socjalne i dla bezrobotnych. To w tym czasie, czasie współrządzenia, Zieloni stali się w pewnym sensie zwykłą partią polityczną – i pozostali nią do dziś, sytuując się pomiędzy starymi podziałami na lewicę i prawicę.

Zieloni są popularni szczególnie wśród młodych i kobiet. W pewnym sensie, przynajmniej PR-owo, stanowią kontrapunkt dla wielkich niegdyś partii, CDU i SPD. Poparcie czerpią również z faktu, że partia stała się „miejscem tęsknoty dla migrujących wyborców", ponieważ stanowi „krańcowe przeciwieństwo prawicowego populizmu i jest najważniejszym głosem otwartego na świat, liberalnego ducha na przekór polityczno-duchowej brutalizacji", jak pisze filozof i politolog Reinhard Olschanski w największym miesięczniku politycznym w kraju, „Blätter für deutsche und internationale Politik".

W ramach parytetu płci partia od kilkunastu lat prowadzona jest przez lidera i liderkę.

FOT. DDP IMAGES/FORUM

eprasa.pl 874ec55186

Olschanski dostrzega co prawda profesjonalny medialny przekaz partii i wkład nowego duetu jako ważne źródło rosnącego poparcia, lecz podstawowy powód sukcesu widzi w fakcie, że „zielony paradygmat dołączył do tych innych wielkich paradygmatów nowoczesności – mianowicie do konserwatyzmu, liberalizmu i socjalizmu. Stara triada stała się w XIX w. dominującym schematem, według którego partie polityczne i ruchy odgradzały się od siebie.

Partia jest popularna wśród młodych i kobiet. W pewnym sensie stanowi kontrapunkt dla wielkich niegdyś CDU i SPD.

Jednak podstawowe idee są cztery. Zieloni uosabiają ten potężny i poruszający wielu ludzi pomysł, który pojawił się jako ostatni – mianowicie ów paradygmat ekologiczny".

Postępowi, ale…

Faktycznie nasilanie się problemów środowiskowych i klimatycznych zdaje się potwierdzać to, o czym Zieloni mówili dekady temu jako mniejszość, wyśmiewana wówczas przez większość. Dziś jesteśmy świadkami katastrofy klimatycznej, anomalii pogodowych. Topią się lodowce, ludzie uciekają ze swoich krajów przed ewidentnymi skutkami zmian klimatycznych. I już nie tylko radykalni ekolodzy domagają się zastąpienia kopalnych nośników energii, ale i potężne banki, które odmawiają finansowania takich inwestycji, wiedząc, że nie mają one przyszłości. Niemieccy Zieloni siłą rzeczy podkreślają te aspekty. Jednocześnie nie mówią zbyt dokładnie o kosztach, jakie niesie polityka i gospodarowanie uwzględniające konieczność redukcji emisji gazów cieplarnianych, ale i ograniczenia eksploatacji zasobów świata generalnie. Tu trzeba by też uwzględnić nierówności społeczne, czyli choćby pracowników-niewolników z globalnego Południa, wydobywających w Kongu koltan do naszych smartfonów czy zbierających na plantacjach w Indonezji owoce palm olejowych.

Jednak dla radykalniejszych ruchów klimatycznych, choćby dla Extinction Rebellion czy zdominowanego przez młodzież Fridays for Future, Zieloni nie są już punktem odniesienia. „Nie są politycznym ramieniem ruchu klimatycznego – są dziś partią jak każda inna, choć dokładnie tego chcieli 40 lat temu uniknąć, ustanawiając swój pierwszy podstawowy program", komentuje Kristin Joachim z publicznej telewizji RBB/ARD.

Fundamentalnym elementem „przyszłościowego mainstreamu" może się okazać wspomniany BDP. Jest on jedną z odpowiedzi na skutki kapitalistycznej ekonomii i rozwarstwienia społecznego, które pozbawiają coraz więcej ludzi możliwości pracy i środków do życia. Zieloni zdają się widzieć, że BDP będzie w przyszłości równie konieczny jak niegdyś ich żądanie odejścia od spalania surowców kopalnych i tworzenia alternatywnych źródeł energii. Na jednym ze zjazdów partyjnych Robert Habeck wołał: „Era Merkel się kończy, rozpoczyna się nowy czas. Pytanie brzmi: kto ustawi zwrotnicę?".

W marcu 2021 r. w Badenii-Wirtembergii odbędą się wybory. Już od niemal 10 lat rządzą tam Zieloni, premier landu Winfried Kretschmann wywodzi się z dawniejszego skrzydła, zwanego *realos*, czyli realiści, pragmatycy, w odróżnieniu od *fundis* – fundamentalistów. W 2011 r. Kretschmann został pierwszym zielonym premierem landu w Niemczech, tworząc koalicję z SPD. Pięć lat później, polepszając wynik swojej partii o ponad 6 pkt proc., stworzył koalicję z CDU – przy czym chadecja jest „juniorem". Kretschmann rządzi w kraju związkowym, który ze swoją potężną gospodarką, szczególnie w branżach związanych z motoryzacją i high-tech, nie wydaje się naturalnym środowiskiem Zielonych. Wszak stolica landu, Stuttgart, to siedziba producenta paliwożernych mercedesów, koncernu Daimler. Ale to Kretschmann stworzył określenie „polityka tzw. i", czyli łączenia pozornie sprzecznych dziedzin, szczególnie ekonomii i ekologii.

Zieloni chcą „przytulić wszystkich, od osób pobierających świadczenia socjalne po wielkie korporacje".

Nie należy więc się dziwić, że aktywiści klimatyczni są zawiedzeni brakiem radykalnych postulatów i postanowień partii. Zieloni chcą „przytulić każdego i wszystkich, od osób pobierających świadczenia socjalne po wielkie korporacje", mówi Joachim. Niemniej jednak partia, mając u podstaw fundament ekologiczny, dotyczący zasadniczo wszystkich, w gruncie rzeczy nie może działać inaczej, aniżeli kierując ofertę do różnych grup i warstw społecznych. Musi zatem tworzyć „przyszłościowy *mainstream*", jak mówi Reinhard Bütikofer, w pierwszej dekadzie XXI w. jeden z czołowych polityków partii, dziś europoseł. Czyli musi torować drogę nowemu głównemu nurtowi.

Sondaże wskazują, że Zieloni w Badenii-Wirtembergii znów zdobędą ok. 30% poparcia. Partyjni koledzy w Berlinie, przygotowujący się do wyborów na szczeblu federalnym we wrześniu 2021 r., już liczą na wiatr ze Stuttgartu, który zasili nie tylko turbiny na farmach wiatrowych, ale też zielone żagle, pchając ich statek po berlińskiej Sprewie w kierunku Urzędu Kanclerskiego.

Jan Opielka

eprasa.pl 874ec55186

W Norwegii migranci zarobkowi nie są pozostawiani sami sobie

Polityka wobec migrantów zarobkowych w Norwegii to wspólna troska rządu, pracodawców i związków zawodowych

Piotr Ostrowski

Rozszerzenie Unii Europejskiej (oraz Europejskiego Obszaru Gospodarczego) w 2004 i 2007 r. stanowiło nowe wyzwanie dla norweskiego rynku pracy. Z uwagi na niską podaż pracy w takich sektorach jak rolnictwo, budownictwo, przemysł stoczniowy i usługi sprzątania Norwegia szeroko otworzyła się na pracowników migrujących. Ogromny ich napływ z krajów Europy Wschodniej, których rynki pracy charakteryzują niskie płace, sprawił, że niemal natychmiast pojawiły się pytania dotyczące ich integracji, wynagrodzeń, bezpieczeństwa i higieny pracy oraz ochrony przed wyzyskiem. Zgodnie z oficjalnymi danymi dotyczącymi zarejestrowanych pracowników migracja zarobkowa z Europy Środkowo-Wschodniej do Norwegii stanowiła około dwóch trzecich wzrostu liczby zatrudnionych pomiędzy IV kw. 2001 a 2012 r., wliczając w to zarówno tych pozostających na stałe, jak i migrantów tymczasowych.

Od 2006 r. rząd norweski podjął działania na rzecz zwalczania konkurowania niskimi płacami, dumpingu społecznego i przestępstw związanych z pracą (*work-related crime*). Warto dodać, że tzw. czerwono-zielona koalicja Jensa Stoltenberga w większym stopniu kładła nacisk na kwestie niskich płac, a rząd konserwatywny na zjawiska przestępstw związanych z pracą. Ważną strategią stało się rozszerzanie układów zbiorowych pracy, które do 2019 r. objęły dziewięć wybranych branż, kluczowych z punktu widzenia pracowników migrujących (budownictwo, rolnictwo/sadownictwo, usługi sprzątania, przemysł stoczniowy, usługi elektryczne, przetwórstwo rybne, przewozy autobusowe, transport dóbr oraz hotelarstwo i gastronomię). O ile norweskie związki zawodowe jednoznacznie wspierały te działania, o tyle stanowisko największej centrali organizacji pracodawców (NHO) nie było jednolite. Silnie sprzeciwiała się ona wszelkim działaniom w sektorze stoczniowym, jednak zdecydowanie wspierała interwencje w sektorze usług sprzątania, w ramach których współpracowała z rządem w przeciwdziałaniu dumpingowi społecznemu, przestępstwom związanym z pracą oraz naruszeniom prawa pracy.

Uregulowano wiele innych kwestii, jak rozszerzenie stosowania Konwencji nr 94 Międzynarodowej Organizacji Pracy, dotyczącej postanowień o pracy w umowach zawieranych przez władze publiczne na cały sektor publiczny, znaczące zwiększenie finansowania inspekcji pracy oraz wprowadzenie regionalnych inspektorów pracy (RVO), którzy w sposób niezapowiedziany mogą kontrolować każde, nawet jednoosobowe przedsiębiorstwo. Warto odnotować, że Polska jak dotąd nie ratyfikowała Konwencji nr 94 MOP. Potrzeba ratyfikacji i właściwej implementacji tej ważnej konwencji jest jednym z postulatów Ogólnopolskiego Porozumienia Związków Zawodowych sformułowanych w Programie OPZZ na lata 2018-2022, podobnie jak potrzeba corocznego zwiększania środków finansowych na działalność Państwowej Inspekcji Pracy w Polsce.

W styczniu 2015 r. rząd norweski przyjął strategię na rzecz wzmocnienia wysiłków w celu zwalczania przestępstw związanych z pracą i łamania prawa pracy. Strategia jest cyklicznie rewidowana, pierwszy raz w roku 2017 i ponownie w 2019. Działania są wypracowywane w ramach konsultacji z partnerami społecznymi (organizacjami pracodawców i związkami zawodowymi) oraz szerszej współpracy wychodzącej poza zinstytucjonalizowany dialog społeczny. Główną strategią jest szeroka i zrównoważona współpraca pomiędzy wszystkimi aktorami zaangażowanymi w procesy związane z pracą oraz wzmocniona koordynacja pomiędzy instytucjami publicznymi, tak by zagwarantować największą możliwą efektywność. Poprzez m.in. prewencję rząd norweski ukierunkowuje swoje działania na redukcję przestrzeni dla funkcjonowania przestępców na rynku pracy. Robi to głównie poprzez ułatwienia odnajdowania na rynku pracy uczciwych pracodawców i utrudnienia w oferowaniu usług przez oszustów. Jest to możliwe m.in. poprzez inicjatywy ukierunkowane na zwiększanie świadomości konsumenckiej zarówno podmiotów publicznych, jak i prywatnych. Rząd norweski dąży do podnoszenia wiedzy obywateli na temat przestępstw związanych z pracą, w tym ich zasięgu, przyczyn, konsekwencji i zmian, zwraca też uwagę, w jaki sposób efektywnie zwalczać takie zjawiska jak przestępstwa podatkowe, wykorzystywanie niezarejestrowanych pracowników, wyzysk pracowników poprzez łamanie prawa pracy i układów zbiorowych, a także handel ludźmi.

Ogólnopolskie Porozumienie Związków Zawodowych wraz z partnerami:

- Norweską Konfederacją Związków Zawodowych (Landsorganisasjonen i Norge), największą centralą związkową w Norwegii,
- Stowarzyszeniem Interwencji Prawnej, jedną z największych w Polsce organizacji pozarządowych zorientowanych na pomoc migrantom i uchodźcom,
- Międzyzakładowym Związkiem Zawodowym Pracowników Ukraińskich w Polsce, jedynym związkiem zawodowym w kraju działającym na rzecz obrony praw i reprezentowania interesów pracowników cudzoziemskich w Polsce,

realizuje, ze wsparciem Norwegii poprzez Fundusze Norweskie 2014-2021, w ramach programu „Dialog Społeczny – Godna Praca" projekt SIDA – Sustainable, Inclusive and Decent Work for All (Zrównoważona, Inkluzywna i Godna Praca dla wszystkich).

Chcemy wykorzystać zarówno te, jak i inne norweskie doświadczenia dotyczące polityki i działań skierowanych do pracowników migrujących. Na podstawie doświadczeń norweskich, w szczególności norweskich związków zawodowych, oraz wykorzystując wiedzę i doświadczenia ekspertów Stowarzyszenia Interwencji Prawnej i Międzyzakładowego Związku Zawodowego Pracowników Ukraińskich w Polsce, chcemy jak najlepiej przygotować związkowców z OPZZ do działania na rzecz pracowników migrujących na polskim rynku pracy i wraz z nimi. Chcemy, aby godna praca była dla wszystkich!

Piotr Ostrowski jest wiceprzewodniczącym Ogólnopolskiego Porozumienia Związków Zawodowych

Projekt realizowany ze wsparciem Norwegii poprzez Fundusze Norweskie 2014-2021 w ramach programu „Dialog Społeczny – Godna Praca"

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 874ec55186

Mateusz Mazzini

Prezydent największej większości

Joe Biden wygrał również dlatego, że mogło na niego głosować mnóstwo nowych wyborców

Tegoroczny wyścig do Białego Domu był jednym z najdłuższych w historii, również z tego powodu, że nie zakończył się w noc wyborczą. Rosnąca polaryzacja amerykańskiego społeczeństwa, rekordowa frekwencja, wymuszona pandemią większa niż zwykle liczba głosów oddanych korespondencyjnie i coraz wyraźniejsze oddalenie wyborców od dwóch największych partii sprawiły, że rywalizacja w wielu kluczowych stanach rozstrzygnęła się kilkunastoma czy kilkudziesięcioma tysiącami głosów. Długo nie było wiadomo, czy na stronę Bidena przechyli się szala zwycięstwa w Nevadzie, Arizonie, Karolinie Północnej lub mogącej zadecydować o całych wyborach Pensylwanii.

O ile jednak zmiany demograficzne i szczegółowe badania sondażowe mogły wskazywać już wcześniej, że trudno tam będzie wytypować zwycięzcę, o tyle wielką sensacją kolejnych godzin wyborczego odliczania była sytuacja w Georgii. Ten południowy stan, jeden z siedmiu, które weszły w skład XIX-wiecznej Konfederacji, próbując oderwać się od reszty kraju i zachować legalne niewolnictwo, był bastionem republikanów. Kandydat demokratów na prezydenta nie wygrał tu od 28 lat, czyli od czasów Billa Clintona – w polityce, zwłaszcza amerykańskiej, to więcej niż epoka. Tym razem Georgia na wyborczej mapie zaświeciła się na niebiesko, w kolorze Partii Demokratycznej. I praktycznie wypchnęła Joego Bidena za linię mety na pierwszym miejscu.

Prezydent elekt zdobył tam aż 2,4 mln głosów. To ponad pół miliona więcej, niż uzyskała Hillary Clinton cztery lata wcześniej. Nie oznacza to bynajmniej, że mieszkańcy Georgii stali się nagle całościowo bardziej liberalni albo że Donald Trump był dla nich kandydatem szczególnie niewygodnym. Dziś bardziej prawdopodobna wydaje się hipoteza, że ten stan zawsze miał niebieską duszę polityczną, tylko wcześniej nie mógł jej pokazać przy urnie.

W USA czynne prawo wyborcze w wyborach federalnych realnie wcale nie jest prawem powszechnym. Po pierwsze, aby móc oddać głos, najpierw trzeba się zarejestrować. Jeśli obywatel sam się nie zgłosi do władz, te karty do głosowania mu nie przygotują. Po drugie, sam akt wyborczy może być utrudniony, ponieważ każdy stan ma własną politykę weryfikacji tożsamości wyborców w komisjach. Aż w 35 konieczne jest okazanie dokumentu wystawionego przez władze stanowe – co ciekawe, paszport do głosowania w USA często nie uprawnia. Czasem wystarczy stanowy dowód tożsamości albo nawet prawo jazdy, ale, jak w Dakocie Północnej, Missisipi, Wisconsin czy właśnie w Georgii, konserwatywni prawodawcy dodali dodatkowe kryteria weryfikacyjne. Dokument musi zawierać konkretny rodzaj zdjęcia (nie z profilu, bez nakrycia głowy, w odpowiednich wymiarach) lub aktualny stały adres zamieszkania. Automatycznie dyskwalifikuje to chociażby setki tysięcy Amerykanów mieszkających w przyczepach (jako nieposiadające fundamentów nie mają przypisanego na stałe adresu) czy w rezerwatach dla Indian. Oraz wszystkich tych, którzy po prostu nie mają dokumentów – bądź ich papiery są w starym, nieodpowiednim już formacie.

Według Project Vote, organizacji pozarządowej zajmującej się badaniem powszechności wyborów, odpowiedniego dokumentu zezwalającego na oddanie głosu w wyborach federalnych nie ma aż 13% Afroamerykanów, 10% amerykańskich Latynosów i aż 11% białych w grupie wiekowej 21-24 lata. Denise-Marie Ordway, badaczka z Centrum im. Joan Shorenstein na Harvardzie, dodaje, że przedstawiciele mniejszości etnicznych są, w zależności od stanu, od dwóch i pół do nawet sześciu razy częściej odrzucani przez komisje wyborcze z powodu niewłaściwej formy identyfikacji lub braku odpowiednio przeprowadzonej procedury rejestracyjnej.

Powiększenie frekwencji wyborczej od lat uznawane jest za klucz do zwycięstw demokratów. Nie tylko dlatego, że w wielu stanach mniejszości już teraz są bardziej skłonne głosować właśnie na nich. Niedługo mogą one przestać być mniejszościami. Matthew Goodwin i Roger Eatwell, brytyjscy politolodzy zajmujący się strategiami wyborczymi, szacują, że pomiędzy rokiem 2019 a 2060 odsetek całego elektoratu identyfikujący się jako „czarnoskóry" wzrośnie wprawdzie tylko o 1 pkt proc. (z 13% do 14%), ale już u Latynosów wzrost ten będzie znacznie wyraźniejszy – z 17,4% do 28,6%. Jeśli dodać do tego pozostałe mniejszości etniczne, widać jak na dłoni, że materializuje się scenariusz „większościowych mniejszości". Według szacunków Departamentu Spraw Wewnętrznych już w połowie bieżącego stulecia Ameryka stanie się krajem, w którym osoby identyfikujące się jako mniejszości etniczne będą łącznie stanowić ponad 50% wszystkich obywateli. Ułatwienie im korzystania z czynnego prawa wyborczego będzie więc nie tylko dobrą strategią partyjną, ale też obowiązkiem demokratycznego państwa.

I choć tradycyjne białe elity protestanckie ze Wschodniego Wybrzeża długo problem rejestracji wyborców

W USA czynne prawo wyborcze w wyborach federalnych wcale nie jest prawem powszechnym.

eprasa.pl 874ec55186

Wybory w stanie Iowa, 3 listopada 2020 r.

ignorowały, tam, gdzie doskwierał on najmocniej, walczyli z nim lokalni działacze. To oni są realnymi bohaterami kampanii Bidena. Nawet jeśli własne wyścigi wyborcze nierzadko przegrywali.

Taki los spotkał Stacey Abrams, kandydatkę na gubernatora Georgii sprzed dwóch lat. Dla demokratów była postacią wręcz idealną. Z jednej strony, świetnie przygotowana i doświadczona, z dyplomem prawa z Yale i ponad dekadą pracy w stanowej Izbie Reprezentantów. Z drugiej – czarnoskóra, aktywna w społeczności religijnej, niesamowicie popularna z racji zaangażowania społecznego. Gdyby wygrała, byłaby pierwszą niebiałą kobietą na czele stanu. Biorąc pod uwagę jego segregacyjną przeszłość i fakt, że Afroamerykanie to 32% wszystkich mieszkańców Georgii, byłoby to wydarzenie przełomowe.

Ostatecznie Abrams przegrała z Brianem Kempem, republikaninem blisko związanym z Donaldem Trumpem, zwolennikiem bardzo restrykcyjnych przepisów dotyczących praw wyborczych. Przegrała minimalnie, bo różnicą zaledwie 55 tys. głosów. Spośród wszystkich możliwych kandydatów ona najlepiej rozumiała, co taka porażka oznacza – niekoniecznie brak wsparcia wyborców, ale niemal na pewno problemy wielu z nich z oddaniem głosu. Sytuację w elektoracie znała doskonale. W 2013 r. założyła bowiem organizację New Georgia Project, walczącą o rejestrację jak największej liczby czarnoskórych wyborców w stanie. Jej wolontariusze docierali na kampusy uczelni publicznych, do kościołów i wspólnot religijnych, domów opieki i na głęboką prowincję. Informowali mieszkańców o ich prawach, pomagali w wypełnieniu dokumentów, zbierali pieniądze na wymianę dowodów tożsamości. I w ciągu siedmiu lat dodali do spisu wyborców prawie 800 tys. osób.

Każdy stan ma własną politykę weryfikacji tożsamości wyborców. Aż w 35 konieczne jest okazanie dokumentu wystawionego przez władze stanowe.

Tylko 100 tys. przybyło w ciągu ostatniego półtora roku. Gdyby mogli zagłosować w 2018 r., Abrams najpewniej byłaby dziś gubernatorką. Dla demokratów ważne jest jednak, że oddali głos w tegorocznych wyborach, jednoznacznie popierając Bidena i doprowadzając do jednej z największych sensacji ostatniej dekady. Zmieniającą się demografię populacji uprawnionej do głosowania najlepiej widać w Georgii na poziomie hrabstwa. W tym roku na niebiesko zaświeciły się nie tylko wielkie miasta i ich przedmieścia, takie jak Atlanta, Richmond czy Athens, ale też położone w głębokim stanowym interiorze hrabstwo Henry. Zresztą nawet w demokratycznych bastionach prezydentowi elektowi poszło lepiej, niż spodziewali się analitycy. W aż ośmiu z dziesięciu hrabstw tworzących obszar metropolitalny Atlanty (w którym żyje 4,5 mln osób) wynik Bidena był lepszy niż rezultat Abrams z 2018 r. Możliwe też, że demokraci w Georgii wygrają w tym roku wybory do Senatu, przejmując tym samym kontrolę nad całym Kongresem.

Niedoszła gubernatorka nie chce jednak, by jej walka o powszechność praw wyborczych zakończyła się w jej własnym stanie. Oddała więc kierownictwo w New Georgia Project, zakładając kolejny ruch – Fair Fight (ang. Uczciwa Walka). Jego wolontariusze działają już w 20 stanach uznawanych za najbardziej chwiejne politycznie. Edukują wyborców, zwłaszcza tych z mniejszości etnicznych, na temat ich konstytucyjnych praw obywatelskich. I walczą, by amerykańska demokracja nikogo nie dyskryminowała. Lista takich grup jest długa i nie ogranicza się do czarnoskórych czy latynoskich wyborców. Bez prawa do głosu w wielu stanach pozostają chociażby więźniowie. W tym roku po raz pierwszy do urn dopuściła ich Floryda, po długiej batalii sądowej stoczonej przez ACLU, Amerykańską Unię Wolności Obywatelskich. Efekt? Demokraci Florydy nie odbili, ale Trump nie mógł być tam pewien zwycięstwa. Następnym razem republikanom może już się nie udać. A głównego lokatora Białego Domu wreszcie zacznie wybierać prawdziwa większość obywateli Stanów Zjednoczonych.

m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

FOT. SIPA/EAST NEWS

eprasa.pl 874ec55186

Daniel Brusiło

Mafijny lockdown

Grupy przestępcze w Ameryce Południowej budują sobie zaplecze społeczne, niosąc pomoc tym, o których państwo zapomniało

„Będziemy zabijać, by chronić życie innych ludzi" – tymi słowami kończy się ulotka rozpowszechniana przez Armię Wyzwolenia Narodowego (Ejército de Liberación Nacional, ELN), największą organizację przestępczą w Kolumbii. Jak podaje raport Human Rights Watch, w 11 z 32 stanów tego kraju zbrojne grupy wprowadzają na kontrolowanych przez siebie terenach własny lockdown. Przekazywane za pomocą WhatsAppa ograniczenia dotyczą zasad przemieszczania się, wykonywania poszczególnych zawodów czy godzin otwarcia sklepów. Osobom nieprzestrzegającym rygorystycznych zaleceń grozi śmierć. Według aktywistów HRW co najmniej osiem osób poniosło najwyższą karę za nieprzestrzeganie mafijnej kwarantanny.

W jaki sposób gangi Ameryki Południowej postanowiły uszczknąć kawałek pandemicznego tortu i wykorzystać światową tragedię do własnych celów? Jaki może mieć to wpływ na całe południowoamerykańskie społeczeństwo?

Żołnierze Armii Wyzwolenia Narodowego, największej przestępczej organizacji w Kolumbii, zaprowadzają na kontrolowanych terenach swoje porządki.

Kryminalne zarządzanie kryzysowe

W maju Światowa Organizacja Zdrowia ogłosiła Amerykę Południową nowym centrum pandemii COVID-19. Dzisiaj takie kraje jak Brazylia, Peru, Kolumbia, Chile czy Meksyk znajdują się w ścisłej czołówce państw najmocniej dotkniętych kryzysem spowodowanym postępem choroby. Rządy muszą się zmagać i z lawinowo rosnącą liczbą zakażonych, i z problemem kryminalnego zarządzania – w miejscach, do których nie dociera władza, pustkę wypełniają partyzantki, mafie i gangi. Organizują pomoc dla najbardziej potrzebujących mieszkańców biednych osiedli wielkich miast czy chłopów z cywilizacyjnych peryferii. Rządzący pozostawili ich samym sobie – w izolacji, bez środków do życia. Plagą tego kontynentu jest nieformalne zatrudnienie, a pandemia sprawiła, że rzesze ludzi, których los był zależny od pracy z dnia na dzień, zostali niespodziewanie odcięci od wszelkich źródeł zarobku. Tragiczną sytuację, w której znaleźli się najbiedniejsi taksówkarze, uliczni sprzedawcy kanapek, rolnicy z prowincji czy handlarze chińskimi słuchawkami ze śródmiejskich stacji metra, wykorzystały organizacje przestępcze, które makaronem, mąką i mydłem kupują zaufanie mieszkańców kontrolowanych przez siebie terenów.

> W 11 z 32 stanów Kolumbii zbrojne grupy wprowadzają na kontrolowanych przez siebie terenach własny lockdown.

W Meksyku żołnierze Kartelu z Zatoki (Cártel del Golfo) roznoszą paczki z żywnością sygnowane logo swojej organizacji. Na filmach umieszczonych na Facebooku uśmiechnięci przedstawiciele wiejskich społeczności stanu Jalisco, ściskając plastikowe torby z pomocą, radośnie skandują: „Dziękujemy, El Mencho!" (przydomek Nemesia Oseguery Cervantesa – przyp. aut.). Wychwalają szefa jednego z najniebezpieczniejszych karteli w kraju – CJNG (Cártel Jalisco Nueva Generación), tego samego, który zasłynął budową szpitala w El Alcíhuatl, gdzie leczy swoich żołnierzy oraz członków lokalnych komun.

Identyczne działania podejmują gangi z kolumbijskich puszcz, przedmieść chilijskiego Santiago czy brazylijskiego São Paulo, jednak brakuje im rozmachu, charakterystycznego dla *narcos* z północy Meksyku. W fawelach Rio de Janeiro – najbiedniejszych osiedlach światowej stolicy karnawału – żołnierze mafii rozwieszają plakaty informujące o normach sanitarnych, dostarczają pojemniki z płynem dezynfekującym

FOT. REUTERS/FORUM

eprasa.pl 874ec55186

do punktów poboru wody pitnej, blokują ruch turystyczny. Swoje działania tłumaczą chęcią ochrony żyjących tam osób, lecz nie kierują nimi wyłącznie altruizm i troska. Jak pisze „The Guardian", wszystkich, którzy nie będą przestrzegać zasad nowej kwarantanny, czekają brutalne konsekwencje.

Stabilizacja w odwrocie

Koronawirus obnażył dysproporcje ekonomiczne Ameryki Południowej. Załamanie systemu gospodarczego poszczególnych krajów może spowodować kryzys humanitarny na niespotykaną skalę. Alicia Bárcena z komisji ONZ ds. Ameryki Łacińskiej i Karaibów, autorka raportu o koronawirusie, stwierdza, że spowolnienie gospodarcze przyczyni się do redukcji 44 mln miejsc pracy na kontynencie. Liczba Latynosów żyjących w skrajnej biedzie może się zwiększyć o 45 mln. Nowe rzesze potrzebujących będą szukać wsparcia u gangów, których pomoc, nawet niewielka, okazuje się niezwykle potrzebna.

Jak podkreśla Angélica Durán-Martínez, ekspertka ds. przestępczości zorganizowanej w krajach Ameryki Południowej, w rozmowie dla portalu InSight Crime, pandemia i dalsze oddawanie pola gangom przez rządy poszczególnych państw spowodują bezprecedensowy rozwój największych organizacji i krwawe walki o przetrwanie pomiędzy mniejszymi graczami. Może to doprowadzić do eskalacji mafijnych konfliktów na niespotykaną skalę. Zresztą już teraz to widać. Początki kwarantanny w São Paulo w porównaniu do zeszłego roku (w okresie od stycznia do kwietnia) przyniosły 30-procentowy wzrost liczby zabitych w wyniku działań policji. W Kolumbii byli bojownicy FARC (Fuerzas Armadas Revolucionarias de Colombia, Rewolucyjnych Sił Zbrojnych Kolumbii), zdemilitaryzowani po podpisaniu historycznego porozumienia z rządem w 2016 r., uciekają z obozów reedukacyjnych i ponownie chwytają za broń, zasilając szeregi mniejszych grup powstałych po rozpadzie organizacji matki. Strzelaniny i przemoc stają się codziennością na ulicach chilijskiego Santiago.

Pandemiczna profilaktyka i pomoc najbiedniejszym oznaczają dalsze cementowanie władzy, którą mają gangsterzy na kontrolowanych przez siebie terenach. Wysyłają oni prostą wiadomość: „Rząd nie jest wam potrzebny, macie przecież nas. Róbcie, co każemy, a nikomu nie stanie się krzywda". Z jednej strony, boją się o własne zdrowie, dlatego reperkusje dla łamiących zasady kwarantanny są tak brutalne. Z drugiej, jest to okazja do zyskania zaufania lokalnych społeczności i zacieśnienia więzów pomiędzy mieszkańcami a organizacją przestępczą. Pozwoli to na poszerzanie stref wpływów, zapewni nowych rekrutów, chcących spłacić „dług wdzięczności" zaciągnięty w czasie pandemii. To z kolei pozwoli na dalszą nielegalną działalność: produkcję i handel narkotykami, przemyt broni i ludzi, wydobywanie minerałów i wycinkę egzotycznego drewna.

W Meksyku żołnierze Kartelu z Zatoki roznoszą paczki z żywnością sygnowane logo swojej organizacji.

Kolonizacja umysłów

Największym zagrożeniem jest jednak zaszczepienie w społeczeństwie poglądu, że mafia może być realną alternatywą dla demokratycznie wybieranej władzy centralnej. Przy ogromie problemów związanych z wdrażaniem kwarantanny, zamykaniem granic i wygaszaniem całej państwowej ekonomii losy poszczególnych mieszkańców kraju schodzą na dalszy plan. Sprawia to, że zwłaszcza najbiedniejsi czują się pominięci przez system, który miał ich chronić. Mafijni żołnierze – mordercy, przemytnicy narkotyków i handlarze ludźmi – przynoszący tak potrzebne jedzenie i środki czystości, są witani kwiatami, okrzykami radości i łzami szczęścia.

Podczas gdy rządy zajęte są próbą opanowania sytuacji w skali makro, władza na poziomie lokalnym, tam, gdzie umożliwiła to nieobecność legalnej administracji, została przejęta przez mafie. Gangi są stałym elementem południowoamerykańskiego pejzażu biednych dzielnic miast czy wsi. Obecne działania mogą prowadzić wyłącznie grupy, które od dawna istnieją w tamtej przestrzeni, mają realne wpływy i kontrolę. Stanowią one integralną część lokalnych społeczności, dlatego egzekwowanie przestrzegania kwarantanny czy zapobieganie spekulacjom cenowym ma również na celu ochronę środowiska, w którym na co dzień operują. Z jednej strony, bezwzględnie wykorzystują więc tragiczną sytuację do rozszerzania swojego władztwa i pomnażania nielegalnych wpływów, z drugiej zaś, ich zdecydowana reakcja na kryzys oraz pomoc najbardziej potrzebującym przyczyniają się do ratowania tysięcy Latynosów z nizin społecznych, którzy nie mogą liczyć na rządowe wsparcie.

Świadomość, że w czasie kryzysu z pomocą przychodzi mafia, a nie przedstawiciele rządu, może mieć poważne konsekwencje w nadchodzących latach. „Kolonizowanie umysłów" w tej formie może spowodować, że wojna z przestępczością, praktycznie niemożliwa bez współpracy ze strony lokalnych społeczności, okaże się trudna jak nigdy wcześniej. ■

W najnowszym numerze „NIE": Albo premier Morawiecki nas zaszczepi, albo straci władzę.

eprasa.pl 874ec55186

Polski trójkąt

Państwo, Kościół i NSZZ Solidarność w latach 1980-1981

Lech Mażewski

Po październiku 1956 r. dualizm państwo-Kościół ukształtował się jako podstawa rządzenia Polską. Oczywiście należy pamiętać o jego mocno konfliktowym charakterze w okresie Wielkiej Nowenny Chrztu Polski (1957-1965) i w trakcie samych obchodów milenijnych (1966-1967), ale od momentu objęcia stanowiska I sekretarza KC PZPR przez Edwarda Gierka pod koniec grudnia 1970 r. dualizm ten funkcjonował w znacznie mniej konfliktowy sposób. W wyniku strajków sierpniowo-wrześniowych 1980 r. pojawił się nowy czynnik w tym układzie, a mianowicie Niezależny Samorządny Związek Zawodowy Solidarność. Okoliczności powstania, funkcjonowania i upadku trójkąta państwo-Kościół-Solidarność stanowią dobrą lekcję uprawiania polskiej polityki i dlatego warto poddać je choćby skrótowej analizie.

Sierpniowa homilia

Słynna homilia prymasa Stefana Wyszyńskiego z 26 sierpnia 1980 r. była ważna nie tyle dla powstania trójkąta państwo-Kościół-nowy ruch związkowy, ile dla jego praktycznego funkcjonowania, gdyż w niej w sposób generalny zostały określone zasady, jakimi będzie kierować się Kościół w nowej sytuacji.

W wygłoszonej wówczas homilii prymas zarzucił rządzącym głównie „propagowaną ateizację, która poderwała więź i siłę kulturalną milenijnego narodu. Ani to było potrzebne, ani użyteczne, ani też łączyło się z doktryną, w imię której przebudowywano ustrój społeczno-gospodarczy". Strajkującym zaś powiedział, że „żądania mogą być słuszne i na ogół są słuszne, ale nigdy nie jest tak, aby mogły być spełnione od razu, dziś. Ich wykonanie musi być rozłożone na raty". I dodał: „Musimy mieć roztropność kierowniczą". Na koniec postulował: „Brońmy się przez wypełnianie swoich obowiązków. Gdy je wypełnimy, będziemy mieli tym większy tytuł do postulowania naszych praw".

Kardynał postąpił tu zgodnie z zasadami swojej stałej polityki: stabilizacji i opozycji. Nigdy nie odmówił rządzącym wsparcia, a szczególnie widoczne to było w sytuacjach kryzysowych. Wyszyński rozumiał bowiem, że najpierw musi nastąpić stabilizacja sytuacji w Polsce i wokół Polski, a dopiero potem można podejmować działania rewindykacyjne wobec rządzących. Kilka miesięcy później prymas mówił o swojej sierpniowej homilii, że „jednym się wydawało, że za mało prymas mówi »pod rząd«, innym znów, że za mało mówi »pod stoczniowców«. Prymas nie mówi ani pod rząd, ani pod stoczniowców, tylko do rozumnych dzieci narodu. Narodowi na tym etapie wystarczyło spokojnie, bez złudzeń powiedzieć tylko tyle".

> Kard. Wyszyński rozumiał, że najpierw musi nastąpić stabilizacja, a dopiero potem można podejmować działania rewindykacyjne wobec rządzących.

W punkcie wyjścia Kościół zatem stara się zająć pozycję mediatora między władzą a nowym ruchem związkowym, od początku próbując powściągać możliwy radykalizm ruchu zrodzonego w wyniku strajków z lata 1980 r. Najważniejsze są bowiem dobro narodu i stan realnie istniejącego państwa polskiego, które powinno ulegać ewolucyjnym przemianom, stając się z czasem państwem narodu. Te przede wszystkim wartości należy chronić. To ma być celem działań nie tylko władzy, ale również nowego ruchu związkowego. Zadaniem zaś Kościoła byłoby sprzyjanie, aby sytuacja w Polsce rozwijała się w takim właśnie kierunku.

Zawodowo-społeczna misja Solidarności

Zdaniem prymasa Wyszyńskiego celem NSZZ Solidarność ma być realizacja zawodowo-społecznej misji. W słowie wygłoszonym 10 listopada 1980 r. do przedstawicieli związku kardynał określił, na czym owa misja ma polegać: „Chociaż mielibyście różne pokusy natury politycznej, pamiętajcie, że pierwszym waszym celem jest realizacja zadań społeczno-zawodowych: obrona środowiska pracy, warunków higieny i bezpieczeństwa pracy, przestrzegania kodeksu pracy, ustawodawstwa społecznego. Obrona człowieka pracującego – to jest wasze najważniejsze zadanie".

W czasie konfliktu bydgoskiego 28 marca 1981 r. prymas przypominał przedstawicielom Krajowej Komisji Porozumiewawczej NSZZ Solidarność, aby podejmując decyzję o wybuchu strajku generalnego, nie zagubić zawodowo-społecznej misji ruchu związkowego. 2 kwietnia 1981 r. – w jednym z ostatnich swoich wystąpień, będąc u kresu ziemskiej wędrówki – Wyszyński mówił do związkowców z Solidarności wiejskiej: „Przyjdzie czas, wpierw czy później, że nie tylko postulaty społeczno-zawodowe, ale i inne będą na pewno osiągnięte przez potężny ruch Solidarności przemysłowej i Solidarności związków zawodowych indywidualnych rolników". Prymas zatem wcale nie chciał ograniczać działalności obu nowych związków zawodowych do realizacji ich misji zawodowo-społecznej. Uważał jednak, że w ówczesnej sytuacji realizacja

eprasa.pl 874ec55186

7 września 1980 r. delegacja NSZZ Solidarność z Lechem Wałesą została przyjęta w Warszawie przez prymasa Stefana Wyszyńskiego.

szerszych celów politycznych była nierealna, a co najwyżej możliwe byłoby to do osiągnięcia *step by step.*

Koncepcja zawodowo-społecznej misji ruchu związkowego nie miała większego wpływu na politykę Solidarności. Trafnie zauważał Mieczysław F. Rakowski, że Lech Wałęsa z kolegami „słowa prymasa przyjmowali z uwagą, a może i szacunkiem, ale gdy tylko wychodzili z posłuchania, górę brał duch konfrontacji". Podobnie sądził gen. Wojciech Jaruzelski: „Kościół był bowiem chętnie słuchany, kiedy sprzyjał działaniom skierowanym przeciwko władzy. Wszędzie tam, gdzie starał się powstrzymywać, mitygować – jego możliwości były na ogół ograniczone".

Z pewnością realizacja wskazań kardynała nie tylko uchroniłaby Polskę przed stanem wojennym, ale i pozwoliła dotrwać Solidarności do czasu pojawienia się Michaiła Gorbaczowa jako sekretarza generalnego KC KPZR.

Na marginesie kryzysu bydgoskiego

Na posiedzeniu Biura Politycznego KC PZPR 8 lutego 1981 r. Stanisław Kania zrelacjonował rozmowę z prymasem, odbytą poprzedniego dnia. Według relacji I sekretarza, dla Wyszyńskiego istotne było przekonanie, że Polska potrzebuje silnej władzy – nawet gdyby mieli ją sprawować przywódcy PZPR. W trakcie kryzysu bydgoskiego kardynał sformułował dalsze zasady funkcjonowania trójkąta państwo-Kościół-NSZZ Solidarność. Najpierw 26 marca 1981 r. w rozmowie z gen. Wojciechem Jaruzelskim odniósł się do międzynarodowego położenia Polski. Według relacji generała, która nigdy nie została zdezawuowana przez czynniki kościelne, miał powiedzieć: „Człowiek, który stoi między dwiema ścianami, nie może się jednocześnie opierać o dwie ściany. Może oprzeć się tylko o jedną ścianę. Polska znajduje się między ścianą germańską i słowiańską (zaznaczam: słowiańską, nie powiedział radziecką czy rosyjską, słowiańską). Ja uważam, że Polska powinna opierać się o ścianę słowiańską". Dwa dni później prymas miał chyba najważniejsze swoje wystąpienie do działaczy Solidarności, którzy przybyli do niego z Wałęsą na czele. Za trzy dni miał się rozpocząć okupacyjny strajk generalny. Groźba kolejnej klęski powstańczej wisiała nad Polską. Prymas mówił, że „słuszne wydaje się rozłożenie waszych zadań »na raty«. (...) Ale na razie najpilniejsza sprawa jest ta, abyście, panowie, chcąc wiele, nie stracili tego, co macie dziś". I pouczał: „To nie jest oczywiście największa cnota: męstwo. Największą cnotą jest miłość, a także roztropność i rozwaga". Dlatego wzywał do rezygnacji z planowanego strajku generalnego, „który tak łatwo jest zacząć, ale skończyć bardzo trudno".

Realizacja wskazań kard. Wyszyńskiego nie tylko uchroniłaby Polskę przed stanem wojennym, ale i pozwoliłaby dotrwać Solidarności do czasów Gorbaczowa.

Ten polityczny realizm w myśleniu o państwie i sposobie uprawiania polityki powinien wyznaczać stosunki w trójkącie państwo-Kościół-Solidarność, ale u związkowych działaczy wyraźnie widoczny był ▸

FOT. WOJTEK ŁASKI/EAST NEWS

eprasa.pl 874ec55186

jego deficyt. Być może tak musiało być, skoro większość z nich była ludźmi nowymi w działalności publicznej, bez żadnego doświadczenia w tych sprawach. Strajki sierpniowo-wrześniowe 1980 r. nauczyły ich jedynie, że władza pod wpływem nacisku ustępuje, nie dały natomiast rozeznania w sytuacji wewnętrznej Polski i tylko słabe zrozumienie położenia międzynarodowego PRL. Przebieg konfliktu bydgoskiego nie sprawił, że wśród działaczy związkowych przestało triumfować myślenie, że chcieć to móc, czemu przeciwstawiał się kardynał.

Co mógł zrobić Kościół

Alternatywą dla konieczności wprowadzenia stanu wojennego, a tym samym kontynuacji istnienia trójkąta państwo-Kościół-NSZZ Solidarność, było zawarcie pod koniec 1981 r. porozumienia, które doprowadziłoby do pewnej instytucjonalizacji funkcjonowania związku w ramach struktur państwowych, co wyraźnie wówczas proponował gen. Jaruzelski. Na niejasne stanowisko Solidarności w tej sprawie wpływ mógł mieć Kościół – podobnie jak to uczynił Wyszyński w trakcie kryzysu bydgoskiego. Przed takim zadaniem stanął nowy prymas Józef Glemp. Na odbytej w dniach 24-26 listopada 1981 r. Konferencji Plenarnej Episkopatu Polski biskupi jedynie wezwali ponownie do budowy porozumienia narodowego, bez formułowania wprost oczekiwania co do uczestnictwa w tym przedsięwzięciu przedstawicieli władz NSZZ Solidarność.

Kilka lat później Andrzej Micewski pisał: „Kościół odmówiwszy rządowi porozumienia tylko na jego warunkach, próbował oddziaływać na Solidarność". Z żalem jednak zaraz dodawał: „Być może pewnym błędem było skoncentrowanie wysiłków Kościoła na osobie Lecha Wałęsy. Można także wyobrazić sobie, że sytuacja dojrzała już nie tylko do rozmów i apeli, ale do zajęcia twardego, publicznego stanowiska, które uświadomiłoby kierownictwu związku całą grozę sytuacji". Rzeczywiście, widać, że w tym momencie zabrakło Wyszyńskiego, który być może nie zawahałby się publicznie wezwać działaczy Solidarności do bardziej konstruktywnych zachowań. Nowy prymas albo nie rozumiał powagi sytuacji, albo mając świadomość słabości swojej pozycji w roli przywódcy Kościoła, nie zdecydował się na publiczną reakcję. Wystąpienia na kształt homilii z 26 sierpnia 1980 r. nie doczekaliśmy się.

Mimo to prymas Glemp na początku grudnia 1981 r. podjął energiczne zabiegi w celu zapobieżenia nadciągającej konfrontacji. 5, 7 i 9 grudnia spotkał się z Wałęsą i grupą doradców. Miał im wówczas powiedzieć: „1/ Uprawiając taką politykę, Panowie, przekroczyliście mandat dany wam przez świat pracy. Jeśli chcecie prowadzić czystą grę polityczną – utwórzcie komitet przy Zarządzie Solidarności, a nie wciągajcie do gry całego związku. 2/ Nie liczycie się z psychologią narodu. 3/ Nie uwzględniacie (chyba świadomie) analizy sytuacji międzynarodowej i gospodarczej". Micewski dodał jeszcze, że prymas tak skomentował później swoje zabiegi mające na celu wywarcie presji na działaczy Solidarności: „Nic to nie pomogło. Przygotowywano manifestacje uliczne i wiece. Rząd i centrum partii śledziły te ruchy z niepokojem i troską i przygotowywały warianty rozwiązania nieuniknionej konfrontacji".

Nie może dziwić, że u progu proklamacji stanu wojennego następca prymasa Wyszyńskiego rozumiał, że dalsze istnienie trójkąta państwo-Kościół-Solidarność właściwie wyczerpało swoje możliwości. Ponadto nie ulegało dla niego wątpliwości, że celem działań władz nie byłoby doprowadzenie do rekomunizacji Polski, ale chodziłoby o obronę państwa przed postępującą anarchią, co mogło również zapobiec groźbie radzieckiej interwencji zbrojnej.

Proklamacja stanu wojennego

Pod koniec 1981 r. bezpośrednim przedmiotem narastającego ponownie konfliktu stawał się udział działaczy i doradców związkowych w sprawowaniu władzy publicznej na wszystkich szczeblach państwa, a nie realizacja jakiejkolwiek misji zawodowo-społecznej NSZZ Solidarność. Inaczej przecież nie można rozumieć formułowanego wówczas postulatu przeprowadzenia demokratycznych wyborów – nie tylko do rad narodowych stopnia podstawowego, ale i do Sejmu. A to oznaczało sytuację prowadzącą do nieuniknionego paraliżu w funkcjonowaniu PRL – bez możliwości zastąpienia jej inną formą polskiej państwowości. Przebieg obrad Biura Politycznego KC KPZR z początku grudnia 1981 r. wcale nie świadczyłby o zgodzie Moskwy na zmianę kształtu ustroju Polski, tym bardziej że odnośne dokumenty znamy tylko w bardzo wybiórczej postaci, starannie dobrane do udostępnienia przez władze Rosji.

W nocy z 12 na 13 grudnia 1981 r. doszło do proklamacji stanu wojennego. 13 grudnia o godz. 9 prymas mówił do młodzieży akademickiej: „Stan, który przeżywamy, (...) domaga się mądrości. (...) Tu musi pracować głowa, rozum, według jego przeznaczenia, a nie wolno popełniać czynów szaleńczych, bo czyn szaleńczy może oznaczać zawsze przegraną". Wieczorem tego dnia wypowiedział w Warszawie często cytowane słowa: „Pozostaje wszakże sprawa najważniejsza: ratowanie życia i obrona przed rozlewem krwi. (...) To nic, że ktoś może Kościół oskarżać o tchórzostwo, o rozładowywanie radykalnych nastrojów. (...) Dlatego sam będę wzywał o rozsądek, nawet za cenę narażania się na zniewagi, i będę prosił, nawet gdybym miał boso iść i na kolanach błagać: nie podejmujcie walki Polak przeciwko Polakowi". 17 grudnia prymas napisał zaś do wiernych: „Tylko opanowanie siebie i wyciszenie gniewów może dziś ocalić Naród i działający w tym narodzie Kościół". Jest oczywiste, że na gruncie chrześcijaństwa zachowanie ziemskiego życia nie jest sprawą najważniejszą i jeśli zachodzi taka potrzeba, należy je poświęcić za większe odeń wartości, choćby za wiarę. Ale wtedy nie o to szło. Mieliśmy do

Prymas Glemp albo nie rozumiał powagi sytuacji, albo mając świadomość słabości swojej pozycji, nie zdecydował się na publiczną reakcję.

eprasa.pl 874ec55186

czynienia z nadzwyczajną sytuacją, do zażegnania której użyto środków pozostających w dyspozycji władz PRL. Zachowanie prymasa Glempa jest więc w pełni zrozumiałe.

W dniach 22-23 grudnia 1981 r. doszło do pierwszej po proklamacji stanu wojennego wizyty przedstawiciela episkopatu w Watykanie. W czasie audiencji sekretarz episkopatu bp Bronisław Dąbrowski przekazał Janowi Pawłowi II stanowisko Kościoła i prymasa Glempa wobec nowej sytuacji w Polsce. Rozmówca papieża zapisał w sporządzonej przez siebie notatce: „Solidarność wbrew ostrzeżeniom Kościoła eskalowała wystąpienia i dążenie do władzy. Odmówiła wejścia do Rady Porozumienia Narodowego, mimo że Wałęsa 4 listopada 1981 r. zgodził się na wejście razem z Księdzem Prymasem, u premiera. Po spotkaniu z premierem Komisja Krajowa zdyskwalifikowała Wałęsę i oświadczyła, że Solidarność nie wejdzie do Rady Porozumienia (...). Zebranie Mazowsza w Politechnice 5-6 grudnia i powzięte uchwały zaalarmowały władze, szczególnie wyznaczenie manifestacji ulicznej na 17 grudnia 1981 r. Nasze rozmowy na wszystkich szczeblach Solidarności nie dały wyniku (szczególnie w dniu 9 grudnia spotkanie u ks. Prymasa). Komisja Krajowa w Gdańsku 11-12 grudnia 1981. Opinia Wałęsy – zbiorowa halucynacja, wielu uległo prowokacji. Opinia niektórych doradców o przebiegu obrad była podobna".

Rzeczywiście, sekretarz episkopatu w trakcie spotkania z Janem Pawłem II wiernie przedstawił przebieg wydarzeń z listopada-grudnia 1981 r. i dobrze oddał stanowisko biskupów. Kościół uznał, że dalsze proszenie i strofowanie działaczy solidarnościowych nic nie da, a Wałęsa nie jest w stanie zapanować nad związkowym radykalizmem, sam doń dołączając. Upadkowi trójkąta państwo-Kościół-NSZZ Solidarność towarzyszyłby powrót do przedsierpniowego dualizmu państwo-Kościół. Gdyby jednak stan wojenny nie doprowadził do uspokojenia sytuacji wewnętrznej, zapewne doszłoby do interwencji militarnej ZSRR, a wtedy nie wiadomo, w jaki sposób sprawowana byłaby władza w PRL. Jeśli zaś chodzi o Zachód, to w gruncie rzeczy przyjąłby on radziecką interwencję ze zrozumieniem – mimo werbalnych protestów – bo wreszcie w Warszawie zapanowałby porządek. Skoro sami Polacy nie byli w stanie tego zrobić – musiał ktoś ich wyręczyć.

W okresie od zakończenia strajków sierpniowo-wrześniowych 1980 r. do proklamacji stanu wojennego w nocy z 12 na 13 grudnia 1981 r. mieliśmy w Polsce do czynienia z trójkątem państwo-Kościół-NSZZ Solidarność. Prymas Wyszyński patrzył na to przede wszystkim z punktu widzenia interesu narodu i realnie istniejącego państwa, podkreślając w tym kontekście misję zawodowo-społeczną nowego ruchu związkowego. Świadczy o tym zarówno sierpniowa homilia, jak i jego zachowanie w czasie kryzysu bydgoskiego w marcu 1981 r. Linię tę starał się kontynuować jego następca, co szczególnie widoczne było u progu proklamacji stanu wojennego, ale tym razem nie przyniosło to pozytywnego rezultatu. Doszło do rozstrzygającego starcia, czego udało się uniknąć trzy kwartały wcześniej. Jak po raz kolejny widać, dwa razy do tej samej rzeki się nie wchodzi.

W noc grudniową mieliśmy do czynienia z narastającym konfliktem, generowanym głównie przez działania kierownictwa NSZZ Solidarność, nad czym nie panował Wałęsa, a do zażegnania tego konfliktu użyto środków z zakresu stanu nadzwyczajnego. W takim momencie rzeczywiście należy zabiegać, aby w trakcie przywracania normalnego biegu spraw w państwie użyto siły w sposób proporcjonalny do istniejącego zagrożenia, starając się, aby było jak najmniej ofiar. To wszystko razem nie tylko tłumaczy zachowanie prymasa Glempa w momencie ogłoszenia stanu wojennego, ale też stanowiło dobry fundament do dalszego funkcjonowania dualizmu państwo-Kościół. Skoro zabrakło innych podmiotów do rządzenia Polską, to w taki właśnie sposób rzeczy się miały aż do upadku PRL pod koniec 1989 r.

W grudniu 1981 r. narastał konflikt, generowany głównie przez kierownictwo NSZZ Solidarność, nad czym nie panował Wałęsa.

Dr hab. Lech Mażewski jest ustrojoznawcą. Ostatnio opublikował monografię „Prymas Stefan Kardynał Wyszyński wobec Polski po 1944/1945 r. Elementy analizy ustrojoznawczej i geopolitycznej", Oficyna Wydawnicza ASPRA-JR, Warszawa 2020

KSIĄŻKA NA PREZENT

O SOLIDARNOŚCI, KTÓRA DROGO NAS KOSZTOWAŁA

Wpłat prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
W cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Pocztą Polską.
Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +10,00 zł,
paczka w RUCH-u +6,99 zł lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł.

53 zł

www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 874ec55186

Jan Adamski

Ustawiony kryzys

Urho Kekkonen w dużej mierze zawdzięczał ponowny wybór na prezydenta wsparciu radzieckiego sąsiada

Działo się to zaledwie kilka miesięcy po wzniesieniu muru berlińskiego i – ku zdziwieniu obserwatorów – dotyczyło relacji fińsko-radzieckich, zdecydowanie niebędących głównym teatrem zmagań zimnowojennych. Stosunki między obydwoma krajami regulował traktat o przyjaźni, współpracy i wzajemnej pomocy z roku 1948. Stanowił on podstawę koncepcji fińskiej polityki zagranicznej, polegającej na neutralności oraz utrzymywaniu poprawnych relacji z ZSRR. Polityka ta uzyskała potoczną nazwę „linii Paasikiviego" od nazwiska prezydenta republiki Juhy Paasikiviego. Był on architektem porozumienia pokojowego kończącego prowadzoną w latach 1939-1940 i 1941-1944, w niczym przez Finów niesprowokowaną wojnę z ZSRR. W 1956 r. urząd prezydenta republiki objął dotychczasowy minister spraw zagranicznych, Urho Kalevi Kekkonen. Z wykształcenia prawnik z doświadczeniem pracy w wywiadzie i policji pełnił w czasie wojny i w okresie powojennym wiele odpowiedzialnych funkcji w aparacie państwowym. W kręgach polityków radzieckich, jak pisze w książce „Historia Finlandii" Barbara Szordykowska, uznawany był za polityka mądrego i rozsądnego. Kolejne lata rządów nie umocniły jednak jego pozycji, reelekcja w zbliżających się w 1962 r. wyborach stanęła zaś pod znakiem zapytania. Na fińskiej scenie politycznej doszło nawet do aliansu politycznego między partią centrum i socjaldemokracją, którego celem było odsunięcie Kekkonena od władzy. Układ ten nazwany został związkiem Honka (od nazwiska wspólnego kontrkandydata w nadchodzących wyborach prezydenckich Olaviego Honki).

Kekkonen wybrał plażę

W takiej sytuacji doszło do wydarzeń określanych później mianem „kryzysu noty". Ich początek datuje się na 30 października 1961 r., kiedy minister spraw zagranicznych ZSRR Andriej Gromyko wręczył wezwanemu do MSZ ambasadorowi Finlandii notę, w której rząd ZSRR wyraził głębokie zaniepokojenie narastającą aktywnością militarną Republiki Federalnej Niemiec na Bałtyku. Jednocześnie powołując się na traktat o przyjaźni i pomocy wzajemnej, strona radziecka wezwała do pilnych konsultacji wojskowych, których celem byłoby podjęcie działań wzmacniających zdolności obronne granic obu państw wobec agresywnych działań RFN i jej sojuszników. O fakcie doręczenia noty oraz jej treści prezydent Kekkonen został poinformowany podczas podróży do USA. Według relacji członka fińskiej delegacji wiadomość dotarła do Kekkonena na Hawajach, gdy wybierał się na plażę.

Prezydent jednak planów nie zmienił i do kraju powrócił zgodnie z harmonogramem 4 listopada. Następnego dnia wygłosił przemówienie radiowo-telewizyjne, w którym podkreślił nienaruszalność dotychczasowej polityki neutralności Finlandii, odrzucając jednocześnie sugestie podjęcia konsultacji wojskowych jako nieuzasadnione. Kwestia tych konsultacji przyjmowana była zarówno przez polityków, jak i opinię publiczną Finlandii ze szczególnym niepokojem. Obawiano się bowiem podjęcia konkretnych działań militarnych, np. dyslokacji wojsk radzieckich na terytorium Finlandii.

Dzień później doszło do spotkania ministra spraw zagranicznych Finlandii Ahti Karjalajnena z ambasadorem ZSRR w Helsinkach, podczas którego strona fińska zaproponowała przedyskutowanie przez szefów dyplomacji obu państw politycznego aspektu noty, z pominięciem jej treści dotyczących uzgodnień o charakterze militarnym. Podjęte 11 listopada rozmowy ministrów spraw zagranicznych nie przyczyniły się jednak zmniejszenia napięcia. Przeciwnie, towarzyszące im rozpoczęcie wspólnych duńsko-zachodnioniemieckich manewrów na Bałtyku doprowadziło do jego eskalacji. Manewry te odebrane zostały przez ZSRR jako działanie agresywne, grożące wybuchem konfliktu zbrojnego. 17 listopada strona radziecka zażyczyła sobie, by w ciągu tygodnia w Nowosybirsku doszło do spotkania między Kekkonenem a Nikitą Chruszczowem.

Wiwatujące tłumy

W Finlandii informacje o rozwoju wydarzeń powodowały wręcz histerię wojenną. W atmosferze zagrożenia bytu narodowego Kekkonen 22 listopada udał się na negocjacje do Nowosybirska. W ich trakcie 25 listopada Olavi Honka oficjalnie zrezygnował z ubiegania się o fotel prezydencki. Podkreślono, że była to w pełni samodzielna decyzja i nie stanowiła warunku odstąpienia przez ZSRR od żądania przeprowadzenia konsultacji wojskowych.

Końcowym wynikiem nowosybirskich pertraktacji było ustalenie, że odpowiedzialność za monitorowanie sytuacji militarnej w rejonie północnego Bałtyku spoczywać będzie na stronie fińskiej. Konkluzji tej towarzyszyło odstąpienie przez Związek Radziecki od żądania konsultacji wojskowych.

Podczas jednego ze spotkań z Kekkonenm z Chruszczow miał powiedzieć: „Tak długo, jak Finlandia znajduje się pod pańskim kierownictwem, ufamy Finlandii z zamkniętymi oczami". Następnego dnia, po triumfalnym powrocie do kraju (powitanie z udziałem orkiestry wojskowej i wiwatujących tłumów), w wystąpieniu radiowo-telewizyjnym Kekkonen poinformował o wynikach rozmów, akcentując pełne zaufanie strony

Strona radziecka nie zamierzała być biernym obserwatorem niekorzystnego dla siebie rozwoju sytuacji wewnętrznej w Finlandii.

eprasa.pl 874ec55186

Wizyta Urho Kekkonena (nz. w środku) w ZSRR, 1 stycznia 1961 r.

radzieckiej dla zadeklarowanej woli kontynuacji dobrosąsiedzkich stosunków z ZSRR. Jak nietrudno się domyślić, opromieniony chwałą zbawcy narodu Urho Kekkonen wygrał zarówno zbliżające się, jak i kolejne wybory prezydenckie. W tym momencie należałoby napisać: wszyscy żyli długo i szczęśliwie. I tak było! Tyle że poważne wątpliwości budzi istota wydarzeń. Czy faktycznie istniało zagrożenie wywołania kryzysu politycznego, czy też była to polityczna ustawka? Odpowiedź na to pytanie dziś, w świetle dostępnych dokumentów i wspomnień ich uczestników, raczej nie budzi wątpliwości.

A sprawy miały się tak: strona radziecka nie zamierzała być biernym obserwatorem niekorzystnego dla siebie rozwoju sytuacji wewnętrznej w Finlandii. Należało zatem podjąć działania, które umocniłyby w oczach fińskiej opinii publicznej wizerunek Kekkonena jako polityka, który w roli prezydenta będzie gwarantem pokoju z jednej strony, z drugiej zaś niezależności od ZSRR i dobrych z nim relacji. Celowi temu miało służyć wywołanie wrażenia destabilizacji stosunków polityczno-militarnych między Finlandią a ZSRR, której zażegnanie będzie zasługą Kekkonena. Pierwszym i zasadniczym krokiem w tym kierunku było podjęcie decyzji o wystosowaniu do rządu Finlandii noty, której intencja aż nadto jasno została wyrażona w liście ministra spraw zagranicznych ZSRR Andrieja Gromyki do KC KPZR z 16 października. Wyjaśniano w nim, że podjęte wobec Finlandii działania postawią w trudnej sytuacji zarówno wewnętrznych przeciwników polityki zagranicznej prezydenta Kekkonena, jak i zagraniczne ośrodki polityczne, dążące do odrodzenia niemieckiego militaryzmu i uniemożliwiające pokojowe rozstrzygnięcie kwestii niemieckiej (tj. zjednoczenia Niemiec na warunkach radzieckich).

Trudne sąsiedztwo

Ważna jest tu też osoba samego Kekkonena, którego nieformalne relacje czy wręcz zażyłe stosunki z urzędującymi w Helsinkach dyplomatami dawały stronie radzieckiej gwarancję kontrolowania zarówno polityki wewnętrznej jak i zagranicznej Finlandii. Wieloletni rezydent KGB w Helsinkach Viktor Vladimirow w opublikowanych w 1993 r. wspomnieniach nie pozostawia w tej sprawie żadnych wątpliwości.

Także treść wspomnianego traktatu o przyjaźni, współpracy i pomocy wzajemnej oraz fakt nieprzyjęcia przez Finlandię amerykańskiego planu powojennej odbudowy Europy (planu Marshalla) nie pozostawiają złudzeń co do faktycznego uzależnienia Finlandii od wielkiego sąsiada.

Dla większości społeczeństwa i partii politycznych taka forma „relacji dobrosąsiedzkich" była raczej trudna do zaakceptowania. Próbę ich rozluźnienia podjął w 1958 r. rząd premiera Karla-Augusta Fagerholma. Już wtedy polityka ta spotkała się ze stanowczą reakcją strony radzieckiej. Zwycięstwo w wyborach prezydenckich w 1962 r. Olaviego Honki w oczach sąsiada Finlandii oznaczało kolejną próbę wyrwania tego kraju ze sfery wpływów radzieckich. Na taki obrót spraw przyzwolenia być nie mogło. Teza ta znajduje potwierdzenie w źródłach naukowych, wśród których najciekawszym wydaje się praca doktorska Tapio Tervamaki „Pomoc Kekkonenowi czy produkt uboczny polityki międzynarodowej – fiński obraz kryzysu noty", obroniona na uniwersytecie w Turku w 2014 r. W świetle wyników tej pracy zdecydowaną przewagę zyskuje pogląd, że zasadniczym motywem działania strony radzieckiej nie było zagrożenie ze strony RFN, ale chęć wsparcia Urho Kekkonena w wysiłkach na rzecz reelekcji na urząd prezydenta republiki. Zresztą sam zainteresowany w dziennikach (choć nigdy w wypowiedzi publicznej) tezę tę potwierdził!

W konsekwencji tych wydarzeń Kekkonen skutecznie ugruntował na długie lata swoją niezwykle silną, z czasem wręcz dominującą pozycję w życiu politycznym Finlandii. Innymi słowy, ZSRR podtrzymał człowieka, któremu mógł ufać, a ów człowiek zyskał parasol ochronny.

Zatem dla współcześnie żyjących Finów sprawa jest raczej oczywista. Pełniący przez kilka kadencji urząd prezydenta Urho Kekkonen w dużej mierze zawdzięczał swój wybór wsparciu radzieckiego sąsiada. Jednak nie zaprzeczając kłopotliwym faktom, nikt w Finlandii nie podważa niewątpliwych zasług Kekkonena. Nikt nie obala pomników, nikt nie uwłacza jego pamięci. ■

Podczas spotkania z Kekkonenm z Chruszczow miał powiedzieć: „Tak długo, jak Finlandia znajduje się pod pańskim kierownictwem, ufamy Finlandii z zamkniętymi oczami".

FOT. SPUTNIK/EAST NEWS

eprasa.pl 874ec55186

Edward Karolczuk

Aborcja i polityka

Kapitał występuje za zaostrzeniem prawa aborcyjnego w imię zwiększenia korzyści ekonomicznych, a nie „prawa do życia”

Kwestia aborcji w Polsce postrzegana jest głównie jako problem światopoglądowy, ideologiczny. Nie negując tego aspektu, warto zwrócić uwagę na inne, znacznie głębsze usytuowanie tego problemu w życiu społecznym, a mianowicie na aspekt polityczny i ekonomiczny.

Od dziesięcioleci politycy krajów rozwiniętych straszą wyborców dwiema tezami, podszytymi myślą o walce pokoleń i nacjonalizmem:

1. Jesteśmy społeczeństwami starzejącymi się, pracujący będą stanowili mniejszość i nie zdołają wyprodukować tyle, aby utrzymać całe społeczeństwa. Dlatego emerytury muszą maleć.

2. Ponieważ społeczeństwa starzeją się i spada nawet bezwzględna liczba ludności, to napływają do nas masy obcokrajowców. W takich krajach jak Polska straszy się zatraceniem własnej kultury narodowej i religii przodków.

Na pierwsze zagrożenie jako lekarstwo zaleca się wydłużenie okresu zatrudnienia do 67. roku życia i przyśpieszenie rozpoczęcia edukacji szkolnej od 6. roku życia. Tym samym okres pracy dla mężczyzn postuluje się wydłużyć o trzy lata, a dla kobiet o osiem. Ponadto proponowane są dodatkowe prywatne fundusze ubezpieczeniowe i wyższe składki emerytalne.

By przeciwdziałać drugiemu zagrożeniu, proponuje się zezwolenie na minimalną imigrację tylko niezbędnej siły roboczej (najlepiej z własnego lub zbliżonego kręgu kulturowego) i zwiększenie przyrostu naturalnego ludności miejscowej poprzez zakazanie aborcji. W ramach tej grupy środków zaradczych mieści się również zasiłek 500+, który PiS reklamowało jako środek zwiększający przyrost naturalny. W rzeczywistości przyczynił się on jedynie do przejściowego wzrostu liczby urodzeń, po czym nastąpił spadek i odciągnięcie części kobiet z rynku pracy.

Wzrost społecznej wydajności pracy

Przy dyskusji o starzeniu się społeczeństw żaden polityk nie mówi o wzroście wydajności pracy. A wzrosła ona kilkakrotnie od lat 80. Liczba emerytów ani ich emerytury nie wzrosły w takim samym tempie. Zmalała zastępowalność płac przez emerytury z 70 do 50%. Obserwując bogacenie się kapitału, jego centralizację i koncentrację, widzimy, że bogatsi stają się jeszcze bogatsi, a biedniejsze masy jeszcze bardziej biednieją.

Co prywatny kapitał może zrobić ze zwiększonymi zyskami? Po pierwsze, może je przejeść, ale człowiek ma ograniczone możliwości, konsumuje tylko tyle, aby zamanifestować swoją odrębność i wyższość klasową, aby było to podstawą panowania w dziedzinie ideologii i moralności. Po drugie, może odłożyć na czarną godzinę, ale generalnie tego nie robi (poza niezbędnym minimum, co widać w czasie pandemii), bo celem tzw. przedsiębiorcy jest reprodukcja kapitału w skali rozszerzonej, aby przeciwdziałać spadkowej stopie zysków. Po trzecie, naturą kapitału jest dokonywanie inwestycji z zamiarem zwiększenia zysków. Ale poszczególni przedsiębiorcy lub nawet ich grupa nigdy nie są do końca zdolni przewidzieć skalę niezbędnych inwestycji. Dokonywanie większych niż potrzebne inwestycji i nadmiar produkcji są regułą w funkcjonowaniu kapitału prywatnego. I tu pojawił się problem – zaczęło brakować ludzi do pracy i ubywać wiernych w kościołach. Po czwarte, kapitał może część oszczędności lub nawet środków z konsumpcji skierować na inwestycje, a w razie spadku koniunktury środki z planowanych inwestycji może przeznaczyć na rezerwy lub konsumpcję.

W ostatnich dziesięcioleciach pojawiły się ogromne możliwości inwestycyjne. Zaczęto przejmować środki z funduszy spożycia zbiorowego, oszczędności ludzi pracy, kapitał bankowy stworzył dodatkowe produkty, a więc dodatkowe możliwości zaciągania kredytów inwestycyjnych.

Kapitał fikcyjny

Akcje, obligacje i inne papiery wartościowe stanowią według Marksa wtórniki rzeczywistego kapitału, kapitał fikcyjny. Stwarza on szerokie możliwości inwestycyjne, ułatwia obrót kapitałem rzeczywistym, a to powoduje zapotrzebowanie na nową siłę roboczą. Wzrost liczby ludności pozwala przyśpieszyć obrót kapitału i zwiększyć zyski. „Dlatego kapitał domaga się przyrostu ludności”, pisał Marks. Kapitał występuje zatem za zaostrzeniem prawa aborcyjnego w imię zwiększenia korzyści ekonomicznych, a nie bliżej nieokreślonej wartości „prawo do życia”.

Kapitał przemysłowy, bankowy i Kościół potrzebują ludzi.

Kapitał ciągle poszukuje nowych źródeł finansowania swoich inwestycji w drodze kredytów. Służą temu bezpośrednio kredyty inwestycyjne, a pośrednio kredyty dla ludności, aby napędzać popyt. Te nowe nieograniczone możliwości kredytowe i inwestycyjne nie zdadzą się na nic, jeśli nie będzie dostatecznej ilości siły roboczej.

Ludzi potrzebują kapitał przemysłowy, bankowy i Kościół. Kobiety i rodziny, które zdecydują się na urodzenie niepełnosprawnego dziecka, najczęściej pozostawiane są samym sobie. Ograniczoną pomoc zwykle mogą otrzymać od państwa, ale poprzez charytatywne instytucje kościelne. Istnieje więc pełna zgodność co do celów i metod działalności pomiędzy neoliberalnym (a tym bardziej takim jak pisowskie) państwem a Kościołem. Każda religia wymaga bowiem wiernych mas pracujących. Instytucje kościelne

eprasa.pl 874ec55186

utrzymywane z dotacji prywatnych, a głównie dotacji państwowych, są jednak w pełni dochodowe także dla ich patronów. Stare porzekadło mówi, że co Bóg da, to ksiądz ochrzci i… weźmie pieniądze.

Dodatkowych ludzi potrzebują również rozwijająca się prężnie sfera usług i drobni producenci. Nie przypadkiem tzw. prywatna inicjatywa z reguły wspiera inicjatywy kościelne.

Coraz szersza ingerencja państwa i Kościoła w życie prywatne, intymne pokazuje, że państwo jest podstawowym środkiem do realizacji interesów wielkiego kapitału, wielkiej finansjery, drobnego kapitału i Kościoła.

Dzięki możliwościom zdobywania nowych kredytów inwestycyjnych stworzono nowe możliwości produkcyjne. Powszechna staje się automatyzacja produkcji, coraz szerzej wykorzystuje się nowe źródła energii elektrycznej. Jednocześnie produkcja i konsumpcja są rozwinięte do tego stopnia, że stworzyły szkody ekologiczne, które zaczynają grozić istnieniu ludzkości.

Jeśli ludzkość teraz zgodzi się na wydłużenie lat pracy i skrócenie wieku emerytalnego, następne pokolenia będą zmuszane do kolejnego wydłużenia okresu pracy... w imię powstrzymywania spadkowej stopy zysku.

Głównym argumentem za wydłużeniem okresu pracy przed emeryturą jest to, że zwiększyła się długość życia, ale nie uwzględnia się faktu, że stało się tak m.in., ponieważ przez wiele lat, pomimo ograniczeń, służba zdrowia była powszechnie dostępna i bezpłatna, a leki w stosunku do cen obecnych względnie tanie. Teraz w ramach „komercjalizacji" (czyli prywatyzacji) służby zdrowia ludzie pracy ponoszą coraz większe koszty leczenia. Wydłużenie życia nastąpiło też dzięki rozwojowi przemysłu farmaceutycznego i przeciętny emeryt spożywa znaczne ilości leków zakupionych z własnej kieszeni.

Perfidne i drakońskie prawo

Sytuacja demograficzna w krajach wyżej rozwiniętych wielu gałęziom kapitału nie wydaje się rozwojowa, następuje bowiem spadek liczby miejscowej ludności. Niektóre grupy kapitału próbują ją ratować, wspierając partie nacjonalistyczne, konserwatywno-reakcyjne, które opowiadają się za „ochroną życia" i jednocześnie robią wszystko, aby utrudnić świadome planowanie macierzyństwa, oraz przeciwstawiają się edukacji seksualnej młodzieży pod hasłem walki z pornografią. Polska znalazła się wśród 32 państw, które podpisały Deklarację Konsensusu Genewskiego głoszącą m.in., że aborcja nie jest prawem człowieka.

Stare porzekadło mówi, że co Bóg da, to ksiądz ochrzci i… weźmie pieniądze.

Wszystko pod hasłem troski o zdrowie kobiety. 20 z 32 państw, które podpisały deklarację, to państwa uznawane za autorytarne, czyli zdolne do egzekwowania antyaborcyjnego prawa drogą państwowego terroru. Z krajów europejskich deklarację podpisały tylko Polska, Węgry i Białoruś. Głównym twórcą porozumienia były Stany Zjednoczone, które planują szerokie inwestycje np. w Europie Środkowo-Wschodniej. Wśród sygnatariuszy są przede wszystkim kraje afrykańskie, które zapewne mają być podstawowym źródłem taniej siły roboczej lub miejscem przyszłych wielkich inwestycji kapitałowych.

Spełniając oczekiwania części kapitału polskiego, reakcyjnej części Kościoła katolickiego i nacjonalistycznie usposobionych warstw społecznych, w Polsce wprowadzono obecnie w praktyce powszechny zakaz aborcji, co wywołało nieznaną od lat falę protestów społecznych.

Za decyzją Trybunału Konstytucyjnego kryły się polityczne kalkulacje PiS.

Za decyzją Trybunału Konstytucyjnego kryły się polityczne kalkulacje PiS na odwrócenie uwagi społeczeństwa od widocznej w czasie pandemii klęski neoliberalnej polityki ochrony zdrowia obywateli. Ekipa Kaczyńskiego postanowiła zamanifestować wobec Unii Europejskiej swoją kontrolę nad sytuacją w kraju. Wprowadzono więc drakońskie prawo drogą okrężną, kierując całe oburzenie społeczne na Trybunał Konstytucyjny i grupę posłów. W ten sposób ekipa Kaczyńskiego chciała uniknąć rozłamu wewnątrz PiS i zademonstrować swoją jedność oraz gotowość do działań „niepopularnych". Ponadto chciała położyć kres umacnianiu się bardziej konserwatywnych Konfederacji i Solidarnej Polski, które wyrastają jako konkurencja dla PiS.

Liczono także na wdzięczność Kościoła katolickiego i jego poparcie w dyscyplinowaniu społeczeństwa w perspektywie nowych (być może przyśpieszonych) wyborów, mogących być koniecznością w związku z widocznym spadkiem popularności PiS, zwłaszcza na wsi, po forsowaniu ustawy o ochronie zwierząt. Potrzebne było wstrząśnięcie społeczeństwem i odbudowanie jedności naruszonej struktury.

Uchwalenie antyaborcyjnego prawa pokazało, jak bardzo antydemokratyczną instytucją jest Trybunał Konstytucyjny, który daje rządzącym możliwość kasowania ustaw i stanowienia prawa bez Sejmu.

W mediach można było usłyszeć, że obecne protesty powinny bronić „kompromisu aborcyjnego". Tymczasem przepisy z 1993 r. nie były żadnym kompromisem z udziałem większości kobiet. Było to arbitralnie narzucone rozwiązanie, powstałe w wyniku dogadania się ówczesnych elit politycznych (również tych z SLD) z Kościołem katolickim w Polsce, które skazywało kobiety na marginalizację w życiu społecznym.

Ówczesny „kompromis aborcyjny" poparły te grupy społeczne, które uwłaszczyły się na rozgrabieniu majątku państwowego i spółdzielczego, oraz zarządy spółek skarbu pastwa, którym potrzebna była sakralizacja ich panowania i horrendalnych dochodów.

Obecnych protestów aborcyjnych nie można więc prywatyzować. Zakaz aborcji to nie tylko sprawa między państwem i kobietą. To spór pomiędzy kobietami z ich rodzinami a kapitałem, który broni się przed przewidywanym spadkiem zysków.

Edward Karolczuk jest doktorem nauk humanistycznych

eprasa.pl 874ec55186

Wyrafinowane oszustwo

Szczepionkowe manipulacje doktora Wakefielda

Brian Deer

Dr Andrew Wakefield fałszował badania i działał na szkodę pacjentów.

Czekałem na Heathrow na poranny lot do Detroit, kiedy wziąłem gazetę i rozłożyłem ją, by przeczytać mój najnowszy tekst. (…) „Lekarz od MMR manipulował danymi o autyzmie". W samą porę. Prawdopodobnie czekaliśmy za długo, ale musieliśmy mieć pewność. „Dochodzenie »Sunday Timesa« ujawniło, że lekarz, który wywołał panikę w związku ze szczepionkami MMR dla dzieci, zmieniał i fałszował wyniki swoich badań, tworząc pozory związku z autyzmem. Poufna dokumentacja medyczna i wywiady ze świadkami pozwoliły ustalić, że Andrew Wakefield manipulował danymi pacjentów, co wzbudziło obawy, że potrójna szczepionka MMR przeciwko odrze, różyczce i śwince miała związek z ich stanem".

(…) Pośliniłem palec i przewracałem strony, aż dotarłem do szóstej i siódmej: trzy tysiące słów na 16 łamach plus dwie ramki z dodatkowymi informacjami. Białymi wytłuszczonymi wersalikami na szarym pasku biegnącym przez obie strony tytuł krzyczał: „UKRYWANE DOKUMENTY POKAZUJĄ PRAWDĘ O MMR". Potem moja fotografia i lead: „Dochodzenie »Sunday Timesa« odkryło, że za trwającym od dekady strachem przed szczepieniem kryły się sfałszowane dane". Zgrabnie. (…) „Kluczowe daty kryzysu", nosiła tytuł jedna z ramek. Druga: „Jak strach doprowadził do powrotu odry".

To musiało nastąpić. (…) Miałem stos słabo zanonimizowanych akt z badania pilotażowego. Miałem opinie ekspertów (…). Wreszcie miałem protokoły przesłuchań przed sędziami, niezliczone dokumenty uzyskane na podstawie Freedom of Information Act. A dzięki nakazowi sądu czytałem dokumentację medyczną dzieci w kancelarii mojego prawnika w dniu, gdy Wakefield wycofał pozew o zniesławienie.

Część tych materiałów wciąż pozostawała utajniona. I były też luki w materiale dowodowym. (…) Z pomocą przyszedł mi jednak australijski profesor. Jego strategia ciągłej zmiany wersji przed General Medical Council, upór, że kolonoskopie wykonywano wyłącznie z troski o pacjenta, oznaczała, że jego prawnicy – i wszyscy zgromadzeni wokół ustawionych w prostokąt stołów – odświeżali raz po raz, po kilkadziesiąt razy, każdą notatkę i list ze stert kartonowych pudeł. Te sześciocentymetrowe segregatory wypchane tajną dokumentacją wertowano dużo częściej, niż tego potrzebowałem.

Wakefielda uznano za winnego m.in. prowadzenia badań bez zgody komisji etycznej lub zabezpieczeń.

Gdy usadzony przy drzwiach zapełniałem notes za notesem, słyszałem nie tylko o przypadkach, w których normalny stan przedstawiano w „Lancecie" jako chorobę zapalną jelit. Miałem dzieci, którym w tabeli przypisywano regresywny autyzm, ale w ogóle nie postawiono diagnozy autyzmu. Chłopców, u których pierwsze objawy miały się rozwinąć w ciągu paru dni, choć zgodnie z ich kartami zdrowia przez całe miesiące nic im nie dolegało. I słyszałem o pacjentach, o których lekarze martwili się jeszcze przed podaniem MMR.

Nie znalazłem ani jednego przypadku, w którym dokumentacja zgadzałaby się z tym, co z takim skutkiem opublikowano w czasopiśmie.

Moim zdaniem tego właśnie należało się spodziewać, gdy wzięło się grupę pacjentów z grup antyszczepionkowych do badań nadzorowanych przez prowincjonalnych prawników. A chociaż tytuł naszego tekstu, opublikowany na pierwszej stronie, był wystarczająco szokujący, to kiedy przekopano się przez przypadki poszczególnych dzieci – ich historie, diagnozy i rzekome powiązania czasowe – bezczelność tego, czego się dopuszczono, okazała się powalająca.

•

W dniu, w którym skończyła się jego kariera lekarza, wyglądał, jakby nic go to nie obchodziło. Opuściwszy miejsce na przesłuchaniu w Londynie,

eprasa.pl 874ec55186

zajął je w nowojorskim Midtown, w studiu NBC. Sam, bez zespołu oskarżycieli czy dziennikarza śledczego grzebiących w dowodach, o 7.43 był umówiony na sześć minut z twarzą programu „Today", Mattem Lauerem.

– Może to dziwny sposób rozpoczynania wywiadu – zagaił Lauer, jakby pytał przyjaciela o ulubione płatki śniadaniowe – ale czy wciąż mogę mówić do pana „doktorze"?

Andrew Wakefield się uśmiechnął. Łatwizna.

– Tak – odparł. – Nie mogą zmienić faktu, że skończyłem medycynę.

Był poniedziałek 24 maja 2010 r. Przy ustawionych w prostokąt stołach w Londynie, gdzie było pięć godzin później, przewodniczący komisji Surendra Kumar właśnie rozpoczął 217. dzień przesłuchań. Odczytał na głos „postanowienia" i „sankcje": uwolnienie endoskopisty Simona Murcha od zarzutów jako „niemającego rozeznania". Wykroczenia Wakefielda i Walker-Smitha oznaczały „skreślenie ich z rejestru lekarzy".

Lista przestępstw uznanych za udowodnione ciągnęła się długo. Wakefielda uznano za winnego m.in. prowadzenia badań bez zgody komisji etycznej lub zabezpieczeń; narażenia dzieci, które nie miały zgłoszonych żadnych problemów jelitowych, na inwazyjne badania oraz nieuczciwego wprowadzenia w błąd Legal Aid Board (tu padł zarzut, który jego własny adwokat opisał jako „oszustwo"), co polegało na zmianie przeznaczenia pieniędzy otrzymanych na inny cel.

„Komisja jest głęboko zaniepokojona faktem, że dr Wakefield wielokrotnie łamał fundamentalne zasady prowadzenia badań medycznych", odczytał Kumar postanowienie pięciorga członków komisji. „Doszła do wniosku, że same już tylko jego działania w tej sferze są wystarczające, by równać się poważnemu naruszeniu etyki zawodowej".

Ale na tym nie koniec. Wakefield nie zadbał, by artykuł w „Lancecie" był „prawdziwy i rzeczowy". Nieuczciwie opublikował „fałszywy opis grupy pacjentów", nieuczciwie stwierdził, że pacjenci napłynęli „zwykłymi kanałami", nieuczciwie nie ujawnił konfliktu interesów z powodu finansowania przez Richarda Barra i nie ujawnił swoich patentów na szczepionkę przeciw odrze.

Komisja, jak podkreślił Kumar, „ustaliła, że artykuł naukowy o dużym znaczeniu dla zdrowia publicznego został napisany nieuczciwie". Zgodziła się też, że „ciągły brak zrozumienia" okazywany przez Wakefielda oznacza, że powinno mu się cofnąć uprawnienia lekarskie.

Widzowie „Today" nic na ten temat nie usłyszeli. Lauer grał w softball dla przedszkolaków. Twarzą do gościa, w lekkim fotelu, na przejrzystym niebieskim tle, pokazał fragmenty z półgodzinnej audycji „Dateline" o wczesnych etapach mojego dochodzenia. Oto Wakefield przemawiający na konferencji. Oto ja w redakcji „Sunday Timesa". Nigdzie ani słowa o dochodzeniu toczącym się przed radą.

Lauer: Proszę mi spojrzeć w oczy i powiedzieć, że w czasie, gdy prowadził pan badania, był pan bez winy: nie miał pan żadnego konfliktu interesów.

W Wielkiej Brytanii nigdy nie istniał rynek krwi. Ale „Today" budował takie wrażenie, jak gdyby Wakefield stracił uprawnienia głównie z powodu tego kuriozalnego podejścia do etyki. Mimo iż Lauer wspomniał, że jego gość został uznany za winnego „nieuczciwych i nieodpowiedzialnych" działań, przeszedł do innych kwestii, zostawiając Wakefielda bezpiecznego w jego fotelu.

– Pańskie badania objęły dwanaścioro dzieci – powiedział Lauer. – Widziałem badania obejmujące setki tysięcy dzieci, które nie potwierdziły pańskich odkryć. A mimo to siedzi pan dziś przede mną i mówi, że wierzy w możliwy związek między konkretną szczepionką, MMR a autyzmem u dzieci?

Pojedynek na badania? Specjalność Wakefielda. Musiał jedynie dokonać rozróżnienia – oni mówią to, ja mówię tamto – i zyskiwał kolejnych zwolenników w swojej wojnie.

„Nigdy nie powiedziałem, że szczepienia powodują autyzm".

Wakefield: Nie, nie miałem. Gdybym miał, wyszłoby to na jaw.

Odpowiedź była niedorzeczna. Ale Lauer – w tamtym czasie wyglądający niczym przystojny wujek wszystkich Amerykanów – szybko przeszedł dalej. Przekazałem General Medical Council taśmę, na której Wakefield czarował matki na odczycie w Kalifornii opowieścią o tym, jak kupował krew od dzieci (nawet czteroletnich) na urodzinowym przyjęciu swego starszego syna.

„Dateline" pokazała sceny z tego wydarzenia, na których, wśród wybuchów śmiechu publiczności, żartował z tego, jak dzieci płakały, mdlały i wymiotowały. Kupa śmiechu. Ha, ha. Dalej, Andy.

– Miały płacone za próbki? – spytał Lauer przy fragmentach „Dateline".

– Dostały nagrodę, nie płaciłem im – padła odpowiedź.

– Jaką nagrodę?

– Pod koniec przyjęcia dostały po pięć funtów.

– To nie jest płacenie im?

– No nie nakłanialiśmy ich wprost: „Zrobicie to, a my damy wam pieniądze" – odparł Wakefield. – Na koniec powiedzieliśmy im tylko: „To nagroda za pomoc". To co innego w kategoriach etycznych.

– Ja nie tylko w to wierzę, ale amerykański rząd przyznał, że ten związek istnieje – odpowiedział w jawnej sprzeczności z oświadczeniami tego rządu. – Rzecz w tym, że mimo zaprzeczania w propagandowych kampaniach prowadzonych przeciwko mnie i przeciwko rodzicom ustępują w tych przypadkach w sądzie szczepionkowym.

Sąd ponownie wyraźnie by temu zaprzeczył. Nikt nie wygrał sprawy w przypadku autyzmu. A Wakefield bez względu na własne poglądy nie mógł trzymać się jednej wersji nawet przez 24 godziny. Gdy Ameryce mówił jedno, zupełnie co innego słyszała Wielka Brytania, jak informowano tamtego dnia w prasie. „Nigdy w owym czasie nie twierdziłem ani nie twierdzę, że MMR jest przyczyną autyzmu", cytowały go „Guardian" i „The Telegraph".

Później powiedział radiu BBC: „Nigdy nie powiedziałem, że szczepienia powodują autyzm".

Fragmenty książki Briana Deera *Wojna o szczepionki. Jak doktor Wakefield oszukał świat?*, przekład Katarzyna Bażyńska-Chojnacka i Piotr Chojnacki, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2020

FOT. LUKE MACGREGOR/REUTERS/FORUM

eprasa.pl 874ec55186

Wyciąć wadliwe chromosomy

Modyfikacje genetyczne w medycynie

DR KRZYSZTOF CHYLIŃSKI
– biolog

Rozmawia
Bronisław Tumiłowicz

Tegorocznymi noblistkami z chemii zostały Francuzka Emmanuelle Charpentier i Amerykanka Jennifer A. Doudna, a pan znalazł się w ich zespole. W pracy doktorskiej, w laboratorium tej pierwszej, też charakteryzował pan „nożyce" molekularne do dzielenia łańcuchów DNA i wklejania nowych sekwencji. Regulamin nagrody przewiduje, że w dziedzinie chemii czy fizjologii i medycyny można obdarować najwyżej trzy osoby, więc obie panie podzieliły się milionem dolarów.

– Nagrodę przyznaje się prawie zawsze szefom zespołów badawczych. Tu też spekulowano, kto jeszcze mógłby dostać Nagrodę Nobla za „nożyce" CRISPR/Cas9, bo pracowało nad różnymi ich aspektami wiele zespołów. Wybór padł na Emmanuelle i Jennifer, z czego bardzo się cieszę. Jeżeli chodzi o zauważenie udziału mojego i innych młodych badaczy w odkryciu, to obie noblistki kilkakrotnie o tym mówiły. Za pracę doktorską pisaną w Wiedniu też otrzymałem kilka nagród, choć to była dużo mniejsza skala.

Pańska dysertacja doktorska była w pełni oryginalnym odkryciem?

– Tak, na tyle, na ile to możliwe, bo w nauce nie ma zwykle badań zupełnie oderwanych od wcześniejszych prac. Jest to nowy krok, bardzo innowacyjny, ale również w pewnych aspektach oparty na setkach innych prac opublikowanych wcześniej. W pracy używamy nie tylko wiedzy, ale i metod badawczych opisanych przez innych naukowców. Celem mojego doktoratu było zbadanie, jak system molekularnych „nożyc" opatrzony kryptonimem CRISPR/Cas9 działa w bakteriach. Metody przecinania i modyfikacji materiału genetycznego nie są czymś nowym, ale nasz system jest szybszy i tańszy, więc może być stosowany w wielu laboratoriach do inżynierii genetycznej.

Jak działają takie „nożyce"? Jak to wygląda z zewnątrz, obserwuje się procesy pod mikroskopem?

– Na zewnątrz może to wszystko wyglądać mało efektownie. W dużej mierze zależy od tego, do jakich celów ma być stosowana metoda – czy w laboratorium, w badaniach podstawowych na komórkach, czy do celów terapeutycznych lub w biotechnologii. Może być tak, że pracujemy z pacjentem albo z roślinami, ale głównie badacze pracują na tzw. liniach komórkowych, rosnących w naczynkach, w laboratorium. To, co robimy, wygląda jak mieszanie małych ilości przezroczystych cieczy, a potem dodajemy to np. do hodowli komórkowej. Objętości, z którymi pracujemy, to tysięczne części mililitra, a potrzebne komponenty „nożyc" są tak małe, że nie widać ich nawet pod zwykłym mikroskopem.

Pracujemy początkowo sporo na komputerze, analizując sekwencje genów i projektując reagenty, które musimy stworzyć lub kupić. Potem przygotowujemy je i łączymy według ustalonych receptur i wprowadzamy do komórek. Dalej proces dokonuje się właściwie bez naszego udziału, następuje przecięcie DNA w komórkach i, przy odrobinie szczęścia, pożądana modyfikacja materiału genetycznego. Nie musimy też patrzeć na próbki pod mikroskopem, bo to trochę tak jak z pieczeniem ciasta – mieszamy odpowiednie składniki, wkładamy do pieca i po określonym czasie wyjmujemy ciasto upieczone według danej receptury. Dzieje się to w pewnym stopniu samo i nie musimy tego dokładnie obserwować, szczególnie jeśli mamy już doświadczenie.

> Metody przecinania i modyfikacji materiału genetycznego nie są czymś nowym, ale nasz system jest szybszy i tańszy.

Jak ten reagent wprowadza się do komórki w celu modyfikacji genetycznej?

– W przypadku hodowli komórkowych używa się np. specjalnych związków chemicznych, które otaczają „nożyce", transportują je i łączą się z błoną komórki, pozwalając na ich wniknięcie do środka. Modyfikowane genetycznie zwierzęta wymagają ingerencji na poziomie zarodka,

eprasa.pl 874ec55186

najczęściej zapłodnionego jaja; tutaj pracujemy pod mikroskopem i wprowadzamy „nożyce" przy użyciu rodzaju mikrostrzykawki.

Od razu wszystko działa?

– Absolutnie nie. Szczególnie gdy zaczynamy nowy projekt albo eksperyment, na początku trzeba wykonać sporo prób i popełnić kilka błędów. Zawsze istnieje pewien element niepewności, zawsze może się zdarzyć błąd. Co ważne, nawet gdy nie popełnimy błędu, także w przypadku systemu CRISPR/Cas9 nie każdy reagent może zadziałać prawidłowo. Czasami modyfikacja nie udaje się zupełnie, ale w wielu przypadkach metoda ma dużą wydajność, sięgającą 80-90%.

Czy chromosomy z łańcuchami DNA można zobaczyć? Na rysunkach i schematach są one zabarwione na różne kolory.

– Są metody wybarwiania. To jedna ze starszych, podstawowych technik pracy i charakteryzacji komórek. Można zaobserwować np. zmiany chorobowe widoczne w chromosomach: trisomię w przypadku zespołu Downa czy niestabilność i łamanie chromosomów w nowotworach, choć nie zawsze wygląda to równie interesująco jak na obrazkach. Nie jest to jednak metoda używana powszechnie przy modyfikacjach genetycznych. Ja w swoich badaniach, które prowadzę już od 15 lat, nigdy tego nie robiłem.

Czym charakteryzuje się metoda nagrodzona Noblem i czym różni się od wcześniejszych?

– Jest szybsza, tańsza i bardzo uniwersalna, można ją stosować praktycznie wszędzie. Czy to na komórkach z hodowli, komórkach macierzystych, czy na pobranych komórkach krwi. Działa w bakteriach, w organizmach roślinnych i zwierzęcych, od much, przez zboża, słodkie pomarańcze, robaki po krewetki i małpy. Oczywiście system wymaga pewnej modyfikacji w zależności od wybranego materiału. Ale wszędzie można dokonać żądanej modyfikacji i można ją przeprowadzić względnie łatwo i szybko.

Mój doktorat dotyczył bakterii, a potem przeprowadzałem badania na hodowlach komórkowych. Po doktoracie pracowałem w jednostce usługowo-badawczej wykonującej usługi inżynierii genetycznej na zamówienie. Pomagaliśmy naukowcom, którym do badań potrzebny był model komórkowy albo zwierzęcy, np. zmodyfikowana mysz czy muszka owocówka (*drosophila*).

Muszka jest maleńka, mysz znacznie większa.

– Ale sposób modyfikacji bardzo podobny, choć ja na zwierzętach nie pracowałem. Co ciekawe, zarodek muszki jest sporo większy od zarodka myszy.

Czy każda modyfikacja jest możliwa do przeprowadzenia?

– Nie wszystko jest możliwe, nie wszystko jest też dozwolone. Pewne rzeczy są skomplikowane, także dlatego, że efektywność „nożyc" i ich dostarczania do komórek jest ograniczona. Szczególnie w przypadku dorosłego organizmu. Jeśli chce się wyhodować zmodyfikowane zwierzę, to największy sens ma modyfikacja na etapie jednokomórkowego zarodka, zapłodnionego jaja, bo taka zmiana jest potem przekazywana do wszystkich komórek. Dokonanie pełnej modyfikacji w dorosłym organizmie jest już praktycznie niemożliwe – i nie ma znaczenia, czy to człowiek, czy organizm o wiele bardziej prymitywny. No bo jak dostarczyć reagenty do miliardów komórek? A nawet gdyby to się udało, nie w każdej CRISPR/Cas9 zadziała. Może to się udać w 90%, ale i w 10% komórek. Stąd problemy w terapiach chorób genetycznych.

Ale gdybyśmy chcieli zmodyfikować coś w chorym narządzie: w trzustce, w wątrobie?

– Naukowcy próbują dokonać zmian w narządach, np. naprawić w wątrobie pewne wadliwe geny powodujące nieprawidłowe krzepnięcie krwi. Na razie udaje się dostarczyć reagent do niewielkiego procenta komórek, często poniżej 1%. Czy taka zmiana może być znacząca i przynieść efekt terapeutyczny? Pewne badania sugerują, że tak, ale w tym wypadku czeka nas jeszcze trochę pracy.

Terapie z użyciem „nożyc" molekularnych to pieśń dalekiej przyszłości?

– Nie. Już teraz te metody są stosowane powszechnie na całym świecie w badaniach podstawowych, ale również testuje się ich użycie np. w leczeniu chorób genetycznych. Proponuję poszukać historii pacjentki Victorii Grey cierpiącej na anemię sierpowatą. Terapia genowa stosowana od dwóch lat zdaje się jej pomagać, próby są więc już dokonywane na ludziach. W medycynie trwają testy kliniczne kilku terapii chorób genetycznych i wielu terapii antynowotworowych. Część jest bardzo obiecująca.

A modyfikacje zarodków ludzkich?

– To niedozwolone, powszechnie nie ma na to zgody, choć wyłomu dokonał pewien Chińczyk, który trafił potem do więzienia za stosowanie medycyny bez odpowiednich uprawnień. Urodziło się jednak dwoje dzieci zmodyfikowanych genetycznie.

Postęp w medycynie, biochemii i biologii molekularnej wyprzedza postęp w prawodawstwie.

W ustawodawstwie większości krajów nie ma szczegółowych regulacji dotyczących takich eksperymentów. Po prostu postęp dokonujący się w medycynie, biochemii i biologii molekularnej zdecydowanie wyprzedza postęp w prawodawstwie, które jest zacofane.

Potrzebujemy uchwalenia zasad, co wolno robić, a czego nie. Zarówno na poziomie prawodawstwa, jak i etyki. Toczą się dyskusje, powstają kontrowersje, ale mało kto chce to ruszać, bo trudno o powszechną zgodę i kompromis. Czy powinniśmy zakazać pewnych modyfikacji genetycznych jako nieetycznych, czy może, skoro mamy takie teoretyczne możliwości pomocy chorym, to mamy moralny obowiązek tej pomocy udzielić?

Człowiek z próbówki jest już całkiem realny.

– Nie lubię takiego określenia. Tak nazywano kiedyś dzieci pochodzące z zapłodnienia in vitro i ma to bardzo pejoratywny wydźwięk. Prawdą jest, że nauka daje nam teraz wielkie możliwości i musimy się zastanowić, jak chcemy je wykorzystać.

b.tumilowicz@tygodnikprzeglad.pl

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl 874ec55186

Tylko flirt, a nie miłość

W romansach Agnieszki Osieckiej najważniejsze było olśnienie partnerem

Zofia Turowska

Agnieszka Osiecka, 1977 r.

„Oj, nie mam ja szczęścia do niedzielnych przedpołudni z ukochanym. W czasach studenckich Andrzej [Jarecki] wywoził mnie do teściów do Radości, kładł na hamaku i leżałam tak pół dnia w panieńskich grymasach pt. »I to ma być już wszystko?«… Znękana tymi grymasami ruszyłam po przygodę i trafiłam na Fryka".

W romansach Agnieszki była ogromna rozpiętość zainteresowań. Najważniejsze było olśnienie partnerem.

„Wojtek z nosem boksera i lekkim grymasem ust miał w sobie coś supermęskiego i wyglądał jak wykidajło z nocnego lokalu", tak zapamiętał Frykowskiego Roman Polański, kiedy poznali się na balu gałganiarzy w szkole filmowej.

Określany przez Agnieszkę „wędrownym obserwatorem zdarzeń" Mieczysław Jahoda pamięta, że w pewnych kręgach znali go wszyscy, przede wszystkim dlatego, bo miał za żonę rewelacyjnej piękności dziewczynę – Ewę, z którą się jednak rozwiódł.

Frykowski, kończąc w 1963 r. studia na wydziale włókiennictwa Politechniki Łódzkiej, zdał egzaminy do szkoły filmowej na wydział reżyserii. Razem z Markiem Piwowskim i Grzegorzem Królikiewiczem. Już po pierwszym semestrze go wylali, bo nie chciało mu się zrobić zdjęć na egzamin i po prostu je od kogoś kupił. Gdy egzaminator go zapytał, jakiego użył filtra do tych fotografii, odpowiedział – zgodnie z prawdą – że nie wie. Bo w istocie interesowała go tylko strona obyczajowa filmu, chciał się dowiedzieć, czym to się je.

Bliżej go poznał Wojciech Solarz przy kręceniu „Noża w wodzie": – Byłem w ekipie kulturalno-oświatowym, on ratownikiem. Świetnie się do tej roli nadawał, doskonale pływał. Imponowała mi jego fantazja – łobuz, bokser i wałkoń, ale uroczy, niezwykły człowiek, z ogromnym poczuciem humoru, taki brat łata.

Ten twardziel, jak o nim mówili, czasem zdumiewał delikatnością i brakiem pewności. Bo pod powierzchnią brutala kryła się natura łagodna, wręcz złote serce, graniczące z sentymentalizmem, oraz absolutna lojalność.

Stwarzała sobie czasem nowe sytuacje i pod wpływem chwili mówiła: „jestem zakochana". Okupiła to wielką ceną.

Kochał robienie kawałów. Kiedyś zadzwonił do niego kolega:

– Co robisz?

– Bankietuję – odpowiedział mu Wojtek.

– Jak to? Przecież u ciebie cisza jak makiem zasiał.

– Wiesz, wszyscy już śpią, ale znajdzie się coś wolnego dla ciebie. Bierz litra i przyjeżdżaj!

Kolega przyjeżdża, od razu w przedpokoju rozbiera się do naga, triumfalnie wkracza z dwiema półlitrówkami i widzi… Agnieszkę Osiecką z Fredką Elkaną – obie skupione przy pianinie, całkowicie pochłonięte przygotowywaniem nowej piosenki…

– Wojtek był na pewno wyrazistą osobowością, w pewnym sensie nawet negatywną – charakteryzuje go Mieczysław Jahoda.

– Miał wrodzoną błyskotliwość i fantazję oraz zmysł organizacyjny. W towarzystwie był mistrzem w aranżacji pomysłów. Te cechy mogły na pewno się złożyć na taki jego wizerunek, że zauroczył Agnieszkę.

„Jeśli idzie o mojego pierwszego męża, Wojtka Frykowskiego – pisała – to podejrzewam, choć nie najlepiej to o mnie świadczy, bo już byłam wtedy mocno dojrzałą dziewczyną, że to również był tylko flirt, a nie miłość. Wojtek był postacią tak malowniczą, że w wielu ludziach, nie tylko we mnie, wzbudzał fascynacje literackie. Posiadał swoisty dar uwodzenia ludzi, nie tylko kobiet, ale i mężczyzn. Każdy miał wrażenie, że w chwili poznania Wojtka otwierał się przed nim baśniowy świat kolorowych przygód".

Spodobały się jej opowiadane przez Frykowskiego „niestworzone historie. A miał diabelne wyczucie, co kogo może zainteresować. Na przykład pisarzowi amerykańskiemu opowiadał, jak złodzieje w Łodzi grają w »dziewiątego wała«, a chłopcu z przedmieść Łodzi – snuł bajki o życiu gwiazd w Hollywood. Ludzie go słuchali jak wędrownego łódzkiego Homera. Był pisarzem niepiszącym".

eprasa.pl 874ec55186

Wojciech Solarz stał się niezamierzonym ojcem chrzestnym „całej tej awantury". Często opowiadał Agnieszce o tym legendarnym facecie: pierwszym w PRL prywatnym współproducencie filmu, w którym sam zagrał sprzedawcę gorących kiełbasek („Ssaki" Romana Polańskiego), kreatorze bankietów w swoim przedwojennym mieszkaniu w Łodzi na Sosnowej – słynnych „non-stopów dla dorosłych", brawurowym kierowcy opla rekorda, świetnym pływaku, który na basenie Legii, ścigając się z klubowymi zawodnikami, przyjmował zakłady i wygrywał, kawalarzu podkładającym banknoty 500-złotowe pod nogę kiwającego się stolika, a również o jego ojcu, potentacie finansowym. Według Krzysztofa Kąkolewskiego „jego ojciec był artystą pieniądza, on był artystą życia".

W rezultacie Solarzowych opowieści Agnieszka w końcu nie wytrzymała:

„Co ty jesteś tak zafascynowany tym Frykowskim? Muszę go poznać!"

I nawet dwa tygodnie nie minęły, gdy Solarz dostał kartkę z Kazimierza:

„Kochamy Cię, pozdrawiamy – Agnieszka i Wojtuś"...

– Realizowała nasze umowne określenie: „nowość przeżycia" – wspomina Solarz. – Lubiła równie dobrze odkrywać mężczyzn, jak odkrywać Tatry, Amerykę czy literaturę. (...)

Pobrali się w Zakopanem. Cała rodzina Agnieszki była temu związkowi zdecydowanie przeciwna, nawet jej ukochana ciocia Basia Sikorska.

Świadkami na ich ślubie byli Bogumił Kobiela i Krzysztof Komeda.

Agnieszka notowała:

„U mnie w domu była cholerna wolność. Ojciec dla zasady, a mama ze strachu nie bronili mi niczego. Może przez to tak bezmyślnie popłynęłam za Frykiem. Właśnie – bezmyślnie. Przez parę tygodni byłam zakochana, jak głupia koza. Serce mi skakało jak na zabawie...

Do dziś nieraz się wzdragam na myśl o restauracyjnym charakterze tego ślubu. Ten smoking w upalną niedzielę, ten biały opel, to towarzystwo pensjonatowe... Jeszcze dziś czuję jakby zapach sałatki francuskiej. Aż dziw bierze, że kelner nie przyniósł rachunku na ołtarz. Przez cały czas miałam poczucie grzechu. To śmieszne, ale wydawało mi się, że to może sen, że się przerwie...

Dopiero potem (to do dziś ostro pamiętam), kiedy oglądałam duże, ładne zdjęcia zrobione chyba przez Mietka Jahodę, poczułam zdziwienie na widok siebie w tym wszystkim. I to siebie – takiej łagodnej, takiej wkomponowanej. Wydawało mi się, że nie powinnam wyjść na tych zdjęciach, że przecież mnie tam nie było. A jednak – byłam, byłam".

W szaleństwach tygodnia miodowego młodej pary brał udział Mieczysław Jahoda:

– Mieszkaliśmy w domu ZAiKS-u, Halamie, i robiliśmy wypady, zadając szyku wspaniałym oplem Wojtka. Na ówczesne czasy taki samochód był dowodem posiadania wielkich pieniędzy. Jeździliśmy np. do pięknych Jaworek położonych w samym sercu Pienin. Wojtek był wobec Agnieszki pełen rewerencji, aż wyglądało to sztucznie.

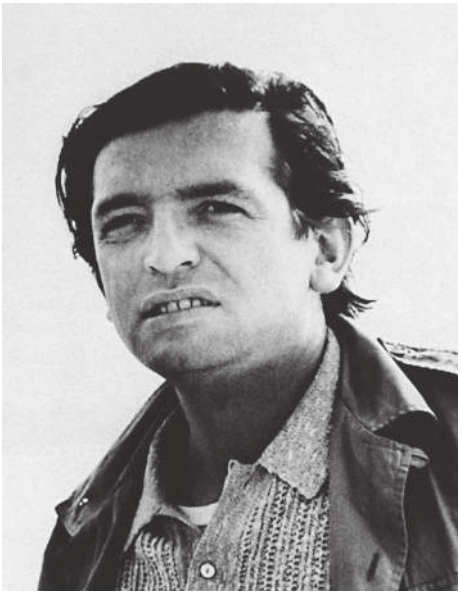

Wojciech Frykowski niespełna pół roku był mężem Agnieszki Osieckiej.

Po miodowym tygodniu nowożeńcy osiedli pod Warszawą, w posiadłości ojca Wojtka – Radonicach niedaleko Błonia. Jan Frykowski, znany w kraju tzw. prywaciarz, umiał na wszystkim zarabiać pieniądze. Najpierw na oranżadzie i farbowaniu materiałów, potem na produkcji i druku apaszek. Młodszy brat Wojtka, Jerzy Kajetan Frykowski, tak charakteryzuje ojca:

– Za co tylko się wziął, to zaraz rozwijało się doskonale, przynosząc duży zysk. My, jego synowie, mieliśmy kompleks, bo nie mogliśmy mu w żaden sposób dorównać. Zawsze i we wszystkim był najlepszy. Nie dawał nam zbyt dużo pieniędzy, uważał, że sami powinniśmy zapracować, ale przede wszystkim uczyć się. Majątek w Radonicach traktował jako dobrą lokatę kapitału, dlatego kupił ziemię z okazałym budynkiem o charakterze polskiego dworu, nawet z basenem, tyle że pustym.

O posiadłości Frykowskich pisano: „Radonicki dwór powstał w latach 30. Jego budowniczym i pierwszym właścicielem był płk Romuald Kohutnicki (1898-1974) dowódca 80. Pułku Piechoty w Słonimie.

Pułkownik brał udział w kampanii wrześniowej, potem niewola, ucieczka, ukrywał się w Radonicach i prowadził gospodarstwo rolne.

Piętrowy, kryty blachą, 10 pokoi, stryszki, 2 werandy, zagórki.

Cały dom zbudowano z bali modrzewiowych przewiezionych z Puszczy Białowieskiej do Błonia, a stamtąd wozami konnymi do Radonic (3 km). Bale obrabiano na miejscu. Do domu prowadzi aleja modrzewiowo-orzechowa. Stary park wokół z tujami, jodłami, lipami.

Zachowała się autentyczna stolarka okienna w stylu art déco, a na strychu domu odnaleziono XVIII-wieczny tulski samowar".

W tym dworze – miejscu, gdzie od pokoleń gromadziło się dzieła sztuki, cenne meble, nadania królewskie, zbroje i konterfekty przodków, gdzie skupiało się życie towarzyskie, polityczne, społeczne regionu, a w PRL te skarby roztrwoniono, utracono i zaprzepaszczono wspaniałe dziedzictwo, które na oczach nowych właścicieli jeszcze bardziej dziczało i umierało – obok domowników państwo młodzi zajęli pokoiki na górze. Jerzy Frykowski zobaczył młodą dziewczynę z całkiem innego świata, która przekonywała, „że za stypendium można się cały miesiąc spokojnie utrzymać".

Do radonickiej posiadłości przyjeżdżali w doborowym składzie: Dygatowie, Morgensternowie, Jahoda, Kobiela, Czyżewska, Cybulski, Skolimowski. Gościli też Siemion

FOT. WOJCIECH OLSZANKA/EAST NEWS, WITOLD ROZMYSŁOWICZ/PAP

eprasa.pl 874ec55186

i Sadowski. Agnieszka nigdy nie pretendowała do tytułu „pani na Radonicach". Czuła się tam raczej zagubiona i nie na swoim miejscu. Wojciech Frykowski zapraszał znanych ludzi, bo zapewne chciał być w środowisku, starał się też imponować Agnieszce. Na radonickich obiadach bywało po 50 osób. (…)

Bohaterka „Zabiłam ptaka w locie" budzi się w nieznanym domu. Wychodzi na taras i widzi: „Jakiś ogród czy zaniedbany sad… Zeszłoroczna słoma na uschniętym krzaku… Stary basen bez wody. Na dnie basenu, wśród popękanego betonu i śmieci, na wyschniętym liściu łopianu siedzi ciężka, brunatna ropucha… Naokoło płaskie pola. Oset. Popielate krzaki ostu. Rów. W rowie kaczeńce. Błoto. Ważka. Znów płaskie pola. Monotonnie, żałośnie. Nie miał Handlarz szczęścia do pejzaży. Pusto… Płasko.

Ta willa jakaś dziwaczna…

– Hm… Teraz to wszystko nasze! Odtąd aż do szosy. I telefon mamy. Wszystko! Tylko że teraz pan starszy w więzieniu siedzi.

Za nadużycia.

– Za nadużycia?…

– Aha. Tak się mówi. Przez to nam właśnie gospodarstwo nie idzie. Ten młody to nic nie jest wart.

– Za jakie nadużycia! W handlu pomidorami?

– Ja tam nie wiem. Nie znam się. Za gospodarcze. On nie jeden interes robi, ale sto. Domy sprzedaje. Lekarstwa. Nie wiem… Ale serce ma dobre".

Mieczysław Jahoda opowiada historię, która obrosła legendą i jak wiele wątków z życia rodziny Frykowskich bardziej przypomina scenę z filmu Coppoli „Ojciec chrzestny" niż rzeczywistość:

– Senior Frykowski był otoczony ludźmi, którzy byli ze sobą, mówiąc ostrożnie, w „układzie". „Wpadł" na jakichś sprawach niezgodnych z ówczesnym prawem. Po aresztowaniu wszyscy odsunęli się od niego, a nawet go pogrążyli. Ledwie minął rok i Jan Frykowski wyszedł z więzienia. Niebawem wydał przyjęcie w Radonicach – suto zastawione stoły kazał ustawić w parku przed pałacem, na polanie otoczonej gazonami wspaniałych róż. Zaproszeni goście dość długo musieli czekać na gospodarza. Mimo objawów gościnności jednak lękali się, jak wypadnie teraz konfrontacja z „szefem", którego przecież tak łatwo opuścili w trudnej sytuacji. Wreszcie zjawia się ojciec Wojtka, z sekatorem w ręku. Jedną po drugiej ścina róże, same główki… W grobowej ciszy słychać tylko szczęk sekatora… W końcu zwraca się do swoich osłupiałych gości: „I z wami tak będzie, jeżeli jeszcze raz mnie opuścicie w potrzebie"…

Lubiła równie dobrze odkrywać mężczyzn, jak odkrywać Tatry, Amerykę czy literaturę.

„Pewnego dnia zbudziłam się w cudzym domu i miałam ochotę powiedzieć: »Panowie, ludzie, chwileczkę, ja tylko żartowałam«. Ale było już za późno. Dokumenty podpisane, słowa powiedziane, nowa rodzina, nowa sytuacja, nowi znajomi. Jacyś ludzie, którzy myślą, że ja jestem panią Frykowską… Miałam ochotę podchodzić do nich po kolei i mówić: »Kochani, jak to, co to? Przecież ja tylko żartowałam, to była taka gra, obudźmy się, już mam dosyć«. Wszystko za późno. Trzeba było w to grać dalej. Wyjeżdżać, rozwodzić się, zmieniać dokumenty. A wydawało się – wystarczy powiedzieć pas i Pan Bóg wszystko zatrze".

Kolega Agnieszki z STS-u i Filmówki, Marek Nowicki, uważa:

– Może być miłość emocjonalna i miłość intelektualna. Ona stwarzała sobie czasem nowe sytuacje i pod wpływem chwili mówiła: „jestem zakochana". Okupiła to wielką ceną. (…)

Wśród przyjaciół i znajomych Agnieszki krążyła opinia, że wyszła za mąż za Frykowskiego, bo chciała „zrewanżować się" Andrzejowi Jareckiemu, który właśnie się ożenił. Nie podziela tej opinii Wojciech Solarz:

– Związek z Andrzejem zaczął się rozwiewać, nim Jarecki zaczął myśleć o ślubie z Anną Prucnal. Przecież Agnieszka nigdy niczego nie kalkulowała. Tak naprawdę to nie widziała swoich partnerów – dla niej istnieli w formie idealnych portretów, bardzo indywidualnych, bardzo subiektywnych, które sobie stwarzała. Jej miłość miała zawsze swój początek w więzi emocjonalnej, duchowej. Dlatego kończyło się klęską przejście od fascynacji do prozy codziennego, małżeńskiego życia. Obydwa małżeństwa: z Wojciechem Frykowskim oraz młodym reżyserem z Krakowa, Wojciechem Jesionką, nie przetrwały dłużej niż pół roku. Niektóre ważne decyzje podejmowała gwałtownie, pod wpływem silnych emocji, chwilowego impulsu. Jej drugi mąż, Wojciech Jesionka, reżyserował wtedy w STS-ie, pracował z nią, był szalenie lubiany. Chyba to wspólne działanie ich zbliżyło. Myślała zapewne: „Jak to, zawróciłam mu w głowie, a teraz go zostawię?...".

Alina Janowska poznała Wojtka Jesionkę, gdy małżonkowie mieszkali w jej sąsiedztwie, przy ul. Armii Ludowej, nad pocztą:

– Ich mieszkanie sprawiało wrażenie miejsca tymczasowego: gołe okna, tylko parę niezbędnych mebli, żadnych bibelotów. On był reżyserem teatralnym, a później spektakli cyrkowych. W domu bywał niezwykle rzadko. Ten ich związek trwał tak bardzo krótko i był tak zwyczajny, że popadł w całkowite zapomnienie. Nawet nie mogę sobie przypomnieć twarzy Jesionki…

„Ja nie popadłam w kilka małżeństw, bo nie stawałam na ołtarzu iks razy – tłumaczyła Agnieszka. – Miałam jednak w życiu parę poważnych znajomości, których może normalna kobieta mieć nie powinna. Wołałabym oczywiście jedno trwałe i głębokie małżeństwo niż taki poszarpany życiorys".

Pisała: „Bez chwili wahania rzucałam się w mętne bajoro życiorysu Wojtka Frykowskiego, w sadzawkę Jesionki, a jeszcze przedtem – w farbowany, Markowy ocean. Mam skłonność do życia we śnie, do zmyślania sobie ludzi i sytuacji. Do urabiania życia na kształt teatru. Do nierzeczywistości. Wychodzę za mąż za nieznajomych, opowiadam o nieznajomych".

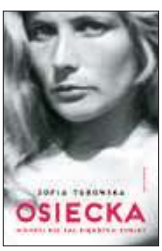

Fragmenty książki Zofii Turowskiej *Osiecka. Nikomu nie żal pięknych kobiet*, Marginesy, Warszawa 2020

eprasa.pl 874ec55186

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Nie na miejscu

Moja ciepłolubna Żona, pozbawiona naturalnej warstwy ochronnej (BMI odwiecznie w dolnych granicach normy), z uwagi na łaskawość słonecznej jesieni zaczęła cierpieć w tym roku dość późno, ale nie mniej niż zwykle. Od pierwszych przymrozków nawet po domu chodzi w pluszowych nausznikach, dłonie z mufki wyjmując tylko w ostateczności, np. po to, by poczynić notatki. Właśnie rozgrzewa się lekturą dzienników swojej mamy, Agnieszki Osieckiej, z czasów intensywnej znajomości poetki z Markiem Hłaską, do którego to tomu, ostatniego już, Żona obiecała napisać wstęp. W 1958 r. Hłasko był rozgoryczony realizacją „Ósmego dnia tygodnia"; wedle jego opinii Aleksander Ford opowiadanie spłycił do historyjki o dwojgu młodych, którzy łażą po mieście, bezskutecznie szukając miejsca, w którym mogliby skonsumować zażyłość. Wszystko skończyło się dla Hłaski szczęśliwie – film przed premierą wylądował na półce, gdzie spędził ćwierć wieku, a pisarz tak się pokręcił po planie, że odtwórczyni roli głównej, Sonja Ziemann, wyszła za niego za mąż.

Wszelako problem braku miejsca na seks, który Hłasce wydał się drugorzędny wobec innych ważkich treści noweli, przetrwał próbę czasu i jest żywotnym problematem nie tylko ludzi młodych w mieście dopiero wstającym z wojennych gruzów. Ba, w czasach pandemii, zwłaszcza zaś podczas zimy pandemicznej, staje się kłopotem niebagatelnym tak dla dzieciatych małżeństw, jak i dla pokątnych miłośników bezeceństw stadnych. Erotomani nie mają teraz gdzie się podziać – w domu dziatwa, pod gołym niebem za zimno, w stojącym na włączonym silniku aucie nie eko, w gościnie u znajomych krępująco, a jeśli w gronie bezwstydników, to nielegalnie ze względu na zakaz zgromadzeń.

Nie sądźmy pochopnie seksoholików wędrownych, i tak mają teraz pod górę.

Ze współczuciem śledzę zatem wątek eurodeputowanego partii węgierskich narodowców, który zwiewał z orgii w klubie gejowskim nago, przez okno, po rynnie z pierwszego piętra, prosto w objęcia policji. Rejterada była ze wszech miar trefna, bo europoseł zdążył narzucić plecak, w którym znaleziono jego dokumenty i narkotyk. Trzeba było przyjąć wizytę organów ścigania ze stoickim spokojem, by tak rzec: organ w organ, jak pozostali uczestnicy zabawy, którzy, jak tłumaczył wodzirej imprezy, „nie mogli się wylegitymować, skoro nie mieli na sobie nawet majtek". Pieprzu aferze oczywiście dodaje fakt, że na nieheteronormatywnych eksperymentach dał się przyłapać żarliwy orędownik praw rodziny i zapiekły wróg LGBT z ramienia Fideszu.

Spróbujmy przełożyć to widowiskowo na nasze realia: pośladki Ryszarda Cz. lub, jeszcze lepiej, Dominika T. odbijają światło księżyca, gdy polityk zsuwa się po rynnie w stronę policyjnych latarek, sprawa błyskawicznie wychodzi na jaw, bo brukselskiej policji legitymacja różnicy nie czyni, następnie poseł rezygnuje z immunitetu z pobudek moralnych, aż w końcu całe PiS wyczekuje na przekaz dnia. Wedle słów samego przyłapanego Józsefa Sz. nie chodziło o orgię, lecz o „przyjęcie domowe" – u nas by to nie przeszło, bo przecież sam Prezes Polski uwielbia przyjęcia domowe u przewodniczącej Trybunału Konstytucyjnego, skojarzenia mogłyby się okazać katastrofalne. Należałoby zatem iść w zaparte nieco inną drogą, z oskarżonego uczynić ofiarę, no bo skoro pigułkę ecstasy mu do plecaka podrzucono, to i samego europosła na „przyjęcie" ktoś mógł podrzucić. Nie mam na myśli podwózki, tylko porwanie i ubezwłasnowolnienie; wedle policji uciekinier miał krew na rękach (podobno swoją), mógł zatem odnieść rany podczas próby wyswobodzenia się. O tym, że został skrępowany, zakneblowany i torturowany, niechybnie zaświadczyć mogą zastane na miejscu akcesoria klubowe. Wierny elektorat czeka na wyjaśnienia jak zdradzana żona, która przyjmie każde kłamstwo, byle tylko ukochany rzekł: „To nie tak jak myślisz, kotku". Przypomina mi się tu dowcip o niewiernym żonkosiu, który zapomniał na schadzce zdjąć obrączkę i tłumaczy kochance, że jako dziecko został znaleziony przez ornitologów.

Tak czy owak, incydent europoselski potwierdził tylko, że zimą w czasach zarazy nie bardzo jest gdzie legalnie się łajdaczyć. Śpieszę zatem poinformować, że z niejaką pomocą może nam przyjść publikacja prof. Łukasza Łuczaja z Uniwersytetu Rzeszowskiego, którego „Seks w wielkim lesie" ogłosiło niedawno drukiem wydawnictwo Ha!art. Autor, dotąd znany jako prekursor diety… owadziej w Polsce (napisał m.in. „Podręcznik robakożercy"), poświęca swój (para?)naukowy esej tradycjom kulturowym i doborowi dogodnej scenerii uprawiania miłości *par excellence* naturalnej, czyli na łonie natury. Spotkamy tu obfite rozważania botaniczne, dotyczące nie tylko erotycznej przydatności konkretnych drzew (za najbardziej przyjazne uchodzą powalone buki), poszycia, naturalnych lubrykantów z soków roślinnych, ale też niebezpieczeństw związanych z praktykowaniem seksualnego forestingu (np. w rozdziale, *pardon le mot*, „Przez cipę w świat" autor przestrzega przed chwastami, które lubią się czepiać włosów łonowych). Prof. Łuczaj sam jednak przyznaje, że jego poradnik pozostaje bezużyteczny w sezonie zimowym. „Bardzo trudno o erekcję na mrozie". Nie sądźmy więc pochopnie seksoholików wędrownych, i tak mają teraz pod górę.

w.kuczok@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 874ec55186

MIĘDZY OKŁADKAMI

Wiktor Hajdenrajch
Elbing-Elbląg. Na zakręcie historii
Wydawnictwo Novae Res, Gdynia 2020

Jeśli przyjąć, że jest to historia młodej kobiety martwiącej się głównie o to, jak dobrze wyglądać, można potraktować tę książkę jako powieść obyczajową. Annelore Heike wiedzie sielankowe życie u boku zasobnych rodziców, martwiąc się jedynie, gdzie dostać pończoszki opera 11 na jej najdłuższe w mieście nogi. Tymczasem wiatr historii dociera do Elbing (Elbląga), owiewa świeżą mężatkę urokiem Hitlera, w którym – choćby tak jak jej ojciec – widzi męża opatrznościowego. Wojna niewiele zmienia w jej życiu, poza mężem; jeden nazista ją zdradził, więc wzięła drugiego, mniej zajadłego. Dopiero zimą 1945 r. dopada ją zniszczenie i tragedia. Ale refleksja przychodzi znacznie później. Na dobre, gdy w latach 70. odwiedza w Elblągu dawne mieszkanie. Odnajduje też swój pamiętnik, dzięki któremu czytelnik może odtworzyć kawałek skomplikowanej historii. I dostrzec zagrożenia ze strony każdego totalitaryzmu.

Marek Książek

SERIAL

BRANŻA
reż. Lena Dunham, Ed Lilly, Tinge Krishnan, Mary Nighy, HBO i HBO GO

Harper Stern, czarna absolwentka bankowości z pipidówy pod Nowym Jorkiem, ubiega się o pracę w banku w Londynie. Żeby dostać prestiżowe stanowisko, gotowa jest na wiele, ale nawet nie podejrzewa, co ją czeka. Scenariusz napisali byli bankierzy, którzy przekonują w wywiadach, że upokorzenia, psychiczne znęcanie się, narkotyki i werbalna przemoc to w świecie wielkiej finansjery norma. Harper o zepsuciu finansistów przekonuje się na własnej skórze, co zmusza ją do przedefiniowania granic, które jest w stanie przekroczyć, by się przypodobać wymagającym szefom. A walczy na ringu, na którym wszystkie chwyty są dozwolone, wliczając romanse, groźby i szantaże. Jej historia uwodzi, bo wolna jest od publicystyki, taniej krytyki czy politowania. Intencje twórców to naświetlenie rzeczywistości, którą rozpędzony kapitalizm zafundował milenialsom. A my zostajemy zmuszeni do zastanowienia się, co zrobilibyśmy na ich miejscu. Nic dziwnego, że brytyjskie media okrzyknęły produkcję mianem „Mad Men" pokolenia wchodzącego na rynek pracy.

Artur Zaborski

ZAJRZYJ TU

MIROSŁAW FILONIK
Czerwony deszcz, zielony deszcz

Wystawa w Galerii XX1 przy al. Jana Pawła II 36 w Warszawie poświęcona jest świetlnym instalacjom Mirosława Filonika. Budulcem są jarzeniowe świetlówki. Artysta tworzy z nich geometryczne obiekty, wykorzystując subtelność i moc światła. A że nietypowe okoliczności wymagają nietypowych rozwiązań, prace można oglądać z zewnątrz, bez konieczności wchodzenia do galerii. Dzięki panoramicznym oknom wystawa jest widoczna z ulicy.

WARSZAWA, GALERIA XX1, DO 22 GRUDNIA

FESTIWAL

5. ARTEKINO FESTIVAL

Do końca grudnia na stronie www.artekinofestival.com trwa cyfrowy przegląd kina europejskiego. W jego ramach można obejrzeć bezpłatnie, w polskiej wersji językowej, 10 uznanych filmów fabularnych i dokumentalnych, pokazywanych na międzynarodowych festiwalach filmowych, m.in. na Berlinale, w Wenecji, Rotterdamie, Toronto czy Locarno. Spośród tytułów autorstwa młodych europejskich reżyserów i reżyserek widzowie wybiorą laureata nagrody publiczności – ArteKino Audience Award.

DO 31 GRUDNIA

KURTYNA W GÓRĘ

Artystą był niewiarygodnie wszechstronnym. Jak Wyspiański, jak Witkacy, jak Leonardo. Ponad 60 sztuk dla teatru, ponad 500 utworów muzycznych, kilkadziesiąt książek z dziedziny sztuki, niezliczone artykuły, liczne grafiki, występy w zespołach jazzowych i stanowiska profesorskie w Krakowie i Salzburgu. Od 12 lat co roku organizowano jednodniowy festiwal Era Schaeffera. Tegoroczna Era artysty była szczególnie uroczysta, bo odbywała się równolegle w Los Angeles i w Warszawie, ale przez internet oglądał ją cały świat. Ponad 30 artystów, gwiazd estrady i teatru z Polski i USA, grało jego muzykę i występowało we fragmentach utworu scenicznego „Multimedialne coś", był też taniec. Szło po polsku i angielsku, na zmianę, przez dwie godziny z okładem. Niech świat się dowie, że współczesny Leonardo był Polakiem i nazywał się Bogusław Schaeffer.

Bronisław Tumiłowicz

12. Era Schaeffera – The Unlocked Souls (Odblokowane dusze), reżyseria Maciej Sobociński, Basen Artystyczny Warszawa i Teatr Redcat Center w Los Angeles, premiera 23 listopada 2020

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 874ec55186

Tak, ale

Agnieszka Wolny-Hamkało

Spacer z filozofem

Jest coś dziecinnego w umawianiu się na dworze. W piciu nad rzeką, jedzeniu na ławce. Dyskusjach w drodze na most i z powrotem. We wspólnych zakupach i czekaniu pod sklepem. Ale robimy tak! Chociaż mamy 40, 50, 60 lat. Lepiej się spotykać w maskach i na wietrze, niż nie spotykać się wcale.

Już świętowaliśmy kilka urodzin nad rzeką. Obrus na bruku trzymały dwie cegły, grzecznie się nie unosił ciężki sernik. Kieliszki wyjęliśmy prosto z pudełka. Takie urodziny są krótkie, grożą przeziębieniem, nam, chowanym przy sztucznym świetle, przycupniętym z laptopem przy kaloryferach. Ale skończyło się! Teraz każdy jeden to perypatetyk. Każdy łazi w ruskiej czapie, rękawiczkach syna, ciepłych majtach i wszystkim, co może się zmieścić pod spodniami, skoro np. odbywamy seminarium pod gołym niebem, zaczyna się mżawka i wszyscy gwałtownie tracą na inteligencji.

Umawiamy się, żeby pogadać czy żeby przekazać jakiś przedmiot – książkę albo klucze, przecier pomidorowy albo zacerowany sweter, maść albo receptę. Tamtego dnia umówiłam się z Dorotą na przekazanie wazonu, bo była okazja, spadki, *sale*, *Black Friday* i *Cyber Monday*, i w ogóle szał na kortach, bo wiadomo – ludzi w Polsce umarło tyle, co na wojnie – a człowiek smutny niewiele kupuje.

Miętowy wazon potrzebował wkładu, więc Dorota powiedziała, że postawi mi kwiaty. Podczas spaceru na plac Solny, gdzie marzną kwiaciarki, towarzyszył nam jej mąż – filozof. Upatrzyłam tulipany z czerwonymi dziobami, ale wtedy filozof poradził porzucić chybioną ścieżkę i wybrać hiacynty – z powodów literackich, a ściślej mówiąc, mitologicznych.

– Hiacynt był nieziemskiej urody młodzieńcem – zaczął mój mentor – i wielu się w nim kochało. Przede wszystkim zaś był nasz wytworniś kochankiem Apolla, który uczył go strzelać z łuku i grać na cytrze. Jednak i Zefir, bóg wiatru zachodniego, zapragnął posiąść ciało ślicznego Hiacynta. Ten jednak miał serce zajęte. Urażony, zazdrosny Zefir tak skierował dysk rzucony przez Apolla, że zranił śmiertelnie młodzieńca. Z jego krwi zaś wyrósł ten wspaniały kwiat – hiacynt.

Spojrzałam na Dorotę, która już uwijała się przy hiacyntach. Czy obezwładniona mitem, czy wprawiona w filozoficznych zakupach, czy też dlatego, że wolała te kwiaty od pospolitych tulipanów – nie wiadomo. Też zażądałam hiacyntów. Ale traf chciał, że obok, w plastikowym wiaderku, piekliły się narcyzy (*vel* żonkile). – To kwiat, który lubi samotność – mój mentor naciągnął kaszkiet na czoło. – Ludzie kojarzą słowo narcyz z urodą, ale pochodzi od greckiego *narke*, które oznaczało uczucie odrętwienia i otępiałość. Istnieją różne wariacje popularnego mitu: w jednej z nich Narcyz miał siostrę bliźniaczkę – kochał ją namiętnie i kazirodczo. Dziewczyna umarła przedwcześnie, a oszalały ze smutku Narcyz wypatrywał jej rysów twarzy we własnym odbiciu, które przywoływał pochylony nad źródełkiem.

Podczas spacerów z filozofem nic nie jest niewinne.

Ledwie odeszliśmy od kwiaciarek w stronę piekarni, gdzie dawali też barszczyk na wynos, już filozof rozwijał kolejne ze swoich erudycyjnych skojarzeń, a ja – obładowana kwiatami, książkami, bułkami – notowałam w telefonie co lepsze tytuły, adresy bibliograficzne, ścinki wierszy, sceny z filmów, ułamki mitów, francuskie nazwiska – i co chwilę coś mi spadało na covidowy chodnik. Coś odkażałam, coś wycierałam, coś jadłam. Po kwadransie poplamiona barszczem zrozumiałam, że podczas spacerów z filozofem nic nie jest niewinne – rzeczy mają swoje konotacje, konteksty, podwójne znaczenia. I że jak byłam mała i wracałam z podwórka uświniona, to nie dlatego, że nie szanowałam trudno dostępnej niemieckiej chemii – inaczej po prostu się nie dało.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

BEZPŁATNY NEWSLETTER ZAPRASZAMY

Kto już się zapisał? Jeśli nie, można to zrobić na stronie **www.tygodnikprzeglad.pl**, podając swój adres e-mail lub dzwoniąc do redakcji, **tel: 22 635 84 10 wew. 111**.

Dostając newsletter, w każdy poniedziałek otrzymasz informacje o najnowszym wydaniu PRZEGLĄDU, komentarze do aktualnych wydarzeń oraz newsy o naszych książkach.

BĄDŹMY W KONTAKCIE!

eprasa.pl 874ec55186

Siła prostoty w kuchni

W Lizbonie nie je się w biegu. Tam spotkania się celebruje. Na talerzu możesz mieć najprostsze dania, ale się nimi delektujesz

Rozmawiają Weronika Wawrzkowska-Nasternak, Marta Stacewicz-Paixão i Janusz Andrasz

Weronika Wawrzkowska-Nasternak: Jak zapamiętałeś Lizbonę z 1999 r., czyli sprzed 20 lat?

Janusz Andrasz: Moje pierwsze spotkanie z Lizboną to była Alfama, która wyglądała tak jak z filmu „Lisbon Story" Wima Wendersa. Odrapana, biedna i właśnie taka bardzo mi się spodobała od pierwszego wejrzenia. (…)

Marta Stacewicz-Paixão: W tamtych latach w Polsce po zapadnięciu zmroku niewiele się działo.

J.A.: I to był dla mnie szok, że lizbończycy wieczorami i nocami celebrowali życie. Od razu spodobało mi się to, że ludzie spacerują po całym mieście. Umawiają się w jednej knajpce, a potem odwiedzają kolejne. Tu spróbują wina, tam usiądą na coś do zjedzenia, żeby później spotkać się w jeszcze innej lokalizacji. To jest zupełnie inny styl bycia i życia niż w Polsce. U nas idziesz do konkretnego lokalu i w nim zasiadasz, a tam biega się z miejsca do miejsca. Często wychodziłem na miasto sam, wybierałem jakieś schodki, żeby sobie na nich przycupnąć, i obserwowałem nocne życie. Te dzikie tłumy przewijające się przez miasto wyglądały bardzo malowniczo. Zwróciłem też uwagę na to, że w Portugalii zmienia się miejsca, ale na pewno nie je się w biegu. Tam spotkania się celebruje. I wcale nie chodzi o to, że musisz jeść jesiotra czy bliny z kawiorem. Na talerzu możesz mieć najprostsze dania, ale się nimi delektujesz. Zwracasz uwagę na to, jak to jedzenie smakuje, więcej rozmawiasz. Portugalczycy lubią ze sobą przebywać, ale niekoniecznie w swoich domach. Zresztą na początku to mnie mocno dziwiło. Zastanawiałem się, dlaczego nikt mnie nie zaprasza do siebie, żeby tam coś wypić, zjeść, pogadać. Miałem przecież w pamięci wiele polskich prywatek. Zdanie: „Wpadnij do mnie na kawę" w Lizbonie było niezrozumiałe. Dla nich było jasne, że mała czarna to idealny pretekst do wyjścia na miasto.

M.S.P.: Jak wyglądało twoje pierwsze spotkanie z kuchnią portugalską w Lizbonie?

J.A.: Pierwsza rzecz, której spróbowałem, to była *sopa alentejana*, czyli zupa biedaków z Alentejo. Składała się z wody, dużej ilości kolendry, czosnku, zgrillowanego kawałka chleba i jajka na miękko. W wersjach wypasionych można ją robić na wywarze z dorsza lub z krewetek. Warto wspomnieć, że w Alentejo masowo poławiane krewetki były kiedyś pożywieniem ubogich, pogardzanym przez innych. Spróbowałem tej zupy w mikrodziupli w Alfamie, w typowej portugalskiej tawernie, zwanej *tasca*. W lokalu stały trzy małe stoliczki obsługiwane przez starszą panią, która także gotowała. Przygotowana przez nią zupa spowodowała, że od razu zakochałem się w kolendrze. (…)

> Portugalczycy lubią ze sobą przebywać, ale niekoniecznie w swoich domach.

W.W.N.: Ja uwielbiam *baba de camelo*. Mojego apetytu nie osłabiło nawet to, że w dosłownym tłumaczeniu ten deser oznacza „ślinę wielbłąda".

J.A.: Przyłączam się do fanklubu *baba de camelo*. Pierwszy raz jadłem ten deser w pewnej restauracji „ą–ę" w Cascais. Był poprzedzony wytworną kolacją. Na stół wjechała m.in. ryba, którą przywieziono na specjalnym stoliku. Po podniesieniu wieka ukazała się na tacy biała skorupa soli, którą kelner dokładnie opukał sztućcami, aby za chwilę odsłonić wielką, wspaniale upieczoną rybę. To było bardzo dobre! Potem w eleganckim kieliszku przywieziono deser. Po kolacji w rozmowie ze znajomą zachwycałem się tymi daniami, przekonany, że są skomplikowane w wykonaniu. Okazało się jednak, że jedliśmy jedne z najprostszych do przygotowania dań. Rybę wystarczyło po prostu wypatroszyć, położyć na blasze, zasypać grubą solą morską i włożyć do pieca. A *baba de camelo* to nic innego jak żółtka ubite z kajmakiem z dodatkiem piany z białek. To, co wyglądało na coś bardzo wykwintnego, było materializacją prostoty.

Mówiąc o deserach, nie mogę pominąć *pastéis de nata*. Babeczki z ciasta francuskiego z przepysznym budyniowym nadzieniem to portugalski klasyk. Oczywiście niektórych może nudzić, ale to jest jednak bardzo dobrze pomyślana rzecz. Coś, co jest jednocześnie kruche, miękkie, nie za słodkie.

W.W.N.: W Lizbonie w zasadzie co krok natrafiasz na szyld „Pastelaria", w której możesz kupić wspomniane babeczki, ale to miejsce jest zdecydowanie czymś więcej niż cukiernią.

J.A.: Pastelarie niejednokrotnie ratowały mi życie, kiedy biegałem po mieście, załatwiając urzędowe sprawy o godzinie, która nie była ani obiadowa, ani kolacyjna. Wpadałem na zupy i dojadałem *salgados*.

W.W.N: Co się kryje za słowem *salgados*?

J.A.: Przeróżne słone przekąski, na przykład paszteciki z dorsza,

eprasa.pl 874ec55186

Pastéis de nata, babeczki z ciasta francuskiego z budyniowym nadzieniem, to portugalski klasyk.

„Żeby zjeść sardynkę, musisz umieć ją obrać", mawiają Portugalczycy.

mięsa lub krewetek. Do tej kategorii należą też *rissois*, czyli paszteciki z różnego rodzaju nadzieniem na bazie beszamelu, z krewetkami, kurczakiem, nawet jagnięciną, ukrytymi w cieście, które jest frytowane w głębokim tłuszczu.

W.W.N.: Podczas ostatniego pobytu w Lizbonie pomyślałam sobie, że istnieje nisza na polskim rynku food trucków. Jesienią przydałyby się u nas te z pieczonymi kasztanami. Śmiem twierdzić, że najlepsze kasztany wcale nie są na placu Pigalle!

J.A.: Zgadzam się, najlepsze jadłem na placu Rossio!

M.S.P.: Jeśli ktoś chce przygotować je w domu, nie ma nic prostszego. Nagrzewamy piekarnik do 160 st., kasztany nacinamy na krzyż i wkładamy do środka na suszenie na 30-40 minut. Kiedy zaczynają pękać i się otwierają, są gotowe do jedzenia. Wystarczy posypać je grubą solą. Często przywożę kasztany z Lizbony, bo kwestia surowca jest najważniejsza, a tak dobrych jak w Portugalii nie jadłam nigdzie indziej!

W.W.N.: Przejdźmy do ryb. Jakie najchętniej jadasz w Lizbonie?

J.A.: Proste sardynki. Bardzo lubię ich smak i zapach. Mam tylko problem z babraniem się z dużą ilością ości. Na szczęście kilka lat temu pojawiło się coś, z czego sami Portugalczycy się śmieją, a ja sobie to bardzo chwalę – chodzi o fileciki z sardynek.

M.S.P.: No nie, to jest jakaś profanacja! Pierwsza rzecz, jaką usłyszałam od Portugalczyków przy stole, brzmiała: „Żeby zjeść sardynkę, musisz umieć ją obrać". Ukończyłam takie szkolenie z sukcesem!

W.W.N.: To brzmi jak portugalska inicjacja.

M.S.P.: I w kulinarnym sensie nią jest. Nazwijmy to pierwszym stopniem wtajemniczenia. Kładziesz na talerzu dużą pajdę chleba, a na niej tłustą, świeżo zgrillowaną sardynkę. Cała sztuka polega na tym, żeby ją delikatnie naciąć i jednym ruchem, trzymając za ogonek, wyciągnąć szkielet ze wszystkimi ośćmi, łącznie z głową. W ten sposób na kromce zostaje mięsko (port. *chichinha*; wym. sziszinia). Kiedy zjesz sześć takich sardynek, to cały tłuszczyk z nich zostaje w tej kromce, która wraca na grilla, i masz fantastyczną grzankę. I na tym polega cała ceremonia jedzenia sardynek!

W.W.N.: Skoro nie sardynka, to co?

J.A.: Bardzo lubię tamtejsze dorady. Grube, soczyste okazy, kompletnie inne od tych małych, które znamy z Polski. Świetnie smakuje też *salmonete*, taka czerwona ryba, którą można zjeść w okolicach Setubalu. Warto skusić się też na tuńczyka. W Polsce mało kto zna smak tej świeżo złowionej ryby. (...)

W.W.N.: Przypomniałam sobie jeszcze jedno danie, którego nigdy w Lizbonie nie odmawiam. To *cataplana*. Jest po prostu boska!

J.A.: Kiedyś to była potrawa charakterystyczna głównie dla regionu Algarve, ale teraz można ją dostać w restauracjach w całej Portugalii. Nazwa wzięła się od naczynia, w którym przyrządza się i jednocześnie podaje to danie. To miedziany garnek wyglądający trochę jak latający spodek. Składa się z dwóch części spinanych klamerką, *de facto* to taki pierwowzór szybkowara. Pakujesz do środka różne składniki, np. rybę, owoce morza, ziemniaki, paprykę, cebulę, białe wino, zamykasz, stawiasz na ogniu, smaki mieszają się ze sobą w garnku i tworzy się bardzo aromatyczne danie.

M.S.P.: To na deser zostawmy czytającym przepis na *baba de camelo*.

J.A.: Do *baba de camelo* potrzebujemy kajmaku i albo robimy go samodzielnie, albo kupujemy gotowy. Zwolennikom tej drugiej wersji mogę polecić kajmak gostyniński, bo według mnie jest najbardziej zbliżony do domowego. Dodajemy do niego żółtka, a następnie delikatnie mieszamy z pianą ubitą z białek. (...) Klasycznie *baba de camelo* posypuje się migdałami.

Fragmenty książki Weroniki Wawrzkowskiej-Nasternak i Marty Stacewicz-Paixão *Lizbona. Miasto, które przytula*, Wielka Litera, Warszawa 2019

FOT. ADOBESTOCK(2)

eprasa.pl 874ec55186

KOLEJNOŚĆ DZIOBANIA

Pozycję dominującą mają najwięksi. Jeśli w karmniku siedzi sójka czy wiewiórka, drobnica nie ma czego tam szukać

Konrad Malec

Niewiele mamy rzeczy na świecie, które mogą połączyć bogatych i biednych, ludzi prawicy, lewicy i centrum, zagorzałych wyznawców katolicyzmu i zapiekłych ateistów, anarchistów i polityków. Jedną z nich są karmniki dla ptaków. Ich koszt jest stosunkowo niski, można je zrobić samemu, nie mając specjalnych uzdolnień technicznych, przyzwoita karma dla ptaków również jest dość tania. Iście demokratyczne hobby. Wśród miłośników karmnikowych obserwacji spotkałem zarówno miejską i wiejską biedotę, jak i właścicieli wypasionych daczy, duchownych i wojujących ateistów, biznesmenów i robotników, a słyszałem nawet o politykach oddających się tej pasji. Obserwacje przy karmniku mają jeszcze jedną zaletę – to dość prosty sposób na pogłębienie naszej znajomości ptaków.

Zwykle niecierpliwie wyczekuję początków października, choć we wrześniu wędruje wiele ptaków i obserwacje są bardzo satysfakcjonujące. Dzieje się tak, ponieważ z początkiem dziesiątego miesiąca temperatury spadają zazwyczaj na tyle, że można zapomnieć o otwieraniu okien w celu podniesienia temperatury w domu, a tym samym udaje się uwięzić wewnątrz koty. Wówczas wywieszam karmniki i wypełniam je nasionami. Z początku po trochu, a później coraz więcej, osiągając szczyt w grudniu i styczniu, by ku końcowi marca zmniejszać dawki pokarmu serwowane ptakom. Zbyt duża ilość karmy będzie się psuła, a to ptakom nie służy. Inna sprawa, że zarówno w karmniku, jak i pod nim należy sprzątać możliwie często, by ptaki nie jadły zepsutego pokarmu i, co równie ważne, by nie brodziły we własnych odchodach. Ptaki, startując, automatycznie usuwają nawóz z organizmu, pozbywając się balastu, który czyniłby je zbyt ciężkimi w locie. Jeśli startują wprost z karmnika, tam zostawią, co mają na końcu układów pokarmowego i moczowego, mających u nich wspólne ujście.

Można ptaków w ogóle nie karmić, dadzą sobie radę, ale jeśli zaczęliśmy to robić, czyńmy to całą zimę i przedwiośnie.

W zależności od tego, gdzie powiesimy karmnik i co weń włożymy, przylecą do niego różne ptaki. Jeśli mieszkamy na wsi, pośród pól, możemy przy nim ujrzeć wróble, mazurki, trznadle i im podobne. W miastach zapewne odwiedzą nas wróble, bogatki, modraszki i dzwońce. Rzecz jasna to tylko przykłady, a lista możliwości jest nieomal tak długa jak liczba gatunków drobnych

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 874ec55186

wróblaków (i nie tylko) zimujących w Polsce. Mieszkam w dość zadrzewionej okolicy, toteż najczęściej wpadają do mnie w odwiedziny ptaki leśne, choć bywają i te związane z krajobrazem rolniczym. Dominują zwykle mazurki, wpadające o świcie od sąsiada zza rzeki, a przed zmierzchem tam czmychające. W minionych latach zdarzało się, że na moim podwórku gościło nawet po 50 tych ptaków. Niczym uliczni gangsterzy obsiadały karmniki, zajmowały całą powierzchnię pod nimi, a nawet kręciły się pośród drzew owocowych, gdzie rozsypuję karmnikowe nadwyżki. Tam też pasą się czasem krukowate, wyjadając resztki ziaren.

Konkurencyjną bandę tworzą ptaki leśne. Z reguły w rolę hersztów wcielają się bogatki – są najliczniejsze w stadzie i stanowią coś w rodzaju okrętu flagowego, do którego przyłączają się inne jednostki. Kiedy takie stada widzę w lesie czy przy sosnach i świerkach z mojego ogrodu, mogę dostrzec, że każdy gatunek zajmuje nico inną niszę – bogatki obskakują grubsze gałęzie, kowaliki pnie, idąc głowami w dół, pełzacze leśne również tam szukają pokarmu, ale idą głową w górę, w ten sposób ich łupem padają te jaja, poczwarki i hibernujące owady, których nie mogły dojrzeć kowaliki. Dzięciołki obstukują cieńsze części pni i grubsze gałęzie, mniejsze sikory wyszukują pokarm na cieńszych gałązkach, a najmniejsze z nich – sosnówki, przeszukują końcówki gałązek. Czynią to od góry, od dołu zastępują je jeszcze drobniejsze mysikróliki, najmniejsze ptaki Europy, będące według tradycji ludowej ptasimi królami.

Przy karmniku ten podział musi ustąpić miejsca zupełnie innej hierarchii, tym bardziej że są tam na ogół i inni konsumenci, np. dzięcioły duże, sójki czy wspomniane mazurki. Rzecz jasna, pozycję dominującą mają najwięksi, jeśli w karmniku siedzi sójka czy wiewiórka, drobnica nie ma czego tam szukać, szczególnie że sama może się stać przekąską większych współbiesiadników. Od czasu do czasu tylko podlecą co śmielsze bogatki lub mazurki, coś chwycą dziobem i czmychną, jedynie sosnówki popisują się niebywałą brawurą. Często widuję, jak siadają tuż za ogonem wiewiórek lub sójek i podjadają. Z pewnością uważnie obserwują, czy aby większy klient nadrzewnego restaurantu nie rzuci się w ich kierunku. Zapewne duzi znają niebywały wręcz refleks sosnówek i nie zaobserwowałem choćby próby pochwycenia malucha. Tu dodam, że odwaga sosnówek jest wręcz oszałamiająca. Kiedy idę z wiaderkiem ziaren, siadają na nim lub wręcz w nim.

Nim ptaki wybiorą jakieś miejsce na zimowisko, wcześniej oceniają jego zasoby, wliczając w to nasze karmniki.

Kiedyś postanowiłem sprawdzić, czy odważą się siąść mi na dłoni. Siadły, zarówno na wysuniętej, jak i trzymanej dość blisko ciała. Sprawdziłem też, czy usiądą na dłoni kogoś, kogo nie znają. Usiadły. Zapewne żar odwagi bierze się stąd, że mają najwięcej do stracenia, są najmniejsze, więc mają stosunkowo mniejsze możliwości gromadzenia materiału zapasowego na długą, zimową noc, przy szybszej przemianie materii. Korzystają więc z każdej nadarzającej się okazji, by coś złapać w dziób.

Wśród reszty drobnych karmnikowych gości różnice w gabarytach są niewielkie, ale uwidaczniają się tu z większą ostrością niż podczas wspólnego żerowania na drzewach.

W karmnikach i innych miejscach dokarmiania ptaków nie powinno być chleba.

Bogatki ustępują nadlatującym z dużą szybkością mazurkom i *vice versa*. Jedne i drugie zaś ustępują kowalikom, które zwykle wykonują manewr zbliżony do szturmującego myśliwca – ostro pikują na karmnik i zajmują miejsce czmychającego biesiadnika, same nie będąc skłonne zejść z drogi innym drobnym ptakom wykonującym podobną sztuczkę (no, chyba że grubodziobom, znacznie większym, lecz te rzadko bywają w mojej stołówce). Wśród samych bogatek również widać, że silniejsze, starsze samce mają pierwszeństwo. Z dumą prezentują szerokie, czarne pasy, ciągnące się przez pierś i brzuch. Młodziki, o węższych paskach, ustępują skwapliwie. Młokos, który zapomni o savoir-vivrze, może zarobić solidnego kuksańca.

Ta kolejność posilania się szczególnie ostro zaznacza się przy karmniku butelkowym, gdzie powierzchnia lądowiska i podajnika jest niewielka. (Karmnik butelkowy to odwrócona butelka z podajnikiem, wygodne i całkiem dobrej jakości karmniki tego typu można kupić w marketach, natomiast stanowczo odradzam kupowanie tam karmników typu „psia budka" czy przypominających kształtem puby lub latarnie morskie – są fatalnej jakości, często też trudne do wyczyszczenia). Co robią drobniejsze ptaki? Dziobią to, co spadło z góry. Z reguły są to drobniejsze nasionka, którymi pogardzili silniejsi. A jeśli i tam zrobi się ciasno, co wówczas? Cóż, można użyć fortelu i ogłosić alarm. Krzyczy więc słabeusz, że nadciąga krogulec, i gdy wszyscy wieją, on korzysta z opustoszałej sali bankietowej. Rzecz jasna, sztuczka szybko wychodzi na jaw, wracają najpierw drobniejsze ptaki, a zaraz po nich ciut większe, gdy upewnią się, że nie ma zagrożenia, ale ten krótki moment wystarczy, by nieco uzupełnić zapas paliwa. Tu nadmienię, że niebezpieczeństwo jest jak najbardziej realne, co roku obserwuję krogulce, które wpadają do jadłodajni i zabierają ze sobą lub konsumują na miejscu moich gości. Ot, taki karmnik dwupoziomowy. Krogulce często napędzają ofiary na szyby, a potem zbierają ogłuszone ptaki, które wybrały niefortunny kierunek ucieczki, z tego powodu nie należy karmnika umieszczać zbyt blisko okien. Nie ma co zanadto ułatwiać krogulcowi roboty.

Zawsze dbam o to, by w karmniku były nie tylko słoneczniki, jak czyni część koleżanek i kolegów (i to łuskane, co oszczędza pracy przy sprzątaniu, karma znika właściwie w całości), ale także drobne nasionka, np. lnu. Sikory, nawet te mniejsze, nimi gardzą, mazurki również, ale czasem zaglądają do karmnika miłośnicy drobnych ziaren. Co roku choć na kilka dni wpadają szczygły, makolągwy, czeczotki czy jery, pasące się m.in. na

eprasa.pl 874ec55186

tych drobnych nasionach. W ubiegłym roku przezimowało u mnie na tej paszy (oraz oskubując nasiona na okolicznych ugorach) pokaźne stadko zięb, które na Kurpiowszczyźnie rzadko są widywane o tej porze roku.

Moim gościom podaję także kule tłuszczowe z nasionami, cieszące się dużym powodzeniem, orzechy – przysmak wszystkich ptaków, ale najbardziej chyba dzięciołów, które orzechowe kule okupują kwadransami, nie dopuszczając innych chętnych, a gdy nieco przymrozi – słoninę. Tłuszcze zwierzęce cieszą się powodzeniem nie tylko u sikor i dzięciołów, padają też łupem kun, które świetnie wspinają się po drzewach i gałęziach. Drapieżniki zabierają zdobycz ze sobą i zjadają w zacisznym zakątku. W jakich to miejscach znajdowałem haczyki od słoniny czy porwane siatki po kulach! Innymi smakoszami kul i płatów słoniny są lisy. Te wykazują się nie lada sztuką akrobatyczną. Trzy zimy temu pewien cwaniak przełaził przez płot (po paru tygodniach zrobił podkop, by zaoszczędzić sobie wspinaczki), a następnie skakał na ponad 3 m, by dorwać smakołyk. Zdarzyło się, że żona zawołała mnie, bym zobaczył, kto się pasie na mojej słoninie. Gdy podbiegłem do okna, słoniny nie było, ale szybko został mi wskazany młody myszołów, który zerwał ją z drzewa i siadł w warzywniku, gdzie bez skrępowania oddawał się konsumpcji.

Co robią drobniejsze ptaki? Dziobią to, co spadło z góry. Z reguły nasionka, którymi pogardzili silniejsi.

Na koniec pozwolę sobie zaapelować, by dokarmiać ptaki odpowiedzialnie. Można ich w ogóle nie karmić, dadzą sobie radę, ale jeśli zaczęliśmy to robić, czyńmy to całą zimę i przedwiośnie. Nim wybiorą jakieś miejsce na zimowisko, wcześniej oceniają jego zasoby, wliczając w to nasze karmniki. Gdy nagle zabraknie w nich pokarmu, ptaki mogą nie dożyć wiosny. W karmnikach i innych miejscach dokarmiania ptaków nie powinno być chleba. Wprawdzie ptaki chleb lubią, ale jest on pozbawiony większości ważnych dla nich substancji odżywczych. Możemy to porównać do żywienia się ludzi chipsami, dłuższa dieta z chipsów nikomu na zdrowie nie wyjdzie. I na koniec: nie karmmy ptaków pozostałościami z naszych stołów, zwłaszcza słonymi lub zepsutymi, to również pokarm szkodliwy dla naszych skrzydlatych przyjaciół.

Więcej rad dotyczących dokarmiania ptaków znajdziecie na stronie Ogólnopolskiego Towarzystwa Ochrony Ptaków w zakładce „Ptasie porady”.

•

Dziękuję Adamowi Zbrytowi za zainspirowanie do podjęcia tego tematu na łamach PRZEGLĄDU.

eprasa.pl 874ec55186

Bruksela. Jeńców nie biorą

Piszemy już o tym od paru tygodni – zbliża się termin, w którym Polska będzie musiała się zdeklarować, czy zawetuje unijny budżet i Fundusz Odbudowy, czy nie. Tym samym dobiegnie końca (a może się rozpocznie, bo zakończy się tylko jej pierwszy etap) jedna z najbardziej niedorzecznych dyplomatycznych krucjat. Albo jedna z najbardziej przebiegłych.

W każdym razie im bliżej finiszu, tym więcej różnych działań typu dezinformacja lub skandal. I właśnie coś takiego zostało w ubiegłym tygodniu ogłoszone. Myślimy o gejowskiej orgii organizowanej w Brukseli, na którą wkroczyła policja. Wśród zatrzymanych znalazł się József Szájer, europoseł partii Fidesz, jej współzałożyciel i przyjaciel Viktora Orbána. Do tego przykładny mąż członkini Sądu Konstytucyjnego, z którą ma córkę.

Szájer nazywany jest architektem węgierskiego autorytaryzmu, a to z tego powodu, że był współautorem nowej konstytucji, do której wprowadzono zapis o „ochronie instytucji małżeństwa jako związku mężczyzny i kobiety". Uniemożliwia to zawieranie związków przez pary homoseksualne i służy ograniczaniu praw i wolności osób LGBT. I ładnie tak, panie Szájer, dokuczać swoim współbraciom?

Dodajmy, że sprawa jest rozwojowa. Otóż wśród zatrzymanych było też dwóch dyplomatów z Polski. Na razie znamy tylko ich inicjały.

Ale to dopiero początek sensacji. Bo, jak się okazuje, imprezy te organizował obywatel Polski, przeciw któremu w ojczyźnie toczą się różne dochodzenia za wyłudzenia i oszustwa. On do tego się nie przyznaje, natomiast chętnie opowiada o swoim brukselskim biznesie. I mówi, że przyjeżdżali do niego, żeby poszaleć, również goście z Polski, politycy wysokiego szczebla z partii rządzącej, więc to już chyba kwestia godzin, kiedy poznamy ich nazwiska.

Poza tym bardzo ciekawie opowiada, dlaczego policja wkroczyła do lokalu, który na imprezę wynajmował. Otóż dlatego, że otrzymała donos. A potem, gdy przyszła na miejsce, zastała niezamknięte drzwi. Witamy zatem wszystkich zwolenników teorii spiskowych i wiary, że służby mogą wszystko. Bo przecież nie wierzymy w przypadki, prawda? A tu taki „przypadek" się zdarzył – że kilka dni przed szczytem przyjaciel węgierskiego premiera jest trafiony-zatopiony. No i wśród stałych gości orgii pojawiają się polscy politycy z partii rządzącej.

Czyjeż więc to dzieło? Politycy, uważajcie na Brukselę, tam naprawdę łowią!

A na koniec jeszcze jedna wiadomość. Otóż niemiecki „Die Welt" poinformował (trochę rozpaczając), że Polska i Węgry mogą sobie pozwolić na weto, ponieważ „mają jeszcze niewykorzystane dziesiątki miliardów euro, które mogą wydać do 2023 r. Do końca 2019 r. oba kraje wykorzystały zaledwie 42% środków, które przydzielono im w funduszach strukturalnych na lata 2014-2020, co pokazuje raport Europejskiego Trybunału Obrachunkowego".

Ta informacja sporo wyjaśnia, skąd PiS miało w ostatnich latach pieniądze. Po prostu nie inwestowało. Ponieważ każde uruchomienie pieniędzy z Brukseli wymaga wkładu własnego, to jak pieniędzy z Unii się nie bierze, można te z budżetu przeznaczyć na coś innego. To tak *à propos* polexitu, który – jak widać – już trwa.

Attaché

W podwarszawskim Radzyminie przed budowanym sanktuarium św. Jana Pawła II wystawiono auto, którym papież poruszał się po Rzymie. Jak mówi proboszcz Krzysztof Ziółkowski, nie jest to co prawda relikwia, ale drogocenna pamiątka.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 874ec55186

JOLKA

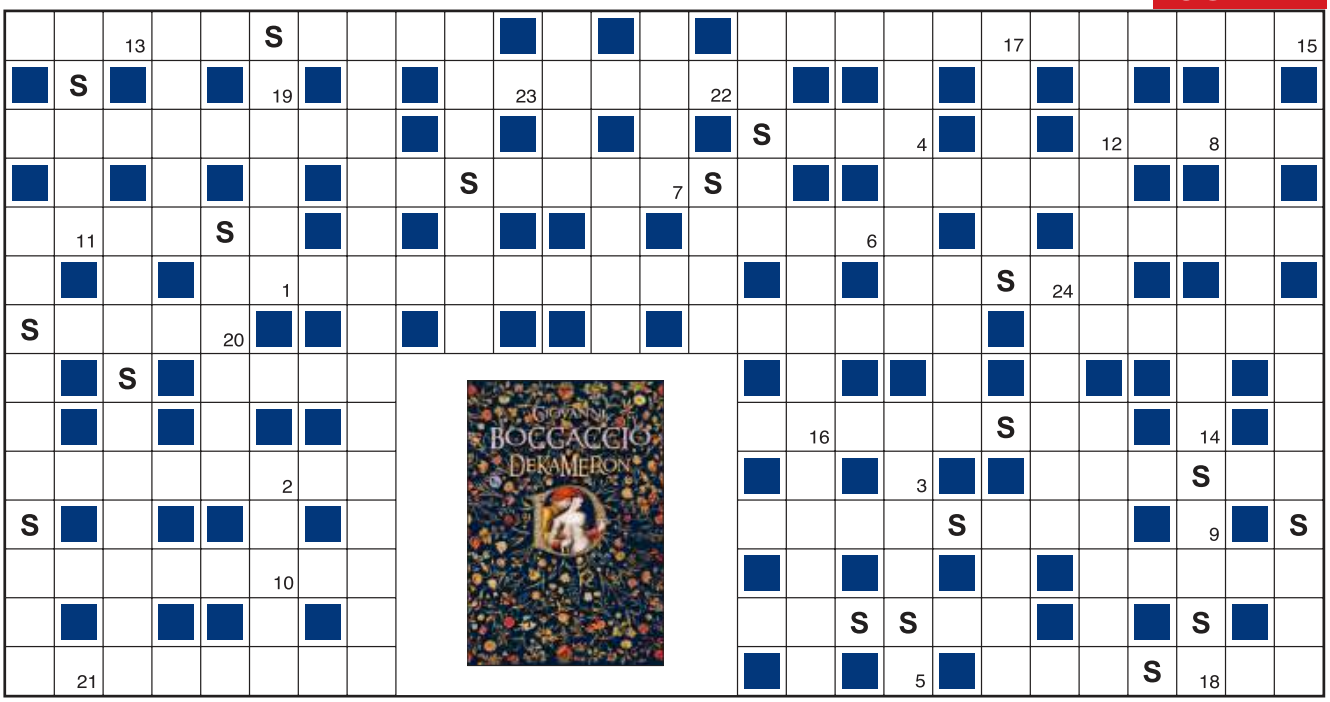

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery S ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 24 utworzą końcowe hasło.

- potocznie o zarządcy systemu informatycznego
- nakłuwanie jako metoda leczenia
- miejsce pracy Georgette Mosbacher
- chusteczka wiązana na szyi
- seria kreskówek o samochodzie wyścigowym
- jak on podparł się w boki Twardowski
- nieokreśloność, nijakość potocznie
- tam można otrzymać Złotą Palmę
- skąpiec, sknera, kutwa
- popularne, zwykle niebieskie spodnie
- …serca – badanie ultradźwiękami
- u Tuwima w Italii na niebie lśni roztopiona połyskliwa, modra
- zdarzenie bez większego znaczenia
- roślinny barwnik do włosów, brwi
- krzew lub odmiana ziemniaków
- prowadzi samochód z literą L
- goniec w szachach i podłużna serwetka
- …Palmer – kto ją zabił?
- chodzi koło drogi
- przeoczenie, omyłka wskutek nieuwagi
- wybawienie, uratowanie
- po powrocie wymordował wszystkich zalotników żony
- tłuszcz dodawany do potraw
- przełożony klasztoru u benedyktynów, cystersów
- wkręcana w nią żarówka
- dawna nazwa bosaka
- ostrokół, częstokół
- łatwo wpada w popłoch
- płynny miód pszczeli
- dane osobowe
- zaczynała jako danie ubogich neapolitańczyków
- tam facjatka
- region z Ludźmierzem, Szaflarami
- sanitarny należy zachować
- dawanie gwarancji, zapewnianie o czymś
- miejsce na haki i sierpowe
- satyr, lubieżnik
- kostką albo monetą
- autodydakta
- prawdy lub do twarzy
- dolna albo odwrotna strona czegoś
- stop żelaza z węglem i innymi pierwiastkami
- zarządza majątkiem firmy w stanie upadłości
- uroczysta przysięga
- drobny prószy zimą
- ma przynosić szczęście, chronić od złego
- klejąca albo izolacyjna
- szwajcarska marka zegarków
- radość, wesołość
- Mysia w Kruszwicy
- robione przez zapobiegliwych
- wyręka, praca za kogoś

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-990”. Do rozlosowania książki „Dekameron” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 13 grudnia 2020 r.

Rozwiązanie „JOLKI-987” z nr. 47: *Zwycięzcy się nie poddadzą.*
Nagrody otrzymują: Wojciech Kłosowski z Warszawy, Barbara Murawel z Wrocławia, Zbigniew Żbikowski z Gorzowa Wielkopolskiego.

eprasa.pl 874ec55186

PENETRACJE

PRZEMYSŁAW WIELGOSZ, REDAKTOR NACZELNY

Pomysły zaostrzenia ustawy antyaborcyjnej, zakazu edukacji seksualnej, ponownego udomowienia kobiet to nic innego jak formy antyopiekuńczej walki klas. Nie uderzą przecież w przedstawicielki wyższej klasy średniej, ale w kobiety z klasy ludowej – bo to one częściej są sprzątaczkami, opiekunkami, pielęgniarkami i nauczycielkami.

BYŁY POSEŁ PiS

Sasin buduje swoje życie posmoleńskie na micie, który brzmi: „Byłem najbliższym współpracownikiem Lecha Kaczyńskiego". Gówno prawda. Sasin w Kancelarii Prezydenta był nikim, czwarty krąg zaufania. Tak jak nikim był Andrzej Duda. Duda przesiadywał pod gabinetem prezydenta i go zamęczał, żeby coś podpisał. Idealnie jego wyczekiwanie oddaje „Ucho Prezesa". Kończyło się to tak, że ktoś wychodził z gabinetu Lecha, brał od Dudy papiery, kazał mu czekać i wynosił podpisane. Lech dzwonił do Eli Jakubiak i mówił: „Elka, Elka, przychodź tu szybko, bo Duda jest pod drzwiami i będzie mi pieprzył". A Sasin był jeszcze niżej niż Duda. Jeden i drugi stworzył mit bycia najbliższym współpracownikiem Lecha.

JAN MENCWEL, STOWARZYSZENIE MIASTO JEST NASZE

Większość przedsiębiorców chce postawić na jak najmniejszej powierzchni możliwie jak najwięcej mieszkań. Ubolewam, że urzędnicy na to pozwalają. Opłaty za wycięcie drzew są śmiesznie niskie. Deweloperom to się po prostu opłaca. Za wycinkę drzewa płacą mniej, niż biorą za metr kwadratowy sprzedanego mieszkania. Gdyby radykalnie podnieść stawki opłat, to mogłoby się uratować tysiące drzew.

KATARZYNA GROCHOLA, PISARKA

Kiedyś urządziłam w domu przyjęcie. Było sporo osób, w tym moja przyjaciółka lekarka z mężem prawnikiem. Zmęczona po dyżurze zasnęła w pewnej chwili na kanapie, a on podszedł do niej, trącił ją nogą i rzucił z pogardą: „Rusz, k… swoją grubą dupę! Idziemy do domu". Otwarła oczy, a ja zobaczyłam w nich przerażenie. Powiedziałam: „U mnie nie będziesz tak mówił do swojej żony, niezależnie od tego, na co pozwalacie sobie u siebie". Wściekł się. Musiałam poprosić przyjaciół, aby go wyprowadzili. Na odchodnym zdjął obrączkę i rzucił nią w żonę. Przy wszystkich. A ona nie ucieszyła się wcale, że stanęłam w jej obronie.

Jakie czasy, takie zainteresowania – malezyjskie makaki.

FOT. MOHD RASFAN/AFP/EAST NEWS

Aby język giętki…

EWA WOYDYŁŁO-OSIATYŃSKA
O DOBREJ RADZIE

Ciesz się tym, co masz, zamiast martwić się tym, czego nie masz.

STEFAN CHWIN
O JAROSŁAWIE KACZYŃSKIM

Ma poparcie 7-8 mln ludzi, którzy są jego sobowtórami.

STANISŁAW TYM
O PANDEMII

Rząd walczy z epidemią, fałszując statystyki.

KS. ADAM BONIECKI
O „JANIEPAWLENIU"

Był maską hipokryzji władzy i Kościoła, wzajemnie zblatowanych w przyziemnych interesach.

MAGDALENA CIELECKA
O ROLACH

Jesteśmy złożeni z wpadek i nałogów, może dlatego postać, która czasem rzuci mięsem, popłacze się, powie, że czegoś nie umie, jest nam bliższa.

MICHAŁ OLSZEWSKI
O GŁOSIE NOWEGO POKOLENIA

Dla niego cmokanie biskupiego pierścienia to nic innego jak komediowy gest rodem z feudalnych bajek.

PROF. ANTONI DUDEK
O KLUBIE PSL I KUKIZ`15

Są małżeństwa z rozsądku, a to było małżeństwo ze strachu. Przed porażką w wyborach do Sejmu.

KAROLINA GRUSZKA
O RYTMIE DNIA

Stałą częścią mojego dnia są medytacja i joga. Reszta jest improwizacją.

ANNA DERESZOWSKA
O SWOIM CHARAKTERZE

Jestem raptusem. Chciałabym już, natychmiast, teraz. We mnie aż buzuje. Nie potrafię usiąść i się uspokoić.

MICHAŁ KOŁODZIEJCZYK
O ANICIE WERNER

Myślę, że faceci bali się Anity, ponieważ jest silną, piękną, samowystarczalną i niezależną kobietą.

eprasa.pl 874ec55186

Arena bez ducha (świętego)

Poświęcenie hali widowiskowo-sportowej w Gryficach, które miało miejsce siedem lat temu, jest nieważne, bo dokonał go ksiądz z innej parafii – ogłosił miejscowy proboszcz. Na antenie Radia Plus Gryfice ks. Kazimierz Półtorak przypomniał, że uroczystość na prośbę władz powiatu poprowadził ks. dr hab. Wiesław Dyk, filozof z Uniwersytetu Szczecińskiego. – Jest wielkim przestępstwem przyjście do cudzego kościoła i robienie tam przez innego księdza czegokolwiek bez wiadomości proboszcza. To samo dotyczy parafii – stwierdził duchowny i dodał, że przez nieodpowiednie poświęcenie w obiekcie „nie ma tego ducha, który powinien tam być". Skrytykował ponadto fakt, że ks. Dyk przyjechał na wydarzenie motocyklem.

„Bóg zapłać" nie wystarczy?

À propos księży, to im bardziej religijne społeczeństwo, tym większa różnica w zarobkach między kobietami a mężczyznami – ustaliły amerykańskie naukowczynie. Prof. Traci Sitzmann i prof. Elizabeth Campbell wykazały, że w krajach, w których religia jest szczególnie ważna w codziennym życiu obywatelek i obywateli, występuje o 29% większa różnica płacowa niż w krajach najmniej religijnych. Podobna zależność istniała w USA, gdzie najbardziej pokrzywdzone pod względem wysokości wynagrodzeń były mieszkanki Missisipi czy Alabamy. Co istotne, ten efekt dotyczy wszystkich popularnych wyznań. Badaczki tłumaczą to tym, że religijne zbiorowości są bardziej przywiązane do standardowego podziału ról płciowych, w ramach którego kobietom trudniej pracować w pełnym wymiarze godzin, awansować na prestiżowe stanowiska itd.

Halo? Mam halu!

W Kalifornii powstaje pierwsza na świecie całodobowa infolinia towarzysząca w psychodelicznej podróży ludziom, którzy zażyli LSD czy grzyby halucynogenne. Celem inicjatywy, animowanej przez organizację Fireside, jest wsparcie psychonautów w pozytywnym i bezpiecznym przeżyciu odmiennych stanów świadomości. Linia nie będzie wyłącznie centrum alarmowym, to przede wszystkim przewodnik przez zarówno dobre, jak i złe przygody z psychodelikami. Warto wspomnieć, że kolejne badania potwierdzają, iż środki te mogą być pomocne w leczeniu depresji, stanów lękowych czy uzależnień.

Dzik ma bardzo ostre… zdjęcie

Wiceminister rolnictwa zaapelowała do programistów o opracowanie narzędzia na smartfony służącego do powiadamiania administracji o napotkanych dzikach. Ma to pozwolić m.in. skuteczniej walczyć z afrykańskim pomorem świń. – Potrzebujemy aplikacji, by każdy obywatel mógł zgłosić, gdy zobaczy martwego lub żywego dzika, tak by zbierane przez nas informacje były pełniejsze, a nasze służby mogły odpowiednio reagować – powiedziała Anna Gembicka. Nie dodała, na czym będzie polegać reakcja w odniesieniu do zaobserwowanych żywych zwierząt, za to odegrała scenkę robienia zdjęcia ich pluszowemu odpowiednikowi.

MEMY BEZ ŚCIEMY

eprasa.pl 874ec55186

Ćwiczenia nie tylko pomagają utrzymać sprawne ciało, ale i wyciszają nerwy w pandemii. Cypryjka ćwicząca pilates ze swoim psem Elvisem oraz grupowa joga w Toronto.

Po nas choćby potop

Mało budująco wyglądają pierwsze przymiarki do uruchomienia współczesnej arki Noego. Park, który pomógłby ocalić od wyginięcia wszystkie obecnie żyjące zwierzęta i rośliny, miałby powstać w RPA i liczyć ok. 100 km kw. Szacunkowe koszty przedsięwzięcia liczone są w miliardach euro, dlatego jego brytyjscy pomysłodawcy proszą o wsparcie osoby fizyczne, przedsiębiorców i filantropów z całego świata. Niestety, na razie efekty apelu przypominają typowe wołanie na puszczy, jako że na początku grudnia na koncie publicznej zbiórki nie było nawet 200 funtów.

Na Zeusa, chyba się udało!

Australijscy fizycy stworzyli prototyp lasera, za pomocą którego można będzie zmieniać miejsca uderzenia piorunów, a tym samym zmniejszyć ryzyko katastrofalnych pożarów buszu. Badacze twierdzą, że opracowana przez nich technologia, mimo że działa na duże odległości, wymaga lasera o małej mocy. System ma być precyzyjny, tani i łatwy w montażu. – Mamy jakby niewidzialną nić, pióro, którym możemy pisać i kontrolować wyładowania elektryczne z dokładnością do jednej dziesiątej grubości ludzkiego włosa – wyjaśnił prof. Andriej Miroszniczenko z Uniwersytetu Nowej Południowej Walii.

FOT. ORKA POLITYCZNA (2), SEKCJA GIMNASTYCZNA, CHRISTINA ASSI/AFP/EAST NEWS, CARLOS OSORIO/REUTERS/FORUM

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego: Robert Walenciak
e-mail: r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków), Anna Brzeska, Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra), Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń), Adam Godlewski, Beata Igielska, Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Maja Marklowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Wojciech Osiński (Berlin), Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan, Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski, Edward Mikołajczyk, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Karina Krystosiak, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych
Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl
Sekretariat fundacji i redakcji:
Izabela Strupiechowska
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120
WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, IBAN: PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

eprasa.pl 874ec55186

patronat **PRZEGLĄDU**

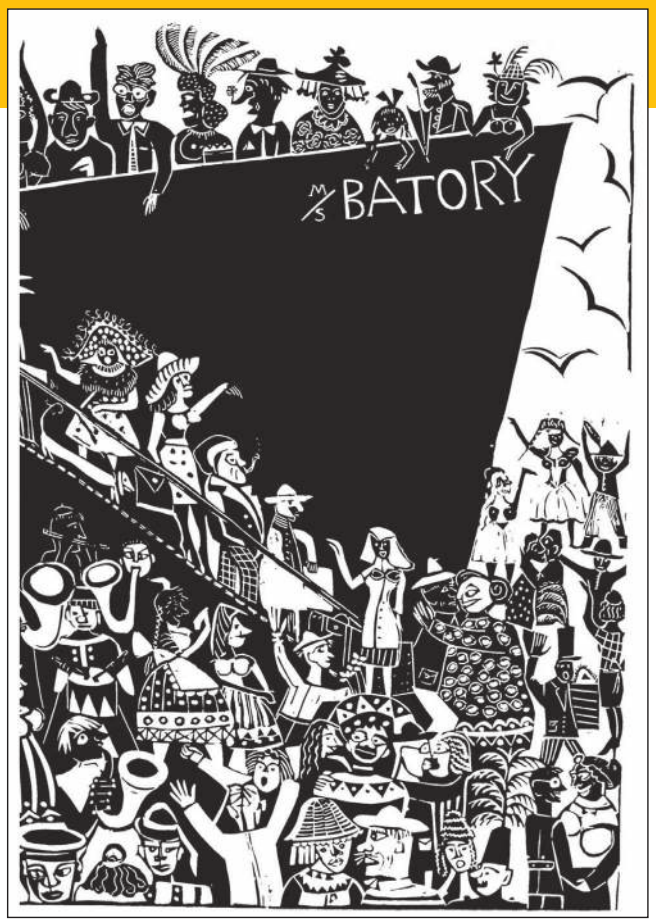

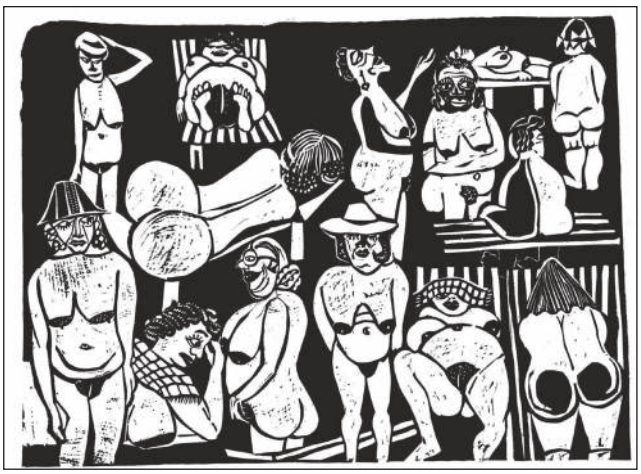

Teresa Jakubowska. Z życia wycięte

Wśród czarno-białych prac graficznych Teresy Jakubowskiej, głównie linorytów, powstających od lat 50. ubiegłego wieku do początków obecnego, zobaczymy m.in. te inspirowane codziennością PRL. To satyryczne komentarze na temat siermiężnej rzeczywistości, widzianej przez pryzmat osobistych doświadczeń. Wystawa obejmuje też efekty artystycznych podróży – „pamiątki z miast" polskich i zagranicznych, dekoracyjne widoki Warszawy, Krakowa, Paryża, Rzymu czy Florencji. Odmienną treściowo i formalnie część ekspozycji stanowią prace z nurtu „symboliczno-refleksyjnego", a jej dopełnieniem są pokazywane po raz pierwszy matryce graficzne, odsłaniające warsztat pracy artystki.

Muzeum Karykatury im. Eryka Lipińskiego
Warszawa, ul. Kozia 11
do 31 marca

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 874ec55186

GRUDZIEŃ
Z ·TEATREM CAPITOL·

STUDIO CAPITOL
Twój wirtualny event, nie tylko od Święta!

SPEKTAKLE ONLINE
Na wyłączność dla Twoich pracowników.

WARSZTATY ONLINE
Teatralne i edukacyjne, dla najmłodszych.

VOUCHER ·TEATRU CAPITOL·
Podaruj Capitalne emocje!

ZAPRASZAMY DO WSPÓŁPRACY
WIĘCEJ INFORMACJI: WWW.TEATRCAPITOL.PL
SKONTAKTUJ SIĘ Z NAMI JUŻ TERAZ: eventy@teatrcapitol.pl

TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl

eprasa.pl 874ec55186

AfryKamera
#BLACK FILMS MATTER
15. FESTIWAL FILMÓW AFRYKAŃSKICH
21-30 GRUDNIA 2020
ONLINE / WWW.MOJEEKINO.PL
INNE MIASTA W POLSCE
STYCZEŃ / LUTY 2021
AFRYKAMERA.PL

eprasa.pl 874ec55186